Łódź

Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

NUMER 24 (1315) ROK XXVI 11 CZERWCA 1983 ROKU CENA 15 ZŁ

- Kwiaty zakazane
- Żyć na wsi — polemika
- Zagadkowa nauka Majów
- Polaków portret... cudzy
- Polskie bombowce nad hitlerowskimi Niemcami

Człowiek w osiedlu

czytaj str. 3

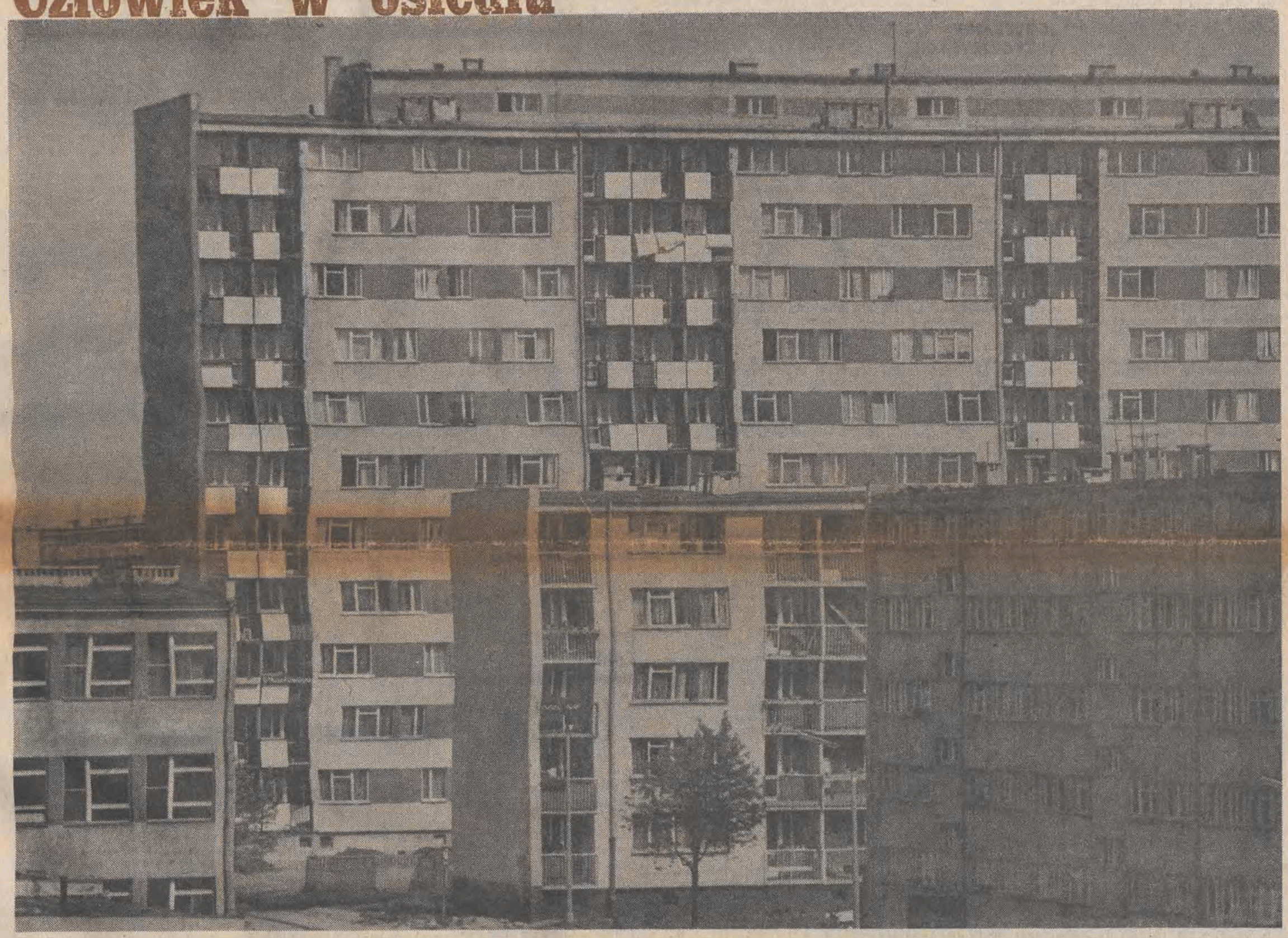

Foto: Zenon Gorzkiewicz

Realizm przeciw mitologii

Charakterystyczne jest, że Plenum KC poświęcone węzłowym problemom dzisiejszego dnia partii poświęciło tak wiele miejsca w swych obradach i uchwałach jej historii — przyjęto wstępną redakcję tzw. „raportu Kubiaka", zapadła uchwała o upowszechnianiu dzieł klasyków marksizmu-leninizmu i dorobku polskiej rewolucyjnej myśli marksistowskiej. Świadomie i celowo umiejscawiam dorobek komisji kierowanej przez Hieronima Kubiaka po stronie historii — jest wola i zdecydowanym dążeniem partii, aby sprawy i rzeczy zawarte w tym dokumencie miały wyłącznie charakter historyczny — a więc na tyle tylko związany z naszą teraźniejszością, na ile zawsze przeszłość znajduje we współczesności ocenę, refleksję i twórcze, krytyczne spożytkowanie w myśl starożytnej maksymy o nauczycielce życia...

Było plenum śmiałą próbą — jakże rzadko takie próby podejmowano do niedawna — określenia miejsca, w którym się znajdujemy, punktu na drodze, którą przebyliśmy i po której nadal idziemy. Tak zresztą określił problematykę plenum jeden z dyskutantów, zastępca członka KC Tadeusz Szczepaniak: „...przekazuje uwagi i wnioski. Będą one jednocześnie próbą odpowiedzi na pytania: gdzie jesteśmy i dokąd zmierzamy?"

Blisko dwa lata po IX Zjeździe, półtora roku po trudnym, ale — dziś widać to jak na dłoni — koniecznym przełomie grudniowym 82 roku, centralna instancja partyjna definiuje na codzienny, praktyczny użytek stan, siły i środki, wytycza zadania najbliższe.

Referat Biura Politycznego, dyskusja i uchwały plenum świadczą o realiźmie. Obalają mity...

Mitem jest „społeczeństwo podziemne" czy jak je tam nazywa Wolna Europa. Mitem jest także pełna klęska i rozpad opozycji. — Realnym faktem jest natomiast spychanie podziemia na margines, realnym faktem jest jego izolacja, zwłaszcza w środowisku robotniczym. Mitem jest, że podziemie czy opozycja mają jakikolwiek wpływ na rzeczywistość polityczną i gospodarczą kraju, realnym faktem jest, że walka polityczna trwa i jeszcze długo będzie trwać.

Niebezpieczna mitologia dotyczy sfery gospodarczej. Przyjmowana z entuzjazmem, jako panaceum na wszystkie kłopoty, reforma gospodarcza też łatwo się mitologizuje, jeżeli traktować ją jak jednorazowy akt uzdrowicielski. To wprawdzie Sejm PRL uchwalił odpowiednie ustawy, to wprawdzie rząd wydał i wydaje przepisy wykonawcze, ale prawdziwa batalia o reformę, więc o racjonalizację produkcji, wysoką jakość, oszczędność i wydajność toczy się w zakładach, przy stanowiskach produkcyjnych.

Postępy reformy odsłaniają co dnia nowe pokłady biurokratycznego oporu i zwyczajnej głupoty, nieumiejętności i pospolitego lenistwa. Miesiące i lata będą trwały procesy porządkowania gospodarki, oliwienia trybów i wymiany elementów w tej skomplikowanej aparaturze. Zresztą, jak wskazują doświadczenia wielu krajów są to procesy nie kończące się nigdy — rzecz w tym, żeby prawo i system zarządzania, a także świadomość najszerszych rzesz producentów — robotników, inżynierów, ekonomistów i menadżerów były na ten proces otwarte, żeby stan permanentnej reformy traktować jak stan naturalny i pożyteczny.

Inna, podatna na mitologizację sfera życia społecznego to porozumienie narodowe. Nie jest prawdą, że Kongres PRON zakończył tę sprawę. Nie jest prawdą, że już wszyscy ludzie dobrej woli w Polsce porozumieli się bądź porozumieją się w najbliższych dniach. Nie jest prawdą, że możliwe jest porozumienie wszystkich ze wszystkimi. Otwarta, konsekwentnie prowadzona przez kierownictwo partii polityka porozumienia wyklucza przecież jakiekolwiek aliansę z jawnym wrogiem, jakiekolwiek kompromisy, jeśli dotyczyłyby założeń ustrojowych czy sojuszów międzynarodowych, jeśli miałyby choć o krok zepchnąć nasz kraj i naród z wytyczonej przez partię drogi.

„Porozumienie nie wyklucza walki i dylemat „czy więcej porozumienia czy więcej walki?" jest konstrukcją myślową błędną w założeniu, sprzeczną z prawami dialektyki i z codzienną praktyką polityczną w Polsce.

Jeszcze jeden mit, z którym rozprawiali się na plenum dyskutanci to rzekoma słabość partii, reprezentowanej — jak głoszą zachodni sowietolodzy i propagandyści zimnej wojny — wyłącznie przez etatowy aparat i ludzi z kręgu władzy. Partia — jak z mocą akcentowali dyskutanci ze środowiska robotniczego — krzepnie właśnie wśród załóg, rośnie i rozwija się w swoim podstawowym robotniczym trzonie.

I sekretarz KC Wojciech Jaruzelski w swoim wystąpieniu na XII Plenum powiedział m. in.: „Jest niezwykle ważne abyśmy wyszli z tego plenum z poczuciem siły, która płynie z jedności i zwartości partii, aby spekulacje i rachuby wewnętrznych i zewnętrznych wrogów socjalizmu poniosły kolejny krach, aby partia raz jeszcze dobitnie potwierdziła, iż potrafi skutecznie spełniać swą historyczną misję".

Przegląd prasy

PRETENSJE POD ADRESEM LUDWIKA KRASUCKIEGO

zgłosił w „RZECZYWISTOSCI" (nr 22 z 29 maja 1983 r.) Włodzimierz Lebiedziński w artykule zatytułowanym „Ludwika Krasuckiego metoda". Odnosi się to do artykułu Ludwika Krasuckiego w „Polityce" (nr 15 z 9 lutego 1983 r.) pt. „Nie taka sama". Włodzimierzowi Lebiedzińskiemu chodzi o to, że L. Krasucki we wspomnianym artykule *„przy okazji z całą premedytacją wtrąca moje nazwisko, ustawiając je w rzędzie wewnętrznych przeciwników partii z pozycji zachowawczych. Sam zaś jawi się jako jej twórczy przedstawiciel".*

Zdaniem Włodzimierza Lebiedzińskiego jest to metoda zwana głośnym wołaniem *„Łapaj złodzieja!"*. Bowiem L. Krasucki *„nie cytuje ani jednej* — pisze Wł. Lebiedziński — *mojej wypowiedzi, nie przytacza żadnej myśli czy jej fragmentu, acz zdaje sobie sprawę z tego, że od sierpnia 1980 r. ukazało się sporo rozlicznych moich publikacji. Pomija je jednak milczeniem".*

Aliści Wł. Lebiedziński ma pretensje do L. Krasuckiego nie tylko o to. Ma je również i o to, że znając złożony w redakcji „Nowych Dróg" — gdzie L. Krasucki jest zastępcą redaktora naczelnego — artykuł Wł. Lebiedzińskiego pt. „Marksizm a budownictwo socjalistyczne" doszedł do wniosku, iż zawarty tam fragment oceny gdańskich materiałów przygotowywanych na IX Nadzwyczajny Zjazd PZPR znajduje się w sprzeczności z jego opinią wyrażoną w marcu 1981 roku w „Kontakcie". Wspomniany artykuł Wł. Lebiedzińskiego ukazał się w numerze 4 „Nowych Dróg", a odnośny fragment znajduje się na stronie 114:

„W gdańskich materiałach na IX Nadzwyczajny Zjazd PZPR czytamy: „Z marksistowskiej idei o planowości i samorealizacji społecznej związków wytwórców wywnioskowano na zasadzie konstrukcji i łączenia w całość różnych poglądów, że idealnym ustrojem jest ustrój monocentryczny z upaństwowionymi środkami produkcji i ultracentralistyczną organizacją. Zamiast socjalizmu opartego na swobodnej asocjacji wytwórców powstał socjalizm państwowy". („Głos Wybrzeża", 23, 24. 25.I.1981)".

Zarówno w artykule w „Rzeczywistości", jak i w „Nowych Drogach" po cytacie tym następuje takie oto zdanie:

„Podobnych, a nawet bardziej drastycznych i nie mniej mętnych sformułowań materiałów zawierał znacznie więcej"

A tymczasem — jak cytuje w „Rzeczywistości" Wł. Lebiedziński — Ludwik Krasucki w „Kontakcie" napisał w marcu 1981 roku:

„...Przykład hiobowych wieści, jakie krążyły przez dłuższy czas w niektórych gmachach w Warszawie na temat rzekomej herezji Komisji Przedzjazdowej w Gdańsku. Spotkaliśmy się w gronie trzech wysłanników Komisji Centralnej. Słyszeliśmy wiele ostrych słów. W kilku sprawach napotykaliśmy sprzeciw w stosunku do naszych dotychczasowych projektów. Ale na „herezje" nie natrafiliśmy, gdyż po prostu jej tam nie ma".

„Mój adwersarz — pisze dalej Wł. Lebiedziński — *rozpoczął energiczne działanie w rodzimej redakcji. Chodziło o usunięcie przytoczonej wypowiedzi".*

Ale — jak można przeczytać w nr 4 „Nowych Dróg" — wypowiedź ta ukazała się. Wł. Lebiedziński uważa że L. Krasucki — nie czekając na publikację artykułu w „Nowych Drogach" — *„postanowił wcześniej zaatakować, mocno zaś zapewne z ogólnie przyjętych przekonań, że stanowi to najlepszą formę obrony. Nie mając innych możliwości, przypisał mi poglądy, które od dawna zwalczałem".*

Wł. Lebiedziński opowiada też o innych praktykach redakcyjnych L. Krasuckiego, cytując fragmenty swoich artykułów, które wyrzucił mu redaktor L. Krasucki.

Dziwna to trochę polemika, bo nie traktuje o tym, co się ukazało, ale o tym, co się nie ukazało i nie o argumentach, poglądach, myślach, lub choćby ich tylko fragmentach, ale o domniemaniach, posądzeniach i przypuszczeniach. Coś w rodzaju tego — co autor miał na myśli, a czego nam jasno nie wyłożył.

Ten typ dyskusji leży — niestety — w naszej tradycji i naszych zwyczajach polemicznych. Rozprawia się z nimi w „POLITYCE" (nr 22 z 28 maja 1983 r.) Daniel Passent w felietonie pt.

„GRZEBANIE W ŻYCIORYSACH"

gdzie stwierdza, iż:

„Celem grzebania w życiorysach jest zdyskredytowanie przeciwnika politycznego czy po prostu polemisty, bądź człowieka, który myśli inaczej, ale którego nie udało się pokonać w uczciwej rywalizacji, w polemice na argumenty, w zdobywaniu zwolenników, w pojedynku na talenty etc. Celem ubocznym grzebania w życiorysach jest zmuszenie przeciwnika do milczenia, najlepiej przez zainteresowanie nim władz administracyjnych, np. finansowych bądź odpowiedzialnych za zwalczanie współpracy z ośrodkami wrogimi w kraju i za granicą, dalej epatowanie czytelników pikantnymi szczegółami — na ogół zmyślonymi — z życia znanych ludzi, których zamierzamy wykończyć, wreszcie uzyskanie pochwały od swoich protektorów za szerzenie pomysłowego kłamstwa i wykazaną tym samym ofensywność oraz czujność, czyli cechy, jakie powinny cechować hienę życiową".

Daniel Passent chwali na przykład Zygmunta Kałużyńskiego, który zwalczał filmy Andrzeja Wajdy, ale *„nigdy nie grzebał w jego życiorysie poza sprawami artystycznymi i publicznymi"*. Trudno nie zgodzić się z felietonistą „Polityki", tym bardziej, gdy pisze, iż tego rodzaju praktyki mają *„niechlubną tradycję, nie świadczą najlepiej o kulturze politycznej"*. Jest tu jednak pewna — jak mówią Rosjanie — „tonkost". Daniel Passent broni artystów, protestuje przeciw grzebaniu w ich życiorysach lub sprawach prywatnych. A jeśli artysta godzi się udzielić w wywiadzie odpowiedzi na pytanie drażliwe, kłopotliwe, świadom tego, że tą odpowiedzią przecina różne niemiłe mu plotki, a przynajmniej przyczynia się do ich pomniejszenia. Ludzie zawsze są ciekawi prywatnego życia osób publicznych. Kiedyś broniliśmy tej sfery i ludzie publiczni nie mieli oficjalnie życia prywatnego, byli wszyscy jednakowi, nawet przemówienia wygłaszali w imieniu kolektywu, którego byli częścią, a nie własnym. Nie były to najlepsze praktyki. Człowiek publiczny musi godzić się z tym, że część jego życia prywatnego musi ulegać „uspołecznieniu". Pytanie tylko, jaka to część?

Ale oto w „PRZEGLĄDZIE TYGODNIOWYM" (nr 23 z 5 czerwca 1983 roku) ukazał się reportaż Tomasza Sienkiewicza pod tytułem „Z dnia na dzień", w cyklu „Sfery ubóstwa", prezentujący

DZIEŃ POWSZEDNI EMERYTÓW NA KSIĘŻYM MŁYNIE W ŁODZI

Tomasz Sienkiewicz pisze:

„Majster Stefan Marciniak, rocznik 1900, (...) zjadł rosół z makaronem i popił to kompotem (z weku). Do niedawna mieli na dwoje z żoną 3 600 z tzw. starego portfela.

Cecylia Wanatowa, pakowaczka u Scheiblera i za władzy ludowej też, podgrzała jarzynową (...)

Maria Plesiak i Marianna Biegarczyk zjadły zupę pieczarkową, a na drugie danie ziemniaki ze skwarkami i marchewka. Wczoraj miały na obiad zalewajkę... emerytura po 4 850.

Zofia Oldakowa, emerytka z „Obrońców Pokoju", (...) przyrządziła pomidorową z ryżem, a na drugie danie ryż na mleku z jabłkami i cukrem.

— Same ryże były — powiedziała".

Wiem, że jesteśmy społeczeństwem rozwarstwionym również pod względem materialnym, że są ludzie, którzy szastają pieniędzmi i tacy, którzy skrzętnie liczą każdy grosz, każdy wydatek dobrze planują. Wiem, że emerytura emeryturze nierówna. Są więc sfery ubóstwa i są sfery dostatku — mimo kryzysu. Ale, czy to upoważnia kogokolwiek do zaglądania ludziom do talerza i portfela?

Problemy „trzeciego wieku" czekają na swoje rozwiązanie. Emerytom nie żyje się na ogół łatwo i czego innego spodziewali się po przejściu na zasłużony odpoczynek. Nie rozwiąże się tych spraw z dnia na dzień. I trudno dziwić się, że emeryci żyją bardziej wspomnieniami niż dniem dzisiejszym.

— „My się w tym wszystkim czujemy zagubione" — mówi Maria Plesiakowa. A Piotr Chojnacki z domu kultury „Obrońców Pokoju", 55 lat i już na emeryturze, — wspomina z tęsknotą powojenne czasy tego domu kultury:

— „Panie, jakie tu szły piękne sztuki: „Zemsta", „Frania Sowa dola", „Balladyna", „Polacy z Ameryki", „Romans z wodewilu"..."

Stanisława Sabelowa 36 lat była w amatorskim teatrze, najpierw u Scheiblera, później w zakładowym domu kultury, teraz już nie wychodzi z domu, ale chętnie wspomina, jak grała Podstolinę w „Zemście", matkę w „Balladynie", horodniczynę w „Rewizorze". Teraz nawet nie wie, co się dzieje w zakładowym domu kultury, ale wie, że *„w każdym bądź razie teatru nie ma tam już od dawna".*

Trudno mi się nawet dziwić, że Cecylia Wanatowa tak właśnie wspomina przedwojenne czasy:

— „Scheibler to był świetny gospodarz, proszę pana. To osiedle dla swoich robotników wybudował, jedyny w Łodzi, łaźnię na Targowej, ochronkę dla dzieci przy Kilińskiego, szpital na Przędzalnianej — tam nawet moja mamusia leżała. Orkiestrę utrzymywał, w której mój szwagier letnią porą grał na skrzypcach. Tu obok — w parku Źródliska. W niedzielę chodziło się całymi rodzinami słuchać koncertu z muszli. Ludzie nie umieli czytać ani pisać, ale kultura była większa".

Reportaż Tomasza Sienkiewicza powinien stać się obowiązkową lekturą samorządu ŁZPB im. „Obrońców Pokoju", dyrekcji, a także władz dzielnicowych Widzewa.

Stosunek do ludzi „trzeciego wieku" jest niewątpliwie miarą kultury społeczeństwa. Coś na ten temat mówi

LIST EWY ZDZIESZYŃSKIEJ

opublikowany 1 czerwca 1983 roku w „GŁOSIE ROBOTNICZYM". Jest to właściwie odpis listu dyrektora Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Miasta Łodzi — Ryszarda Czubaczyńskiego, który to odpis otrzymała redakcja „GR". W liście tym Ewa Zdzieszyńska, pisze, że jej 30-letnią twórczą pracę w Łodzi skwitowano kawałkiem papieru urzędowego, *„z którego dowiaduję się, że w dniu 20.12.83 roku osiągam wiek emerytalny i kończy się moja praca w teatrze"*. W związku z tym Ewa Zdzieszyńska podjęła decyzję:

„Odchodzę z tego miasta, ponieważ gdzie indziej, na szczęście, są jeszcze potrzebne moje umiejętności tak aktorskie, jak i pedagogiczne. Z żalem opuszczam moją Publiczność, zarówno tę z teatru, jak i tę z parków, estrad, koncertów — zawsze wrażliwą i godną szacunku".

Nie umiemy szanować ludzi i ich pracy, a taki szacunek jest niezbędny dla prawidłowego funkcjonowania społeczeństwa. Może więc warto zacząć uczyć się na błędach.

W „SZPILKACH" (nr 21 z 26 maja 1983 r.) w liście do redakcji występuje

BRUNO RAJCA KONTRA „ŻYCIE LITERACKIE"

Pisze on:

„Niechcący ujawniłem w „Gazecie Krakowskiej", że tygodnik „Życie Literackie" rozchodzi się w 40 tys. egzemplarzy i ma 40 proc. zwrotów. Informacja wywołała gniew, oburzenie, lament, czemu dali wyraz — patrz „Życie Literackie" z 8.V. 1983 — Olgierd Terlecki i Władysław Machejek. Wytoczono mi niezliczoną ilość zarzutów, z których najistotniejszy sprowadza się do stwierdzenia, że jestem głupi, choć tego słowa, jak przystało na pismo kulturalne lub parakulturalne nie użyto, zadowalając się różnymi przykładami o mojej pseudointeligencji".

„Odgłosy" też kiedyś coś napisały o trudnościach „Życia Literackiego", jako że mają podobne i zostały ostro skarcone przez „Żywocik Literacki". Ale rzecz nie w tym. Różnicy zdań, poglądów i stanowisk nie należy ukrywać, bo to do niczego dobrego nie prowadzi. Tego zdania jest też Tadeusz Kupis, który w „PRZEGLĄDZIE TYGODNIOWYM" (nr 23 z 5 czerwca 1983 r.) daje „Pod rozwagę" kilka uwag na temat rozchodzenia się pism. Uwagi te zostały wywołane notką w „Tu i Teraz" z nr 18 zatytułowaną „Od „Odry" do „Poglądów", w której „215" dziwił się, że na Śląsku nie znalazło się wielu czytelników „Poglądów". Przed likwidacją miały one nakład 1000 egzemplarzy netto, a są przecież na Śląsku czytelnicy „Panoramy" i dobrze redagowanej „Trybuny Robotniczej".

OD CZEGO TO ZALEŻY!

— zastanawia się Tadeusz Kupis — że jedno pismo „idzie", a drugie „leży" w kioskach. I przypomina z przeszłości „Trybunę Wolności", „Głos Pracy", „Świat" — pisma mające dobre zespoły, dobrze redagowane, a mające trudności z czytelnikami. I jednocześnie przypomina, że Rafał Praga potrafił w trudnych i złożonych czasach nie tylko dobrze redagować „Express Wieczorny", ale trafiać do czytelnika, co również potrafili w „Życiu Warszawy" też w niełatwych czasach robić Wiktor Borowski i Henryk Korotyński. I nie musiano się uciekać do nacisków administracyjnych — prenumeraty zakładowej, zwiększonych nadziałów dla klubów wiejskich „Ruch" itp. Dziś o powodzeniu pisma musi decydować czytelnik, kupując to, co mu bardziej odpowiada.

„Niektóre kierownictwa redakcji — pisze T. Kupis — są przekonane, iż to czytelnicy mają przystosować się do struktury tematyczno-rodzajowej redagowanych pod swoje własne gusta czasopism. Nie miejsce tu na udawanie takich prawd, jak ta, iż to właśnie redakcja ma poszukiwać czytelników, sondować ich zainteresowania czytelnicze, dostarczać im interesującej lektury. Czasopismo, które nie znajduje odbiorców — wcześniej czy później musi zniknąć z rynku prasowego".

LUCJAN BOGUSZ

Wierni złożonej przysiędze

— Związek nasz powstał w najtrudniejszym dla kraju okresie — powiedział przewodniczący ZWIĄZKU BYŁYCH ŻOŁNIERZY ZAWODOWYCH pułkownik w stanie spoczynku mgr Jan Bednarski. *— W kraju na dobre zaczęto szerzyć hasła destrukcji, rozprężenia i anarchii. Nie mogliśmy dłużej czekać: Ojczyzna znalazła się w zagrożeniu. Jesteśmy żołnierzami, wielu z nas składało przysięgę w lasach nad Oką. Ślubowaliśmy, że będziemy walczyć o Polskę Ludową, choć wtedy tej Polski nie było jeszcze na mapach. Tę wierność udokumentowaliśmy trudami, potem i własną krwią. Po zatknięciu biało-czerwonego sztandaru na gruzach Berlina powróciliśmy do kraju, by nadal prowadzić walkę o umacnianie władzy robotniczo-chłopskiej. I nie zdejmowaliśmy naszych mundurów przez całe lata Polski Ludowej, zrośnięci z nią na dobre i na złe, na śmierć i na życie.*

Niestety, nie dano starym wiarusom, bohaterom spod Lenino, z walk o Kołobrzeg, zdobywcom Berlina, na spokojny żywot emerytów. W latach 1980/81 Ojczyzna znalazła się w niebezpieczeństwie. Żołnierze wierni złożonej przysiędze ponownie stanęli w szeregu. Właśnie wtedy powołano ZBŻZ, organizację zarejestrowaną jako Stowarzyszenie Wyższej Użyteczności.

ZBŻZ działa zaledwie trzeci rok, a już skupia w swoich kołach wielu byłych żołnierzy zawodowych i stał się organizacją ogólnopolską. Kiedy opracowywano program, mandatariusze podkreślili szczególnie mocno fakt patriotyczno-obronnego wychowania młodzieży. Obok pomocy socjalnej dla żołnierzy starych i schorowanych, nie zawsze dających sobie radę z trudami życia codziennego, sprawa wychowania młodego pokolenia Polaków zajmuje najwięcej miejsca.

Dotychczas nie było związku zawodowego, skupiającego tych wszystkich, którzy po skończonej wieloletniej służbie zawodowej w Ludowym Wojsku Polskim przechodzili na emeryturę. Nie było organizacji, która tych, przeniesionych nagle w inne środowisko ludzi, jednoczyła i niosła im pomoc. Dziś tę lukę wypełnił ZBŻZ. Jeszcze nie tak dawno funkcjonowało zarządzenie, że np. oficer w służbie czynnej korzystał z 50 proc. zniżki kolejowej, ale z chwilą przejścia na emeryturę tę zniżkę natychmiast tracił; oficerowie, którzy odeszli na emeryturę w latach sześćdziesiątych nadal korzystają z tzw. starego portfela emerytalnego; oficerowie spędziwszy w wojsku nie tylko młodość, ale i całe dorosłe życie przechodząc w stan spoczynku byli podobni do ryby wyrzuconej nagle na brzeg — trafiali do zupełnie obcego im środowiska, do świata w którym rządzą inne, nie znane im prawa. Teraz ZBŻZ prostuje te i inne nieprawidłowości, wypełnia pustkę tworzącą się wokół starego żołnierza, dla którego nagle skończyło się coś bardzo ważnego w życiu. Więc załatwia się wczasy, sanatoria dla chorych i schorowanych, ziemniaki na zimę, pomoc przy remontach domów, przeprowadzki na niższe piętra, bo czasem schody są już nie do pokonania. Takich spraw jest wiele, każdy dzień przynosi inne problemy wymagające rozwiązania, a czasem zwyczajnego ludzkiego słowa i czyjejś życzliwej obecności.

W Łodzi, gdzie narodziła się inicjatywa ZBŻZ, działa 15 kół. Ich członkowie uczestniczyli w wielu akcjach uświadamiających w zakładach pracy nazajutrz po wprowadzeniu stanu wojennego, trafiali do szkół i instytucji, działali w zespołach Terenowych Grup Operacyjnych, w komisjach do walki ze spekulacją i nadużyciami, słowem byli wszędzie tam, gdzie wzywał ich żołnierski obowiązek.

Dziś także można ich spotkać w szkołach, na koloniach i obozach, wśród poborowych i wśród organizacji młodzieżowych. Realizują program patrictycznej edukacji, program wychowania obywatelskiego. Przecież ponad 60 proc. oficerów w stanie spoczynku to ludzie z wyższym wykształceniem.

Na zakończenie wypowiedź jednego z członków Zarządu Wojewódzkiego ZBŻZ płk w stanie spocz. Adama Ciesielskiego. Powiedział m.in.: *„Nam nie jest obojętne, jaka ta Polska będzie i jaką drogą ona pójdzie. Gdy byliśmy młodzi złożyliśmy przysięgę, daliśmy swoje słowo, że będziemy o nią walczyć i jej strzec. I nie jakiejś tam wydumanej Polski, ale tej socjalistycznej, leżącej w dorzeczach Wisły i Odry".*

(E)

UWAGA CZYTELNICY!

Serdecznie zapraszamy na spotkanie z zespołem tygodnika „Odgłosy" do Muzeum Historii Miasta Łodzi w czwartek, 9.VI.1983 r. o godz. 17.00.

Chcemy wysłuchać Waszych opinii o piśmie, dowiedzieć się jakie tematy interesują Was najbardziej, co się Wam w piśmie podoba.

Przypominamy, że wystawa jubileuszowa „Odgłosów" czynna jest w Muzeum Historii Miasta Łodzi do 11.VI. 1983 r.

W najbliższych numerach:

- PAWEŁ TOMASZEWSKI O CZŁOWIEKU, KTÓRY ODCZYTAŁ PISMO...
- GRZEGORZ GAZDA O FESTIWALU FILMÓW KRÓTKOMETRAŻOWYCH
- KORESPONDENCJA Z WĘGIER O GINĄCYM ŚWIECIE WIATRAKÓW
- DALSZY CIĄG WSPOMNIEŃ WOJENNYCH PARTYZANTA AK
- URSZULA KOSZUT MÓWI O SWOJEJ PRACY W KRAJU I ZA GRANICĄ, O TEATRZE WIELKIM I O... ŁÓDZKICH HOTELACH
- ŻYDZI — SYJONIZM
- WYSTAWA POLSKIEJ SZTUKI W PARYŻU
- JAK WYBIERANO NAJPIĘKNIEJSZĄ ŁODZIANKĘ!

CZŁOWIEK W OSIEDLU

Konflikt i adaptacja

ANDRZEJ MAJER

Wbrew tytułowi rzecz będzie nie o aktualnej sytuacji w życiu społeczno-politycznym, ale o szarej rzeczywistości osiedlowej. „Osiedle" bywa często tematem dyżurnym, po który sięga się często i chętnie, gdy już nie ma (lub nie można) pisać o czymś innym. Mimo to istnieją dwa co najmniej powody, dla których warto jednak wracać do „osiedlowego tematu", a są to:

1. w większości dużych miast w Polsce mieszka w osiedlach ponad połowa ludności, a więc fakt, że osiedlowa rzeczywistość staje się z wolna dominującą rzeczywistością miejskiego życia,

2. fakt, że w rzeczywistości tej, owym gordyjskim syndromie krytykowanym z prawa i z lewa, można jednak — wbrew pozorom — niejedno poprawić, w dodatku bezinwestycyjnie.

Jeśli przyjmie się za punkt wyjścia, że aby zaspokoić w krótkim czasie olbrzymi głód mieszkaniowy, należy wznosić zespoły wielorodzinnego mieszkalnictwa — czyli zaakceptuje się osiedle jako formę zaspokojenia tego głodu, to wówczas drugi z wymienionych tu powodów okaże się znacznie ważniejszy. Istnieją wprawdzie (teoretycznie) lepsze rozwiązania, niż rzeczywistość osiedlowa, ale trudno je traktować serio znając liczbę oczekujących na jakiekolwiek mieszkanie. Lepiej więc, póki co, pogodzić się z osiedlem i starać odium krytycyzmu skierować ku możliwościom poprawy tego, co już istnieje lub będzie, siłą rzeczy, istniało w przyszłości.

Pogodzić się — znaczy w tym wypadku przede wszystkim: zrozumieć swoją sytuację (aktualnego lub potencjalnego) mieszkańca osiedla, poznać mechanizmy rządzące jego powstawaniem i trwaniem, zmiennością i stagnacją, awansem i rozwojem albo degradacją. To zaledwie kilka haseł z ogromnej listy możliwych do wymienienia, a uwagi te nie pretendują wcale do jej wyczerpania.

Będą poświęcone jednemu tylko, ale za to — jak można sądzić — zasadniczemu wątkowi: konfliktowi i adaptacji. Między tymi biegunami rozgrywa się cała reszta osiedlowego splotu problemów, potrzeb i bolączek, codziennych i niecodziennych kłopotów, a także radości i satysfakcji — bo osiedle obok ciemnych, ma też swoje jaśniejsze strony. Nie siląc się na żadne panaceum, uwagi te będą poświęcone wyjaśnieniu konfliktu i adaptacji w życiu osiedlowym, z pozycji socjologa miasta.

Jedna z najbardziej przydatnych dla naszych potrzeb, akademicka (choć może nie najnowsza) definicja konfliktu Jessie Bernarda brzmi: **„Konflikt między grupami istnieje, gdy występuje podstawowa niezgodność ich wartości, celów, interesów itp. tak, że jeśli jedna grupa dostanie to, co chce, inna grupa nie może dostać tego, czego z kolei chce ona".**

Pomijając na razie zagadnienie między kim a kim występować może konflikt wiemy już, że aby samemu coś dostać, należy komuś coś odebrać. Krócej: **nie wszyscy wszystko mogą mieć**, stąd konflikt.

Sprowadzając teraz pojęcie konfliktu na płaszczyznę życia osiedlowego wyobraźmy sobie, że może on dotyczyć następujących sfer:

1. konfliktu między naszym systemem wartości a możliwościami zadośćuczynienia tym wartościom w danych warunkach. Wydawać by się mogło, że niemal wszyscy Polacy marzą o jednorodzinnym domku z ogródkiem. W świetle wiarygodnych danych z badań w 1976 r., czyli ostatnich opublikowanych — wydaje się to być mitem. Mieszkańcy centrum Warszawy w 3/4 wolą mieszkać w budynkach wielorodzinnych, ale mieszkańcy podwarszawskiej Podkowy Leśnej — już tylko w 1/5. Okazuje się więc, że na wyobrażenia o właściwym dla siebie rodzaju budownictwa mieszkaniowego mają wpływ konkretne doświadczenia: ludzie preferują to, co jest im bliższe i bardziej znane. Ale mimo tego jednorodzinny domek nie znika z pola widzenia i nie przestaje być celem — a zatem dla sporej części społeczności miejskiej zamieszkiwanie w osiedlu odczuwane jest jako przymus — raz rozumiany jako konieczność pogodzenia się z przysłowiowym losem, raz jako rezygnacja z ideału. Mamy oto dwie strony konfliktu: wyobrażenia (system wartości) i ich realizacja (osiedle).

2. konfliktu między skalą przestrzenną, w której człowiek czuje się względnie bezpiecznie, jest „soba" — to znaczy widzi samego siebie we właściwych proporcjach wobec owej skali, **a realizowaniem ogromnych jednostek osiedlowych np.** Retkinia w Łodzi (ponad 75 tys. mieszkańców) czy Ursynów w Warszawie (ponad 110 tys.). Najbardziej „ludzka" skala przestrzeni i liczebności, o której pisał jeszcze Arystoteles, a którą określili ostatecznie socjologowie w XX w. wynosi 5 — **10 tys. mieszkańców.** jako optymalna wielkość jednostki osiedlowej, zapewniającej pewien komfort postrzegania siebie we właściwej skali przestrzennej.

Dlaczego więc jest inaczej? Jedna tylko z możliwych odpowiedzi brzmi: **bo komfort taki nie jest dobrem przeliczalnym na ekonomiczne efekty i po prostu niezmiernie rzadko brany jest pod uwagę.** Drugi aspekt tej samej płaszczyzny konfliktu — to „ludzka skala" a wielkość budynków. Tylko bardzo młodzi ludzie doznają satysfakcji z zamieszkiwania na (powiedzmy) 15 piętrze; dla pozostałych — zwłaszcza matek nie mających żadnej kontroli nad bawiącymi się na dole dziećmi — stać się to może prawdziwą udręką. Im wyższy budynek — tym lepsze efekty ekonomiczne, ale też większe uzależnienie od techniki i tzw. infrastruktury, co w konkretnych sytuacjach oznacza: niepokój czy winda działa, czy woda dojdzie na wyższe piętra lub co dzieje się z samochodem.

W końcu lat 70 budowano w Warszawie około 1/3 budynków wyższych niż 5 pięter, a jednocześnie z badań prowadzonych w tym samym czasie wynikało niezbicie, że im wyższe piętro — tym chętniej ludzie się z niego wyprowadzali, szczególnie rodziny z małymi dziećmi, np. osiedle Za Żelazną Bramą: 1/3 wyprowadzek z ostatnich pięter w ciągu 7 lat istnienia dużych bloków.

3. konfliktu między własnymi potrzebami, stosownie do wieku i stanu cywilnego, liczby dzieci itp. — **a normatywami powierzchniowymi,** „sztywnością" i nieustawnością mieszkań, ciasnymi kuchniami i przedpokojami, budowlaną partaniną, usterkami, przemarzającymi ścianami, przeciągami na wylot przez całe mieszkanie, kłopotami z kupnem i dopasowaniem mebli itd. itd. Ponad 60 proc. mieszkańców (znów wyniki badań sprzed kilku lat) chciałoby mieć 4-pokojowe mieszkanie, z dużą i jasną kuchnią, najchętniej na I p. Chciałoby — a tymczasem przychodzi im upychać się jakoś w M-2 lub M-3, z perspektywą dogęszczenia, gdy dzieci założą własne rodziny.

Jedną z największych dolegliwości, stwierdzoną w wyniku sondaży, jest poczucie wymuszonego wepchnięcia samego siebie w mieszkaniową „klatkę", a tym samym ograniczenia swoich potrzeb przestrzennych do koniecznego minimum. Oblicza się, wedle nowych danych, że około połowy dzieci nie ma w blokach własnego pokoju, a 1/3 nie ma nawet własnego posłania, gdy tymczasem pośród kryteriów zadowolenia z mieszkania — na pierwszym miejscu zdecydowanie przeważa „dobro dzieci", czyli, zapewnienie im godziwych warunków mieszkaniowych.

To tylko bardzo selektywnie i skrótowo dobrane wskaźniki, by nie nużyć czytelnika szczegółami, a w dodatku — dotyczą zaledwie jednej płaszczyzny konfliktu: materialnej. A inne płaszczyzny: **społeczna, kulturowa?**

Wielki polski socjolog Stanisław Ossowski pisał przed wielu laty:

„Czynnikiem destrukcyjnym w stosunkach społecznych (na osiedlu) jest przymus. Przymus obcowania z ludźmi i przymus obcowania z takim, a nie innym doborem ludzi".

W dużym osiedlu jest się skazanym na sąsiedztwo, na oglądanie, słuchanie, a nawet odczuwanie innymi zmysłami obecności wokół siebie obcych ludzi i samemu także jest się w ten sam sposób wystawionym na publiczny widok, kontrolę, podglądanie, ingerencję...

Barbara Ward w niedawno przetłumaczonej, głośnej książce „Dom człowieka" pisze o silnym poczuciu deprywacji doznawanym przez mieszkańców osiedli niemal na całym świecie, o czymś, co możemy rozumieć jako splot odczuwania braku bezpieczeństwa i nieustannego **bycia „nie u siebie".** Trzeba być wyjątkowo młodym lub mieć silną osobowość, by temu uczuciu nie ulegać.

Starałem się tu zarysować uproszczony i dalece niepełny obraz źródeł konfliktu, który powstaje zawsze wtedy, **gdy rzeczywistość nie odpowiada naszym o niej wyobrażeniom.** Konflikt ten ma z reguły postać subiektywną, to znaczy postrzegamy go przez pryzmat własnych standardów i upodobań. Jego istota polega właśnie na tym, że **aby spełnić nasze oczekiwania — trzeba byłoby w aktualnych warunkach nie spełnić oczekiwań kogoś innego.** Dla przykładu: aby wszystkim zapewnić mieszkania 4-, 5-pokojowe na I piętrze, można by było obdzielić nimi tylko część oczekujących. To znaczy: wydłużyć kolejkę po mieszkanie jeszcze bardziej. Są to prawdy tak oczywiste, że aż w swojej oczywistości banalne. W dodatku — wcale nie usuwają istoty konfliktu, bowiem wedle wszelkich obiektywnych prawideł potrzeby i oczekiwania społeczne rosną zawsze szybciej, niż możliwości ich zaspokojenia. To druga z banalnych prawd, warta jednak przypomnienia po to, ażeby uzmysłowić nieuchronność tego konfliktu; a jak twierdzą teoretycy — czasem także jego konieczność.

Po drugie: wszystkie te uwagi mogą być łatwo i słusznie przeciwstawione poglądowi, że osiedle czy mieszkanie — jakiekolwiek by nie było, nawet z wbudowanym zapalnikiem konfliktu — jest zawsze lepsze od nieposiadania mieszkania. W tym miejscu dyskusję można spokojnie zamknąć.

Nie zamierzam dalej poruszać kwestii wyjścia z mieszkaniowego impasu, czyli programów tzw. intensyfikacji budownictwa, poszukiwania szans w budownictwie jednorodzinnym, patronackim czy „małych spółdzielni". Są to bowiem problemy polityków i techników, zajmujące poczesne miejsce w realizacji „opiekuńczej" funkcji naszego państwa — podobnie jak w większości państw we wszystkich Trzech Światach.

Chciałbym teraz zwrócić uwagę, że opisywany konflikt ma swoje dialektyczne przeciwieństwo: adaptację lub bardziej po polsku — **przystosowanie.** Wydaje się, że błędem, przed którym nie ustrzega się wielu piszących o sytuacji mieszkalnictwa w Polsce jest właśnie dostrzeganie odwrotnej strony medalu: adaptatywności człowieka nawet — co zostało dawno już potwierdzone w stosownych badaniach — do skrajnie nie sprzyjających warunków. Nie omieliłbym się pisać tego rodzaju oczywistych prawd, gdyby istniał choć jeden wiarygodny i przekonywający dowód na to, że to osiedla — same przez się — są rzeczywistym rozsadnikiem zła, agresji, frustracji, chorób psychicznych lub tzw. patologii. Takie sugestie można wyprowadzić z wielu tekstów ukazujących się na temat budownictwa blokowego, a tymczasem **są to poglądy znacznie uproszczone albo niekiedy wręcz „ćwierć-prawdy".** Realne jest tylko to, że osiedla mogą potencjalnie sprzyjać, poprzez swoje cechy: materialne, a głównie — społeczne, koncentracji wskaźników niepożądanych zjawisk i zachowań. Dlaczego? Odpowiedź nie jest łatwa, ale sądzę (opierając się na bardziej naukowych przesłankach) że właśnie poprzez fakt koncentracji na stosunkowo niewielkiej przestrzeni dużych mas ludzkich, wśród których łatwiej tym samym znaleźć przykłady społecznego zła. Skupienie ludzkie, jak przekonywali starożytni, jest zawsze bardziej niebezpieczne niż rozproszenie. Chodzi jednak o to, że **skupienie takie może być równocześnie bardziej miłe, niż samotnictwo.**

Wybitny znawca życia społecznego w mieście, Paweł Rybicki, buduje z opozycji skupienia — rozproszenia główny mechanizm „miejskości" jako swoistego stylu życia. Życie wśród ludzi, twierdzą inni teoretycy, jest równie potrzebne dla psychicznego zdrowia, jak minimum indywidualności i prywatności. Cała sztuka w tym, by umieć odpowiednio wypośrodkować granice między pro-społecznymi i anty-społecznymi instynktami. W warunkach osiedlowych wyraża się to poprzez zapewnienie sobie niezbędnego minimum prywatności przy równoczesnym „otwarciu" na kontakty z innymi. Jest to po prostu niezbędne.

Spróbujmy, podobnie jak w wypadku konfliktu, zarysować przybliżone do rzeczywistości **płaszczyzny adaptacji:**

1. Okazuje się na podstawie badań, że **przystosowanie się** do materialnych warunków życia w osiedlu i bloku postępuje najszybciej. Aby uniknąć mało przekonywających argumentów procentowych sięgnijmy do zasobu własnych obserwacji. Wskaźnikami adaptacji są: wydeptywanie ścieżek tam, gdzie ludziom wygodniej, urządzanie wedle własnych gustów balkonów i loggii, budowanie w mieszkaniu pawlaczy, schowków i wnęk (pomysłowość wymuszona ciasnotą powierzchni jest tu wprost nieograniczona), a na znanym mi osobiście łódzkim osiedlu Radogoszcz — zakładanie przed oknami parterów ogródków, notabene coraz częściej wzbogacanych hodowlą kur i królików. Można oczywiście skwitować te wszystkie przykłady stwierdzeniem, że są one konieczne i nie ma w tym nic nadzwyczajnego. Mimo to — świadczą wyraźnie, że dokonuje się adaptacja, że **ludzie próbują dopasować się do stworzonych im warunków egzystencji** inwestując w mieszkania i ich otoczenie; nikt nie robi tego na chwilę, ale na dłuższy czas. Francuski psycholog Elisabeth Rohmer pisała, że w ten sposób człowiek urządza sobie własną „niszę ekologiczną", jak ptak ulepsza gniazdo.

2. Adaptacja do tego, co nazywamy **płaszczyzną współżycia społecznego,** następuje zwykle wolniej, z pewnymi oporami. Angielscy socjologowie opublikowali kilkanaście lat temu głośną **„hipotezę faz"** głoszącą, że w przystosowywaniu się do społecznego otoczenia na osiedlu można wyróżnić trzy główne etapy.

Pierwszy — według nich **faza „otwartych drzwi"** — jest okresem pionierskiej solidarności, wspólnoty w nieszczęściach wynikających z nowości osiedla, więzi łączących ludzi przy wspólnym usuwaniu usterek, spontanicznej samopomocy — ale motywowanej głównie ciekawością: jakie jest to nasze nowe, ludzkie otoczenie? Kiedy mija okres pionierski (mniej więcej 3 lata od chwili otrzymania kluczy), ma miejsce **faza „zamkniętych drzwi"** — czyli okres urządzania się, kompletowania mebli, zakładania kafelków i boazerii. Symboliczne drzwi są zamknięte albo dlatego, że nie mamy się jeszcze czym pochwalić przed nieznajomymi, albo też — bo nie życzymy sobie kontaktów z ludźmi biedniejszymi, mniej zaradnymi, nie na naszym „poziomie". Kiedy mija i to (średnio około 6—7 lat od chwili wprowadzenia) — **drzwi ponownie się otwierają;** tym chętniej dla ludzi, którzy właściwie potrafią docenić nasz wysiłek, ale także dla tych „gorszych" — bo okazują się oni miłymi lub przynajmniej potrzebnymi sąsiadami.

Dopiero wtedy tworzy się osiedlowa społeczność, rozkwita sąsiedztwo; nie tylko „znajomościowe", ale także „świadczeniowe", połączone z wzajemnymi usługami, odwiedzinami itp. Najczęściej ułatwiają nam kontakty w nowym miejscu zamieszkania dzieci: one najszybciej przełamują bariery i przeskakują niejako kolejne fazy, bawiąc się między sobą bez względu na uprzedzenia rodziców. Łączyć może także wspólne hobby; najłatwiej poznać sąsiadów z osiedla mając psa lub dłubiąc na parkingu przy samochodzie.

3. Najtrudniej postępuje **adaptacja do zasad społecznego współżycia,** wynikających z faktu obecności wokół nas innych ludzi. Mam tu na myśli hałasy, głośną muzykę, fortepianowe wprawki i tym podobne uciążliwości, na które skazujemy współmieszkańców lub sami jesteśmy skazani. Obserwacje pokazują, że tylko część owych uciążliwości przeradza się w zaciekłą, wzajemną niechęć; reszta jednak znajduje pomyślne dla ogółu rozwiązanie. Można znowu kwitować stwierdzeniem, iż jest to dopasowanie przez przymus — ale mimo to następuje, a negowanie tego faktu byłoby równie nieobiektywne, co akcentowanie wyłącznie ciemnych stron życia w osiedlu.

Znów mamy tu do czynienia z pobieżną tylko, dalece niepełną listą płaszczyzn adaptacji. Celem nie było zresztą wyczerpanie wszystkich przykładów; na to nie starcza miejsca obszernym naukowym traktatom. Chodziło tu przede wszystkim o zwrócenie uwagi na rzeczywistą, dającą się zobiektywizować w analizach socjologów i — co ważniejsze — potwierdzić chyba w świetle codziennych doświadczeń — dwoistość życia w osiedlu mieszkaniowym: **od konfliktu do adaptacji.** Pierwszy z tych biegunów jest dominantą początkowych lat zamieszkiwania, ale po nim, z żelazną konsekwencją wyznaczaną przez zegar społecznego życia — następuje przystosowanie.

Czy z uwag tych ma wyniknąć, że i konflikt, i adaptacja są czymś na tyle nieuchronnym, że nie można usiłować łagodzić skutków jednego, a maksymalizować oddziaływania drugiego? Wprost przeciwnie: **istnieje cała rozmaitość indywidualnych czy grupowych alternatyw, strategii i sposobów.** Zależą one od wielu czynników, sprzyjających bądź odstręczających: niekiedy także pewne aspekty mają postać barier nie do pokonania. Nauka o społeczeństwie nie jest w stanie zapisać dokładnej recepty jak lekarz, potrafi tylko wyjaśniać niektóre objawy lub — rzadziej — łagodzić skutki. Mimo to wiele problemów daje się pomyślnie rozwiązać. Ale jest to temat do innego artykułu.

Foto: R. Łucyszyn

Żyć na wsi

RYSZARD BINKOWSKI

Najlepiej patrzy się na wieś zza biurka lub przez szybę chyżo mknącej czarnej wołgi. Pejzaż zmienia się jak w kalejdoskopie, cieszy oko ład, dostatek, dumą i optymizmem napawa widok nowych domów, stodół, obór, bujnych, soczyście zielonych łanów. Zagon chwastów umknie nawet oku fachowca. Ale nie każdego. Ostatnio pewien spec od rolnictwa, z tytułem naukowym, zatrzymał się na polu zarośniętym żółtym kwieciem i ze zgorszeniem zbeształ rolnika, że ten nie pryska płynem chwastobójczym tej cholernej ognichy. Chłop odparł z wredną chłopską pokorą, że zaraz spryska. A potem zaśmiał się z goryczą, bo to jego pole pełne było kwitnącego właśnie rzepaku.

Słuszność więc ma Lucjan Bogusz, autor publikacji „Żyć na wsi", w numerze 19 „Odgłosów", twierdząc, iż poglądy na temat życia robotników i chłopów są częstokroć mylne, ponieważ *„nie jest łatwo, ani w mieście, ani na wsi"*. W zamian L. Bogusz proponuje przegląd danych statystycznych o warunkach życia na wsi w woj. miejskim łódzkim.

Rzetelna statystyka może z aptekarską dokładnością wykazać przybytki i ubytki, osiągnięcia lub straty w dziedzinie materialnej, nigdy jednak nie odzwierciedli życia, nie ukaże człowieka z całą złożonością jego problemów, kłopotów i radości, trudu, myśli i poglądów. Gdyby bowiem nawet wierzyć święcie danym, to poprzez liczby roztacza się widok na wieś podobny temu zza biurka lub z okna samochodu.

Czy fakt, że tylko 8,6 proc. ludności mieszka na wsi łódzkiej, ostrzej i jaskrawiej uwydatnia różnice w poziomie życia i jego warunkach? Nie wiem, ponieważ województwo z jedenastoma gminami nie jest województwem z prawdziwego zdarzenia. To po prostu aglomeracja, z wielką Łodzią pośrodku i miastami-satelitami, wokół których grupują się ciążące ku nim wsie. I bodajże tylko jedna gmina, Parzęczew, jest w tym krajobrazie nieco inna, biedniejsza, z bardziej typowymi rolniczymi wsiami, chociaż i stąd co rano autobusy wywożą ludzi do fabryk. Wprawdzie w tym małym województwie, które jest ewenementem w Europie, osiąga się już niezłą produkcję rolną i tworzy tzw. pierścień mleczny, co z kolei jest ewenementem w Polsce, lecz znaczna część gospodarstw zajmuje się sadownictwem, warzywnictwem i ogrodnictwem szklarniowym lub pod folią. Ogromne rozdrobnienie gospodarstw, tysiące tzw. dwuzawodowców, bez których szczególnie dziś nie poradziłby sobie przemysł łódzki, charakterystyczny, warzywniczo-ogrodniczy profil produkcji oraz bezpośrednie sąsiedztwo miast, w tym łódzkiego molocha, sprawiły, że nie mamy w aglomeracji typowej wsi polskiej. Ale właśnie te uwarunkowania powodują zacieranie się różnicy w poziomie życia między miastem i wsią.

Jednak nie pod każdym względem. Lucjan Bogusz ma rację twierdząc, iż wieś jest rozwarstwiona, a także, że ostrożnie trzeba oceniać wysokość dochodów i oszczędności pieniężnych rolników. Bo nieliczne jeszcze wysokotowarowe gospodarstwa rolne lub ogrodnicze mogą nam całkowicie zaciemnić obraz sytuacji. Wiszące na drążkach pęta suchej kiełbasy też nie świadczą o dostatku i nadmiernym obżarstwie. Chłop nie ma kartek, żeby kupić co tydzień świeże mięso i wędliny, więc zabija świnię, ropi zapasy i zjada przez pół roku.

A cóż ma począć dwuzawodowiec, jeden z tysięcy mu podobnych, którzy także nie otrzymują kartek? Ma za to na utrzymaniu żonę i troje dzieci, pensję z fabryki w wysokości piętnastu tysięcy złotych oraz drobną działkę, na której nie sposób uchować świniaka, co najwyżej parę kur lub królików. Taki chłoporobotnik może śnić o dobrobycie...

A jeśli dwuzawodowiec zrezygnuje z roboty w fabryce, to start na gospodarce ma niełatwy. Szklarni nie wybuduje. Nie tylko dlatego, że brakuje materiałów. Dziś średniej wielkości szklarnia, z kotłownią i centralnym ogrzewaniem kosztuje około miliona złotych. Skoro jednak mały kawałek ziemi nie wyżywi rodziny, można pokusić się o tańszą inwestycję i postawić tunel foliowy. Facet buduje więc tunel, idzie zakontraktować ogórki, a urzędnik mówi, że nie potrzeba. Pewnie jakiś prorok, co przewidział klęskę urodzaju, a że przetwórstwo słabe, więc nie ma się co poprać z ogórkami. Tylko, że wszyscy na tym tracą. Bo gdyby facetowi zakontraktowano ogórki, otrzymałby folię za dziesięć tysięcy złotych, po cenie państwowej. Bez kontraktacji początkujący badylarz musi kupić folię prywatnie, za dwadzieścia pięć tysięcy. Różnicę odbija sobie niejako przymusowo, sprzedając ogórki na wolnym rynku. Traci czas na handlowaniu, Spółdzielnia Ogrodnicza ma mniejszy obrót, a robotnikowi z miasta lżej w kieszeni. I któż jest temu winien, redaktorze Bogusz, że jeden drugiemu robi koło nawisu?

To prawda, że od chwili podwyżki cen na płody rolne w ciągu dwóch lat wzrosły dochody rolników, zwłaszcza dobrych gospodarzy. I bywa tak, że w bankach leżą martwe pieniądze, które można by zainwestować w budynki inwentarskie, domy i maszyny. Martwy pieniądz nie daje przyrostu żywności. I nikt chłopu nie przetłumaczy, że to wina kulawego przemysłu? Chłop wie, że oddał miastu swoje najlepsze dzieci, co było nieodwracalną stratą dla rolnictwa, ale dzięki temu kosztem wsi rozwinął się przemysł, z którego wieś dostaje bardzo mało.

Ale od pewnego czasu chłopskie pieniądze nie płyną już do banków. Wszystkie sektory rolnictwa stały się równe. Chłop ma pewną przewagę nad konkurencją, gdyż część swoich produktów może sprzedać na wolnym rynku. Ale prawdziwy rolnik, właściciel dużego gospodarstwa, który chce inwestować i kupować od państwa środki produkcji, nie ma czasu na handelek, szczególnie gdy mieszka daleko od miasta. Rolnik sprzedaje państwu po cenach urzędowych, a kupuje po wysokich cenach umownych.

Wszystko zdrożało, składki emerytalne i ubezpieczeniowe wzrosły ponad dwukrotnie, zdrożał poważnie olej napędowy, byle drobiazg do maszyny zamiast stu złotych kosztuje dziś tysiąc zł. Sytuację może zmienić zapowiedziana podwyżka cen skupu od 1 lipca tego roku.

Lucjan Bogusz dostrzega pośród piętrowych domów i willa na podłódzkiej wsi *„chaty chylące się ku upadkowi, kryte słomą"*. Otóż mnie również żal jest tradycyjnego, drewnianego budownictwa, z pięknymi dwuspadowymi dachami. Rzecz jednak w tym, że nie ma już w podłódzkim pejzażu ani jednej słomianej chaty, albowiem na początku lat siedemdziesiątych ówczesny prominent zarządził w byłym wielkim województwie akcję „Strzecha". I pod groźbą kary zlikwidowano wszystkie strzechy. I może to nawet dobrze, bo mniej pożarów, a dwuspadowe dachy ostały, pokryte eternitem, o który dziś niełatwo.

A w ogóle to nie zazdrościmy wsi budownictwa. Dziś bowiem najcięższym przekleństwem pod adresem sąsiada stało się: *„Obyś się budował!"*. Dlatego mnie osobiście nie rażą np. same wille ogrodnicze, lecz ich brzydota. Tak się jednak buduje, jak pozwalają warunki. Na te wille pracowały po trzydzieści lat całe rodziny. Te murowane domy wznosili latami chłoporobotnicy, zaharowani, niedospani, ale za to nie brali mieszkań w blokach. Natomiast chłop buduje z trudem najpierw stodołę, oborę, chlewnię, a dopiero gdy te dadzą mu pieniądze, zabiera się do wznoszenia domu. I jeśli z gaszczu liczb, od których można dostać zawrotu głowy, wyłania się informacja, że na jedną izbę przypada 1,09 osoby, to nie świadczy to wcale o luksusie i wspaniałym tempie budownictwa wiejskiego. To jest smutne, bo częstokroć jeden człowiek zajmuje nawet trzy izby. Ale są to izby stare, a człowiek też stary, samotny. Starzejąca się wieś, a młodzi w mieście. Tutaj dopiero statystyka staje się przerażająca...

Niech nas także nie łudzi długość linii wodociągowej: w Łodzi 1003 km i 155 km na wsi. Zagrody wiejskie są rozrzucone, toteż z kilometra linii korzysta niewiele gospodarstw. Potwierdza to wiceprezydent Łodzi, inż. Lech Krowiranda: w woj. łódzkim wybudowano 25 wodociągów zbiorowego zaopatrzenia w wodę dla 39 wsi, natomiast w ok. 100 wsiach występuje ciągły lub okresowy deficyt wody. Kiedy więc statystyka mówi, że wodociąg jest w 30,4 proc. wiejskich mieszkań, to ogromną większość stanowią tu wodociągi zbudowane przez rolnika na potrzeby zagrody, z własnym hydroforem, co jest niezwykle kosztowne. A przy tym najczęściej woda jest złej jakości, studnia źle usytuowana, blisko gnojowników, obór, i chlewni, stąd woda zanieczyszczona i ludzie chorują.

Czy mogą bez przeszkód korzystać z pomocy lekarskiej? Sądząc po danych statystycznych — tak! Tylko nie rozumiem, czemu w woj. miejskim jeden ośrodek zdrowia przypada na 4.103 mieszkańców. No, bo jeśli w gminie jest jeden ośrodek, a gmina liczy średnio 8—10 tys. mieszkańców? Być może nie mam racji, być może jest tak, jak wykazuje statystyka. Uważam jednak, że ośrodki zdrowia są gorzej wyposażone niż przychodnie w mieście, a poza tym brakuje w nich wielu specjalistów. Tymczasem wieś podłódzka zrównała się z miastem we wszystkich chorobach cywilizacyjnych, łącznie z zatruciami chemicznymi, urazami powypadkowymi, nerwicami, astmą i zawałami.

A teraz, stosując się do zaleceń Lucjana Bogusza wyciągam wniosek w sprawie usług świadczonych dla wsi. Dlaczego na 10 tys. mieszkańców wsi mamy tylko 6 uspołecznionych zakładów usługowych? Powiedzmy sobie szczerze: chłopi jako usługobiorcy mieli się wykruszyć, ziemia zaś miała przejść we władanie Spółdzielni Kółek Rolniczych. Więc po co chłopom punkty usługowe? W parze z błędną polityką rolną szło zapalanie i gaszenie zielonego światła dla rzemiosła. Wyginęli więc kowale, bednarze, szklarze, stolarze, nawet murarze i cieśle. Jakby nie wiedziano, że do rolnictwa musi wkroczyć postęp, a wraz z nim armia wyspecjalizowanych fachowców.

Statystycy stracili sporo czasu na podliczenie punktów gastronomicznych we wsiach. Tymczasem gospoda ludowa jest tam problemem, ale nie dotyczącym kwestii wyżywienia, lecz rozwoju pijaństwa. Chłop nie jada w gospodzie. Chłop w gospodzie pije z rozpaczy, gdy sprzeda w geesie świniaka po takiej cenie, że płakać się chce, albo z wściekłości, jak go wnerwią urzędasy w urzędzie gminnym.

Problemem natomiast staje się handel wiejski. Sieć sklepów nieliczna, rozrzucona, do sklepu trzeba wędrować po parę kilometrów. Jeszcze gorzej z zaopatrzeniem, brakuje nawet artykułów codziennego użytku. Kiedyś w wiejskim sklepie była nafta do lamp, śledzie, kiełbasa, cukierki i nikt się nie struł. A za Gierka wycofano ze sprzedaży mydło proszki, płyny do prania, bo niehigienicznie, koliduje z przepisami i żywnością. I po takim zarządzeniu stara babina wędruje po 10 km do sklepu w miejscowości, gdzie urząd gminny, bo tylko tam są artykuły drogeryjne, żelazne, tekstylne, itp. To znaczy, te pierwsze już są, ale pozostałe... Buty gumowe obrosły w legendę, proste narzędzia rolnicze również, o majtkach, skarpetkach i butach do kościoła nie warto pisać...

Tak to jest. Mówiło się, że dzielić po równo, to nie znaczy sprawiedliwie. Ustalono więc, że masę towarową podzieli się proporcjonalnie do liczby ludności. No i 70 proc. trafia do miast, a reszta na wieś. I dlatego łodzian szlag trafia na widok samochodów spoza Łodzi, sterczących pod „Centralem" i „Uniwersalem". Ale czy słusznie?

Wreszcie sprawa kultury. Zlikwidowano część klubów wiejskich, bo chłop miał robić w polu, a nie żłopać kawę. Wódeczki miał za to w sklepie skolko godno. A kino? Miasto pod bokiem i kin od cholery! Tylko, że rolnik nie ma czasu na wyjazdy i nie ma benzyny. Źle się stało, że zaprzestały działalności kina objazdowe. Dziś prawie w każdej wsi jest sala w remizie i prąd elektryczny, toteż wszędzie ludzie mogliby obejrzeć coś ciekawego. Wieś nie zna nawet tych starych filmów kinowych. I niech Lucjan Bogusz, na Boga, nie pisze więcej, że wieś ma lepsze filmy w telewizji! No bo jakie? „Latawiec" czy „Jest mi lekko"?. Po „Szpitalu na peryferiach" długa przerwa, a potem tandeta i nuda, jak cała zresztą nasza sietryczała, drętwa telewizja.

Zgadzam się natomiast z L. Boguszem w kwestii książki na wsi. I dodam, że do bibliotek wiejskich nie dotarła żadna wartościowa nowość z ostatnich trzech lat. Na wieś trafiają, i to z opóźnieniem, przeważnie buble i niewypały wydawnicze.

Na koniec wreszcie o tym, czego nie odzwierciedli żadna statystyka. Tak dużo mówiło się o konsultacjach, a tymczasem wiele decyzji podejmuje się nie pytając rolnika o zdanie. Np. sprawa podatków budzi duże zaniepokojenie, nie wiadomo bowiem, jak wysokie będą zapowiedziane podwyżki cen skupu. Wbrew założeniom reformy gospodarczej zbyt wysokie podatki mogą zahamować rozwój produkcji rolnej.

Jak z tego wynika, statystyka nie za bardzo daje poznać smak życia na wsi. Ale to nic, chłop się tym nie przejmie. On wie, że nawet ci z sąsiedztwa i z rodziny, co odeszli do miast i zasiedli w urzędach, traktują go jako gorszą klasę ludzi. Jest jednak twardy i nigdy nie wyprze się swej nadrzędnej idei: budować, orać, siać, zbierać plony.

Mity o życiu na wsi

Ryszard Binkowski równie dobrze wie, jak i ja, że statystyka daje między innymi pojęcie o kierunkach dokonujących się zmian, ale może też i mylić — szczególnie, jeśli ktoś nie potrafi posługiwać się statystycznymi danymi. Znana anegdota opowiada, że jeśli moja żona zdradza mnie raz w tygodniu, a mego sąsiada wcale, to obie zdradzają nas statystycznie raz na dwa tygodnie. Ale mimo pewnych niedoskonałości statystyki, trudno się bez niej obejść. Można i trzeba posługiwać się nią też w zwalczaniu mitów, jakimi dziś posługuje się wielu dla określenia naszej rzeczywistości.

Jeden z takich mitów głosi, że na wsi jest pięknie, dobrze, bogato i lekko. Rolnikowi wszystko samo rośnie. Takimi mitami posługują się nie tylko pasażerowie służbowych wołg, ale i pasażerowie małych fiatów, dużych fiatów, polonezów, skód, mercedesów i innych wozów, którzy często swój rodowód wywodzą właśnie z oglądanej przez szyby samochodu wsi. Ale oni też często potrafią posługiwać się statystyką. A skoro statystyka jest dobra do mierzenia tendencji rozwojowych — lub regresu — w jednym dziale gospodarki narodowej, w przemyśle, to również może i powinna służyć temu samemu w innym — w rolnictwie. Uważam, że do ludzi umiejących czytać dane statystyczne, a mimo to ulegających mitom argument wzięty ze statystyki silniej przemawia niż każdy inny.

Ryszard Binkowski wie równie dobrze, jak i ja, że różne formy własności dominujące w mieście i na wsi rodzą nieuniknione sprzeczności i że właśnie w dobie kryzysu sprzeczności te występują znacznie silniej i kryzys ten warunkuje. Polityka rolna musi dążyć do rozwiązywania tych sprzeczności, ale trzeba też oddziaływać na świadomość ludzi, pokazując, że ich los jest związany z pozytywnymi przeobrażeniami dokonującymi się na wsi. A te pozytywne przeobrażenia — to rosnąca produkcja rolna, która ma wyżywić miasto i przyczynić się do dalszych przeobrażeń na wsi. Między innymi w poziomie i warunkach życia na wsi. Ukazanie statystycznego obrazu życia na wsi może w tym pomóc, bo pokazuje, że nie jest to znów taki wielki luksus.

Bez wątpienia statystyka nie odtworzy trudu rolnika, który musi np. kilka razy dziennie przywieźć beczka wody ze sporej odległości, aby napoić bydło i trzodę. Mieszczuchowi odkręcającemu w dowolnej chwili kurek z ciepłą lub zimną wodą nic tego trudu nie pozwoli poznać, chyba że awaria wodociągów i windy jednocześnie i stąd konieczność noszenia wody na 11 piętro. Ale też nie to było moim celem.

LUCJAN BOGUSZ

Foto: M. Zajdler

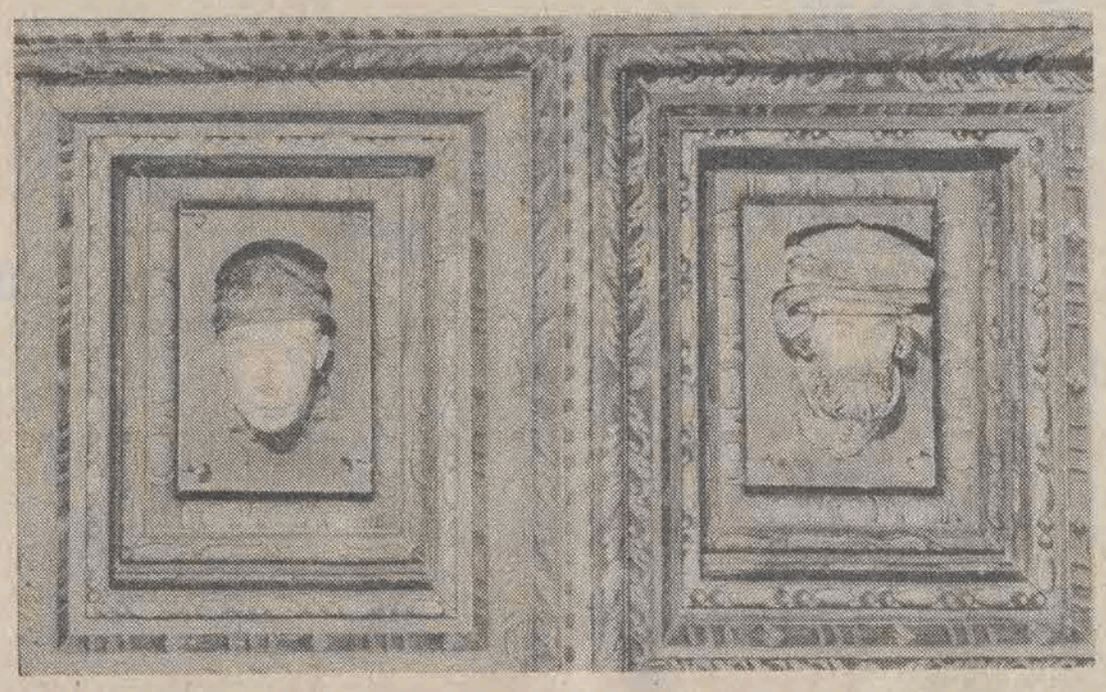

Polaków portret... cudzy

Znów rozgorzała dyskusja na temat pamiętnej wystawy w krakowskim Muzeum Narodowym — **„POLAKÓW PORTRET WŁASNY"**. Powodem nawrotu tej dyskusji stało się wydanie pięknego albumu, będącego przypomnieniem tamtej wystawy — przypomnieniem kilkuset fascynujących portretów Polaków z różnych stanów i kondycji, z różnych epok.

Niejako na marginesie owej wystawy, owego albumu i całej narodowej dyskusji chcę przedstawić Polaków portret... cudzy. Będą to bowiem opinie i relacje cudzoziemców na temat Polski i Polaków. Zacznijmy od **Woltera**, czyli od początków wieku XVIII:

„Polska, część dawnej Sarmacji, jest nieco większa, chociaż mniej zaludniona od Francji, ale ludniejsza od Szwecji. Polacy przyjęli wiarę chrześcijańską dopiero około 750 lat temu. Rzeczą dla tego kraju znamienną jest powszechne używanie języka Rzymian, którzy przecież nigdy tu nie dotarli; tutaj wszyscy mówią po łacinie, nawet służba. Ten wielki kraj jest bardzo urodzajny, ale jego mieszkańcy nie błyszczą pilnością. Robotnicy i kupcy, których spotyka się w Polsce to Szkoci, Francuzi, a nade wszystko Żydzi. Ci ostatni mają tutaj ponad 300 synagog; z uwagi na ich dużą rozrodczość zostaną pewnie z tego kraju wypędzeni, jak niegdyś z Hiszpanii. Kupują po niskich cenach zboże, bydło i artykuły żywnościowe produkowane w kraju, sprzedając je w Gdańsku i w Niemczech; jednocześnie po wysokich cenach sprzedając szlachcie przedmioty zbytku, na których szlachta się zna i w których się lubuje. Tak więc kraj ten, mający najpiękniejsze rzeki, bogaty w pastwiska, kopalnie soli i plony, pozostaje ubogim, pomimo obfitości wszystkiego, albowiem lud jest traktowany jak niewolnicy, szlachta natomiast jest dumna i rozprózniaczona".

Wolter, który taką opinię nam wystawił, w Polsce co prawda nigdy nie był, ale interesował się Polską i Polakami. W roku 1731 ogłosił dzieło pt. **„Historia Karola XII"**, w którym to utworze Polska zajmuje sporo miejsca. Fragment cytowany powyżej pochodzi z tego właśnie dzieła.

W drugiej połowie XVIII wieku o Polsce sporo pisał **Gabriel Bonnot de Mably** — historyk, filozof i ekonomista — reprezentant radykalnego skrzydła francuskiego Oświecenia. Mably przeprowadził w jednej ze swoich publikacji analizę stosunków panujących w ówczesnej Polsce. Wierzył, że patriotyzm szlachty i miłość wolności wezmą górę nad siłami destrukcji. Historia udowodniła, że się mylił.

W roku 1782 Mably tak pisał do Michała Wielhorskiego:

„Wspomniałem w moich zapiskach, że Polska zawdzięcza swe nieszczęścia wadliwemu ustawodawstwu. Tymczasem w większości wypowiedzi, przekazanych mi uprzejmie przez pana do wiadomości, replikują mi na to, że przecież zarówno król, jak i senat tudzież stan rycerski obarczeni są bardzo rygorystycznymi obowiązkami, a mimo to są one jasno przez prawo sprecyzowane i formalnie określone. Że zatem można stąd wywnioskować, iż prawa są dobre, a chaosu, którego Polacy stają się ofiarą, nie należy przypisać niczemu innemu, jak tylko deprawacji obyczajów...

Zapytuję tedy, dlaczego jawnie i bez wstydu uchylacie się od dania posłuchu tym prawom, których mądrość tak wychwalacie? Czy nie dzieje się tak może dlatego, że ustanowione na chybił trafił, z doraźnej potrzeby, nie są przystosowane do wspólnego celu? A czy przypadkiem nie przeciwstawiają się sobie i zamiast się uzupełniać, nie szkodzą sobie wzajemnie? Czy wychodząc z jednego założenia, dążą do jednego celu, a czuwając nad bezpieczeństwem obywateli są też zarazem ostoją ich uczciwości? Czy — jednym słowem — podjęto dzięki nim skuteczne środki do umocnienia Rzeczypospolitej? A jednak polskie ustawodawstwo posiada chyba wiele braków, skoro nie potrafiło zapobiec upadkowi obyczajów — na co wszyscy się skarżycie. Albo też niechaj osoby, które wychwalają mądrość waszego ustawodawstwa, zgodzą się, że istnieją skutki bez przyczyny...".

Kilkanaście lat później **Johann Kausch** opublikował książkę **„Wiadomości o Polsce"**. Można tej publikacji wytknąć wiele nieścisłości i pośpiesznych uogólnień, ale w zasadzie są one trafne. Kausch wierzył — podobnie jak polscy reformiści — w skuteczność poczynań Sejmu Czteroletniego. A oto jak pisze o pewnym poznanym w Polsce magnacie — snując następnie nieco szersze refleksje:

„Nabożność naszego staruszka jest tak wielka, że nie wybaczyłby sobie nigdy opuszczenia mszy w dniu powszednim. Jest pierwszym kolatorem wielu kościołów, leży całymi godzinami krzyżem w kościele, odmawia w ciągu dnia kilkakrotnie różaniec i jeszcze nigdy nie zdarzyło się, by podczas postu spożywał posiłki na innej omaście, niż na oleju. Mimo to jednak jego nieludzkość wobec poddanych, jego surowość dla służby, jego brak bezinteresowności jako sędziego grodzkiego — to wszystko ściągnęło na niego niechęć ze strony jego znajomych, mimo że i oni nie mogli być uważani za wzór cnót...

Kto zna Polaków choćby tylko pobieżnie, musi przyznać rację moim twierdzeniom, że te właśnie wady, które wytyka się teraz staremu nabożnisiowi, są rzeczywiście nagminne wśród tej klasy ludności tego kraju. Rzetelność, niezłomne dotrzymanie słowa, ludzkość wobec poddanych, sprawiedliwość wobec równego sobie — to niezwykle rzadkie tutaj rzeczy mimo wielkiej pobożności. Wszelako niechaj nikt nie myśli, że nabożność jest udana. Nie! Jest ona całkiem po prostu wynikiem mechanicznych nawyków, skutkiem zasad wpajanych przez kler, skutkiem opacznie pojętej religijności, skutkiem despotycznych zasad arystokratycznych, wedle których biedny nie powinien liczyć na żadne prawa ludzkie.

Kiedy obserwuje się w Polsce kontrast pomiędzy niskim stanem etyki a pełną obłudy, mnisią pobożnością, tak zwłaszcza częstą u starszego pokolenia szlachty, musi się doznać ostrej niechęci do kleru, który córę niebios, religię, przesłonił takim obskurantyzmem, że zdaje się być podobną to do bachantki naśladującej fanatycznych fakirów, to do furii z wężami zamiast włosów, najczęściej jednak do bezmyślnego, matołkowatego stworu, ale nigdy do boskiej, szczęście przynoszącej, łask pełnej i błogosławionej pani, jaką jest rzeczywiście i w takiej mierze.

Całymi godzinami leżą wytworne damy krzyżem na brudnej posadzce kościelnej, gdy jednak poprosić którą z tych dewotek o kilka groszy, na lekarza dla jednego z jej poddanych, trzeba nie lada trudu, niż się na to raczy zgodzić. Nie należy do rzadkości, że Polak, nawet młody, w ciągu dnia staje przy oknie, czasem wiele razy, z łacińską książką do nabożeństwa w ręku i pośpiesznie odbębnia rozwlekłe modlitwy...

Dobre wrażenie, jakie wywiera widok tak wielkiej pobożności Polaka, przechodzi w uczucie oburzenia, kiedy się obserwuje tego samego Polaka, jak odbiega od stolika karcianego, ażeby z miną karciarza całkowicie pochłoniętego grą, nie będącego w stanie myśleć o niczym innym niż o lewach, odklepać swoje psalmy; albo też kiedy się widzi innego z graczy w podobnym manewrze, chociaż wiadomo, że dopiero co wyszedł z rąk medyka po kuracji ze skutków miłosnych awantur...

Do charakterystycznych znamion polskiej bigoterii można także zaliczyć różne rodzaje wisiorków, które każdy prawdziwy Polak nosi na piersiach. Nie wystarcza mu szkaplerz, ale jeszcze zwykł nosić na nagiej piersi metalowy medalion z wizerunkiem Marii, a bardzo często przy tym i płaski metalowy krzyż lub inny wytwór spekulacyjnego zmysłu duchowieństwa. Pobożny pocałunek, którym Polak wyraża swój pietyzm dla tych przedmiocików, razi cudzoziemców, zwłaszcza jeżeli wiedzą, jak już zauważyłem, że taki nabożniś, nie grzeszy cnotą; nie należałoby też doradzać żadnej dziewczynie, by pozostała z nim bodaj przez kwadrans na osobności...".

Nader ciekawe opinie wystawił nam znakomity poeta niemiecki, **Henryk Heine**, który odwiedził Wielkopolskę latem 1832 roku. Wrażenia swe tak opisuje:

„Jeżeli ojczyzna jest pierwszym słowem Polaka, to wolność jest drugim. Piękne słowo! Obok miłości z pewnością najpiękniejsze! Ale też tak samo jak miłość jest ono słowem, które najczęściej przysparza nieporozumień i służy do oznaczania zupełnie sprzecznych z sobą rzeczy. Tu właśnie zachodzi ten wypadek. Wolność dla przeważającej większości Polaków nie jest wolnością boską, wolnością Waszyngtona; jedynie niewielka część Polaków, tylko mężowie tacy jak Kościuszko zrozumieli ją i próbowali szerzyć jej idee. Wielu wprawdzie z entuzjazmem rozprawia o tej wolności, ale nie czynią nic, by uwłaszczyć swoich chłopów. Wyraz „wolność", który tak pięknie i donośnie rozbrzmiewa poprzez całą polską historię, był jedynie hasłem szlachty, która starała się wymusić na królu jak najwięcej praw dla siebie, powiększyć zakres swej własnej władzy i w ten sposób zwiększyć anarchię.

Gdyby Luter, wybraniec Boga i Katarzyny, stanął przed sejmem w Krakowie, z pewnością nie dozwolono by mu tak spokojnie wypowiedzieć swych myśli jak w Augsburgu. Zasada burzliwej wolności, wszak lepsza od spokojnego służalstwa, mimo że tak wspaniała, wtrąciła jednak Polskę w przepaść. Ale zdumiewające jest, gdy się obserwuje, jak potężny wpływ na umysły Polaków wywiera samo słowo „wolność". Płoną i goreją, gdy słyszą, że gdziekolwiek toczą się boje o wolność. Zwracają płomienne oczy ku Grecji i Ameryce Południowej. W samej zaś Polsce, jak już powiedziałem, przez ucisk wolności rozumieją jedynie ograniczenie praw szlachty lub nawet stopniowe zrównanie stanów. My znamy to lepiej: przywileje muszą zniknąć tam, gdzie dojrzeć ma powszechna, zagwarantowana prawem wolność.

Rozgoryczenie polityczne utrudnia Polakom przy badaniach historycznych możność bezstronnego rozważania zagadnień, dlatego to historia Polski bywa ujmowana zbyt jednostronnie i występuje nieproporcjonalnie na tle historii powszechnej, ale Polacy tym więcej przykładają starań, by utrzymać wszystko, co ważne jest dla historii polskiej i będą to robili z tym większą skrupulatnością, bowiem z racji niegodziwego sposobu, w jakim postąpiono z książkami warszawskiej biblioteki podczas ostatniej wojny, zachodzi obawa, że zaginąć mogą wszystkie polskie zabytki narodowe i dokumenty; dlatego też, zdaje się, jeden z Zamoyskich założył w Edynburgu bibliotekę poświęconą historii Polski.

Polak będzie tak samo dobrze władał piórem, jak włada lancą, i okaże się równie dzielnym w dziedzinie wiedzy, jak był nim na słynnych polach bitew. Właśnie dlatego, że umysły przez tak długi czas leżały odłogiem, rzucone w nie ziarno siewne zrodzi tym różnorodniejszy i bujniejszy plon".

Na koniec opinia **Georga Brandesa** — zmarłego w latach dwudziestych tego wieku — duńskiego pisarza i historyka:

„Polacy" są żywego temperamentu, jak południowcy, ale na próżno szukałbyś u nich tego politycznego machiawelizmu, jakim celują mądrzy Włosi, którzy pozwolili w swoim czasie Francji wyciągać dla siebie kasztany z ognia. Jest to naród, który w Legionach Napoleona setki razy krew przelewał za cudze interesa, bo trzymano przed nim sztandar z białym orłem.

Tego rodzaju młodociany, a nawet dziecinny entuzjazm nie jest z pewnością cechą dodatnią w wielkiej walce o byt, która się toczy pomiędzy ludami w obecnych czasach wielkiego przemysłu i militaryzmu. Zazwyczaj cechy te nie idą w parze z oszczędnością, przedsiębiorczością, karnością, umiarkowaniem i mieszczańską roztropnością, słowem z przymiotami, na których gruntuje się byt zarówno jednostek, jak państw.

W dawniejszych charakterystykach narodu polskiego często spotykamy się z sądem, że na rycerskość i osobistą odwagę Polaków można zawsze liczyć, ale że z wielkoduszności idzie u nich w parze pewna próżność, że ze szlachetnością łączy się pewna lekkomyślność, że są oni uparci, skłonni do swarów i kłótni, że własna ich wola, której jednakże zbywa na wytrwałości, jest dla nich najwyższym prawem. Powszechnym jest też mniemanie, że Polacy nie umieją gospodarzyć, że łatwo wpadają w kłopoty pieniężne, choćby nie wiem jakie mieli dochody, że przerzucają karty tysiąca książek, ale żadnej gruntownie nie przestudiują, że lubią rozpraszać i marnują czas oraz swe talenta. Oskarżano ich także, iż zapalając się do wielkich idei wolności, umieli równocześnie być tyranami dla swych chłopów, że będąc czułymi małżonkami, potrafią równocześnie obok ubóstwianej żony mieć jeszcze i milostki postronne. Słowem, upatrywano w charakterze polskim mieszaninę cech świata zachodniego i Wschodu. W dawniejszym tym poglądzie było zapewne wiele słuszności i prawdy...".

I taki jest mniej więcej Polaków portret w oczach cudzoziemców. Jest to obraz czasem przejaskrawiony — czasem zdumiewająco trafny. Sądzę, że warto go było przedstawić.

Opracował:
JERZY WILMAŃSKI

Tam gdzie dachy słomą kryte (4)

JERZY ŻUKOWSKI

IV. TORUBOWICE

16 lipca wieczorem na pierwszym postoju po opuszczeniu kwatery Sam zakomunikował, iż oddział idzie do zamieszkałej przez Niemców wsi Torubowice, leżącej ok. 6 kilometrów na wschód od Koluszek. — Mamy trochę przepłoszyć Niemców — powiedział — co podniesie na duchu okoliczną ludność polską, a Szwabom napędzi strachu, bo do tej pory żyli sobie tu zbyt spokojnie.

Na akcję do samej wsi miał pójść dowódca ze swoją grupą oraz pierwszy patrol. Reszta oddziału pozostać miała na odległym o pół kilometra wzgórzu i w razie jakiegoś poważniejszego oporu ze strony Niemców, z których niektórzy posiadali broń, podsunąć się bliżej i wesprzeć swym ogniem akcję. Poza tym chodziło głównie o wypróbowanie posiadanej broni i amunicji. Nikt w oddziale nie oddał jeszcze do tej pory żadnego strzału, przeto nie było wiadomo, jaka jest jej przydatność do walki. Chodziło również o danie możliwości ostrzelania się chłopcom, którzy po to przecież przyszli do partyzantki, aby strzelać do znienawidzonych Niemców.

Do Torubowic było ok. 12 kilometrów. Po dojściu na miejsce chłopcy zajęli wyznaczone stanowiska na wzgórzu, a Sam poprowadził grupę szturmową do wsi, której w ciemną noc i przy zaciemnieniu okien nie było widać.

Po krótkim czasie od strony wsi dało się słyszeć szczekanie jednego, a następnie wszystkich chyba okolicznych psów, które zaalarmowały nocnych stróżów. Wkrótce dostrzeżono błyski i usłyszano parę pojedynczych strzałów, bezpośrednio po których poszły serie ze stenów i strzały karabinowe. Po tej strzelaninie nastąpiła głucha cisza, po czym dały się słyszeć jakieś krzyki, ujadanie psa i znów strzały. Leżący na wzgórzu partyzanci nie wiedzieli, kto strzela i do kogo, co dzieje się we wsi. Nieprzyzwyczajone do takich warunków nerwy dały znać o sobie i w pewnej chwili któryś z chłopców nie wytrzymał i kropnął na oślep z karabinu. Inni poszli za jego przykładem, strzelając kolegom nieraz tuż nad uchem.

Dowódcy patroli zgłupieli, nie wiedząc, kto wydał rozkaz strzelania. W tym rozgardiaszu w najgorszej sytuacji znalazła się obsługa erkaemu, wysuniętego najbardziej do przodu, gdyż to nad jej głowami strzelali leżący z tyłu. W pewnym momencie strzały na wzgórzu zaczęły cichnąć w wyniku interwencji Wirka, który chodził od jednego do drugiego zapalonego strzelca, bijąc po tyłkach trzonkiem granatu. Gdy ucichł ostatni strzał, Wirek zapytał, czy ktoś nie jest ranny. Na szczęście nikomu nic się nie stało.

Chociaż bez rozkazu, większość chłopców wypróbowała więc swą broń. Pozostałym Wirek polecił oddać po trzy strzały w powietrze i szurnąć krótką serię z erkaemu. Ale na rozkaz „ognia" zamiast serii rozległy się pojedyncze strzały. — Co u licha — pomyślał Kaper. Sprawdził położenie bezpiecznika, cofnął zamek, nacisnął spust i — znów erkaem nie chciał strzelać serią. Amunicyjny Świerk szepnął wtedy do Kapra: — A co by było na tej szosie przed Baudienstem, gdyby trzeba było naprawdę strzelać i to ogniem ciągłym?

Po kilkunastu minutach Sam ze swą grupą był znów na wzgórzu i po odliczeniu się wszystkich oddział odskoczył szybko spod Torubowic na kwaterę do dobrze już znanego Szpaka. Dopiero po zakwaterowaniu towarzystwo z pierwszego patrolu miało możliwość opowiedzieć pozostałym o tym, co wydarzyło się we wsi.

Otóż gdy podchodzili do wsi, wyczuły ich psy i swym ujadaniem zaalarmowały dwóch nocnych stróżów. Przyczajeni za drzewami krzyknęli: „Halt! Kto idzie?!", a nie otrzymawszy odpowiedzi, strzelili z pistoletów w kierunku, skąd przedtem usłyszeli kroki. Na takie powitanie nadchodzący padli na ziemię i rąbnęli po krótkiej serii ze stenów. Stróże uciekli w głąb wsi, a wtedy bractwo poderwało się z ziemi i wśród ujadania psów ruszyło z krzykiem przed siebie, strzelając po drodze do domów na lewo i prawo.

Gdy w pewnym momencie do uszu atakujących wieś doszły odgłosy strzałów ze wzgórza, Sam nakazał przerwać strzelanie, ale po krótkim namyśle doszedł do wniosku, że to reszta oddziału przestrzeliwuje swoją broń, rozkazał więc znów otworzyć ogień do najbliższych domów, w których sądzono już, że „Banditen" sobie poszli. Na tym zakończono „atak".

Po rannym odpoczynku i posiłku zebrało się „naczalstwo" oddziału dla omówienia nocnych wydarzeń. Nastrój był minorowy, bo chociaż wszyscy przestrzelali swą broń, to jednak odbyło się to całkiem chaotycznie i, co gorsza, stracono przy tym dwa karabiny, a erkaem na który tak liczono, okazał się niesprawny. Także część amunicji była niepewna. Postanowiono zatem tę starszą jeszcze raz przesuszyć, traktując potem jako ostateczną rezerwę.

Po dokładniejszym obejrzeniu erkaemu zauważono, że dość głębokie wżery korozji w komorze nabojowej powodują, iż po każdym strzale łuska naboju pęka i zakleszcza się tak silnie, że gazy nie są w stanie cofnąć zamka, przez co nie można strzelać ogniem ciągłym.

Po stwierdzeniu tego Sam zawyrokował, że erkaem oddać trzeba do magazynu, gdyż nie ma sensu dźwigać go od parady. Mat Kaper nie dał jednak za wygraną, przypomniawszy sobie, jak na przeszkoleniu u Wichra mieli cekaem (z pamiątkową mosiężną tabliczką, na której napisano, że na jego zakup składali się mieszkańcy Torunia) również nie strzelający ogniem ciągłym z powodu wżerów. A ponieważ Kaper miał trochę praktyki ślusarskiej, spróbował z Łosiem naprawić cekaem, szlifując wżery płótnem ściernym i polerując komorę popiołem. Po paru dniach cierpliwej pracy cekaem był sprawny. Wspomniawszy tę historię, Kaper postanowił spróbować przeprowadzić podobną operację i na tym erkaemie.

Tegoż dnia do oddziału przybyła łączniczka „Andrzej", córka Wirka, przyprowadzając ze sobą jakiegoś faceta. Był to młody, około 30 lat, mężczyzna, który w roku 1939 ukończył medycynę w Warszawie a z powodu wsypy musiał opuścić stolicę. „Andrzej" przedstawiła go jako doktora Wiesława (Wiesław Romanowski), przydzielonego do oddziału w roli lekarza. Wszyscy przyjęli doktora z sympatią, życząc mu jednocześnie, a także i sobie, by ich kontakty były tylko towarzyskie.

Wieczorem kapral Łoś, który miał jakieś rodzinne sprawy do załatwienia, opuścił oddział na kilka dni i nigdy już do niego nie powrócił, działając w dywersji w rodzinnym Głownie. Na miejsce Łosia dowódcą patrolu wyznaczony został Pik.

V. ZRZUT

18 lipca po południu wytrwale nasłuchujący Londynu Juka usłyszał nareszcie w swym odbiorniku przeznaczoną dla niego melodię. Był to sygnał, że tejże nocy w umówionym miejscu nastąpi zrzut broni lub innego wyposażenia i że trzeba przygotować odbiór zrzutu.

Sam natychmiast wysłał łącznika do miejscowej organizacji AK, a po przybyciu do oddziału komendanta „dywersji" ustalono plan i zakres współdziałania przy odbiorze zrzutu.

Ponieważ samolot oczekiwany był około północy, a do miejsca zrzutu było 6 kilometrów, oddział opuścił kwaterę już o godzinie 22. Po dotarciu na skraj rozległej, pokrytej łąką, nieckowatej polany w lesie rogowskim od strony wsi Jasienin, nawiązano łączność z „dywersją" i zajęto uzgodnione już stanowiska. Na środku polany rozstawili się ci, którzy, zachowując odpowiedni szyk, mieli sygnalizować latarkami miejsce zrzutu, reszta zaś, ukryta w lesie, ubezpieczać miała całą akcję.

Rozpoczęło się denerwujące wyczekiwanie. Wszystko było przygotowane, ale samolot nie nadlatywał. Minęła godzina, dwie.. Wreszcie dowódcy doszli do wniosku, że samolot już nie przyleci, gdyż określony wcześniej czas zrzutu minął, i zarządzili odwołanie akcji. Wszyscy byli głęboko zawiedzeni, zwłaszcza ci, którzy spodziewali się dostać w przydziale nową broń. Nie wiedzieli jednak, że była ona przeznaczona dla innego oddziału, a ich zadaniem było tylko przyjęcie zrzutu.

O tej porze nocy i w tak odosobnionym miejscu pozwolono sobie na głośne zwołanie zbiórki na polanie. Ku zdziwieniu partyzantów z lasu wychodzili coraz to nowi ludzie — chłopi z okolicznych wsi, uzbrojeni w wiatrówki, dubeltówki, karabiny... Było ich prawie osiemdziesięciu.

Gdy obydwa oddziały ustawiły się na polanie naprzeciw siebie, a dowódcom zameldowano, iż są wszyscy, po komendzie „spocznij!" zezwolono na wspólną „zakurkę". Nastąpiły wzajemne powitania, przedstawianie się i próby rozpoznania i zapamiętania niezbyt wyraźnych — z powodu nocy — rysów twarzy poznanych towarzyszy. I chociaż zrzutu nie było, spotkanie to okazało się bardzo korzystne, gdyż nawiązano bliższe kontakty z ludźmi z „dywersji", których poparcie dla partyzantów miało zasadniczy wpływ na stosunek do nich całej okolicznej ludności. Niektórzy zapraszali oddział na kwaterę do swojego gospodarstwa, z czego skorzystano w późniejszym czasie. Doszło nawet do tego, że każdy szanujący się gospodarz musiał chociaż raz gościć u siebie partyzantów.

Po papierosie i krótkich rozmowach członkowie „dywersji" wrócili do swych domów, partyzanci zaś poszli na kwaterę do Niutkowa, skąd po dwóch dniach przenieśli się do dobrze już znanego Felusia we wsi Przyłęk Duży. Tu czekała na nich miła niespodzianka — drugi erkaem, podarowany oddziałowi przez „dywersję", z którą spotkali się w czasie oczekiwania na niefortunny zrzut. Po dokładniejszym obejrzeniu podarunku, wyposażonego w kilka dobrych i kilka niekompletnych magazynków, okazało się, że i ten erkaem ma dość głębokie wżery w komorze nabojowej.

Od kowala z sąsiedniej wsi syn Felusia, Dzik, przywiózł płótno ścierne i Kaper z Juką zabrali się do pracy. Jadąc rowerem Dzik zauważył też, że na drodze dzieci bawią się jakimiś sprężynami i pudełkami. Dowiedziawszy się o tym, Kaper poprosił o dostarczenie tych „zabawek". Wkrótce potwierdziły się jego przypuszczenia, że są to części magazynków do erkaemów. Po oczyszczeniu ich z brudu i złożeniu przybyło oddziałowi 9 nowych magazynków, których w sumie było już teraz 22.

Po dwóch dniach cierpliwego szlifowania rusznikarze doszli do przekonania, iż można przeprowadzić próbne strzelanie. Zorganizowano je nocą w czasie przemarszu przez las rogowski. Ku wielkiej radości oba erkaemy, choć nie od razu, zaczęły strzelać ogniem ciągłym, co było okazją do ich „poświęcenia" paroma kieliszkami bimbru na najbliższej kwaterze.

VI. ŁAPANKA WE WSI WIERZCHY GÓRNE

Minęło parę dni, w czasie których do oddziału przybył nowy członek — kapral granatowej policji — Sokół (?).

Był to wysoki, dobrze prezentujący się mężczyzna w wieku około 27 lat, z racji swej służby dobrze wyszkolony i otrzaskany z wojennym rzemiosłem. Należąc do AK, uprzedzał o mających nastąpić aresztowaniach i łapankach, dostarczał też podkradaną w miarę możliwości Niemcom broń i amunicję. Po zniknięciu paru pistoletów na posterunku niemieckiej żandarmerii, a następnie nieudanej łapance, Niemcy zaczęli go podejrzewać i śledzić, o czym dowiedział się od innego policjanta. Powiadomił więc o tym dowództwo AK, które poleciło mu wiać.

Sokół-policjant, jak zaczęto nazywać go w oddziale Sama, zwiał ze swym karabinem, dwoma pistoletami P-34 i w pełnym umundurowaniu. Przyjęto go z pewną rezerwą, bo był to przecież „granatowy glina", ale przyniesiona broń świadczyła na jego korzyść. Poza tym dowództwo musiało też wiedzieć, kogo przysyła.

24 lipca gospodarz kwatery we wsi Wierzchy Dolne, gdzie stał właśnie oddział, zameldował, iż na drugim końcu wsi, czyli we Wierzchach Górnych pojawili się żandarmi i granatowi policjanci, którzy z pomocą Węgrów robią łapankę mieszkańców, chcąc ich wywieźć na roboty do Niemiec. Było ich około dwudziestu, przyjechali pięcioma ciężarówkami.

Otrzymawszy taki meldunek, Sam zarządził zbiórkę, powiadomił oddział o łapance i wydał rozkaz przepędzenia Niemców oraz uwolnienia zatrzymanych ludzi. Do przeprowadzenia akcji zgłosiło się dwudziestu chętnych, z których Grom wybrał trzynastu, dzieląc ich na grupę szturmową oraz czteroosobową grupę ubezpieczającą.

Prowadzeni przez Groma chłopcy niepostrzeżenie wybiegli z zabudowań kwatery i kryjąc się wśród drzew i krzaków, szybko dotarli do zarośniętej olszyną łąki nad rzeczką Rawką płynącą wzdłuż wsi. Dochodziło południe, dzień był piękny i słoneczny. Zachowując wszelkie środki ostrożności chłopcy przeszli po kładce na drugą stronę i pod osłoną zarośli doszli do grobli i mostku. Wtedy właśnie usłyszeli ujadanie psów obszczekujących zajętych łapanką Niemców.

Ponieważ nie było pełnego rozeznania w aktualnej sytuacji postanowiono przeprawić się przez mostek i podejść do zabudowań przez ogrody, wysyłając przodem „szperaczy", uzbrojonych w steny, za którymi miała się posuwać reszta, plasując erkaemy na skrzydłach.

Gdy drużyna zbliżyła się do zabudowań na odległość około 60 metrów, dały się słyszeć pokrzykiwania Niemców i lament kobiet. Nie było jednak prawie nic widać, gdyż z tej odległości widok przesłaniały częściowo drzewa i krzewy owocowe. A kiedy partyzanci podeszli jeszcze bliżej, na lewym skrzydle, od strony wsi padł strzał i Nurek, zauważywszy biegnącego Węgra, rąbnął za nim serię ze stena.

Na odgłos strzałów z zabudowań zaczęli wybiegać na drogę żandarmi, policjanci i Węgrzy, kierując się ku stojącym na skraju wsi samochodom. Chłopcy strzelali do nich, ale niezbyt celnie. Tymczasem na prawym skrzydle Leliwa, Berkut, Langiewicz i Kaper zajęli pozycję w rowie przy drodze prowadzącej od grobli do wsi. W pewnym momencie z otwartej bramy stojącego naprzeciw ich stanowiska, gospodarstwa, wyskoczyło paru Niemców. Puszczono w ich kierunku serie z erkaemu i kilka strzałów karabinowych. Przypadłszy do ziemi, kryjąc się za małym wzniesieniem, Niemcy odpowiedzieli ogniem.

Podczas tej wymiany ognia na drogę wybiegła klacz ze źrebakiem — prosto w linii strzałów Kapra, który krzyknął: „Uwaga, konie. Nie strzelać", czując w tym właśnie momencie lekkie uderzenie w lewe ramię. Korzystając z zamieszania, spowodowanego pojawieniem się koni, Niemcy poderwali się i schronili za budynkami.

Jeszcze przez parę minut słychać było we wsi strzały, po czym nastąpiła cisza, a kiedy „szperacze" i Grom wybiegli na ulicę, posłyszeli w dali warkot silników odjeżdżających w pośpiechu ciężarówek. Niestety, żadnego ze Szwabów nie ubito, ale nikogo też nie wywieziono, jako że troszczący się przede wszystkim o własne bezpieczeństwo Węgrzy zostawili złapanych już ich własnemu losowi, uciekając do ciężarówek.

Była to ostatnia łapanka, jaką Niemcy zorganizowali w okolicy. Po jej rozpędzeniu, nie ujawniając się mieszkańcom, drużyna wycofała się. Na szczęście nikt z atakujących nie został nawet ranny, jedynie Kaper dostał lekki postrzał w lewe ramię, na które doktor Wiesław założył mu później opatrunek.

Po zachodzie słońca oddział odskoczył na drugą stronę torów i stanął na kwaterze w pobliżu Głowna we wsi Florentynów w gospodarstwie Walerego Sędzikowskiego. Nastrój panował wspaniały — akcja była przecież w pełni udana, a niektórzy mogli sobie wreszcie postrzelać do Szwabów i to w biały dzień.

C.d.n.

Opracował i do druku podał:
PAWEŁ TOMASZEWSKI

P.S.

Serdecznie dziękuję byłym członkom partyzanckiego oddziału Sama — WITOLDOWI RADWAŃSKIEMU i TADEUSZOWI CICHECKIEMU z Koluszek, którzy w przesłanym do redakcji liście z 17 maja 1983 r. sprostowali kilka nieścisłości i pomyłek, jakie wkradły się do opracowywanych przeze mnie wspomnień Jerzego Żukowskiego. Wyjaśnienia te, niezwykle cenne dla uzupełnienia kroniki oddziału, zamieścimy w „Odgłosach" po opublikowaniu całości wspomnień.

W związku z powyższym mam podstawy przypuszczać, że nie będą to jedyne wyjaśnienia i sprostowania. Cóż, pamięć ludzka jest zawodna... Pewne nieścisłości mogły też powstać przy przepisywaniu tekstu wspomnień, jako że posiadany przeze mnie maszynopis nie jest oryginałem.

Mając na uwadze możliwie najwierniejsze odtworzenie wydarzeń z tamtych lat, proszę o skontaktowanie się z redakcją „Odgłosów" wszystkich żyjących członków oddziału Sama i przekazanie swych uwag na temat publikowanych na naszych łamach wspomnień. Kronika oddziału, w którym walczyliście, nie jest, niestety, kompletna. Tylko dzięki Waszej pomocy można będzie uzupełnić ją o brakujące fakty, daty, nazwiska, których — mimo wielkiego wkładu pracy — nie udało się autorowi ustalić.

POLSKIE BOMBOWCE NAD HITLEROWSKIMI NIEMCAMI

Noce grozy

Po tragicznej klęsce wrześniowej roku 1939, lotnicy polscy przeszli tułaczy szlak, aż znaleźli się w Wielkiej Brytanii, gdzie odrodziły się **Polskie Siły Powietrzne** — dysponujące aż dziesięcioma dywizjonami myśliwskimi i czterema bombowymi.

Nocne operacje polskich dywizjonów bombowych przez pięć lat wojny spędzały sen z powiek hitlerowcom, dezorganizując życie gospodarcze i codzienne. Niweczyły potencjał przemysłowy i zbrojeniowy III Rzeszy, wprowadzały chaos w komunikacji, niszczyły porty lotniska, obracały w ruiny miasta niemieckie. Polskie załogi bombowe walczyły też z okrętami Kriegsmarine oraz minowały porty wybrzeża. Brały udział we wszystkich ważniejszych akcjach lotnictwa alianckiego Royal Air Force — Królewskich Sił Powietrznych.

Każda wyprawa bombowa była ogromnym wysiłkiem i morderczą próbą nerwów, z której powrót zależał od szczęścia. Dalekim, nieraz całonocnym wyprawom nad terytorium wroga, okupującego niemal całą Europę, towarzyszył nieustanny ogień niemieckiej artylerii przeciwlotniczej, a reflektory chwytały w swoje macki samoloty alianckie, wyładowane bombami. Myśliwce Luftwaffe — o wiele szybsze i zwrotniejsze, niż angielskie bombowce — niespodziewanie atakowały, strącając wiele maszyn. Każdy lot był koszmarem, który przeżyło wiele załóg bombowych.

Wysiłek tych ludzi najtrafniej określił dowódca brytyjskiego Bomber Command (Lotnictwa bombowego), generał **Arthur Harris:**

„Nie ma słów w języku ludzkim, którymi mógłbym oddać należny hołd lotnikom walczącym pod moim dowództwem. Odwaga i determinacja tych ludzi, wykazywana w obliczu długotrwałego niebezpieczeństwa, przekraczała wszystko, z czym człowiek może spotkać się na wojnie. A niebezpieczeństwo to było tak wielkie, że wśród trzech lotników nawet jeden nie mógł mieć nadziei, że zdoła przeżyć swoją turę operacyjną trzydziestu wypraw".

Wszystkie cztery polskie dywizjony bombowe „rodziły się" na lotnisku Bramcote, niedaleko Lincoln i wszystkie rozpoczynały swoje loty na poczciwych, przestarzałych samolotach jednosilnikowych: Fairey „Battle" — zabierających na pokład trzyosobową załogę: pilota, nawigatora i strzelca płatowcowego. Uzbrojone w dwa ciężkie karabiny maszynowe i siedemset kilogramów bomb, rozwijały prędkość około czterystu kilometrów na godzinę.

DYWIZJON NR 300

1 lipca 1940 roku sformowano w Anglii pierwszy polski dywizjon bombowy nr 300 — **Ziemi Mazowieckiej**. W tym samym miesiącu (22.07.), powstał bliźniaczy dywizjon bombowy nr 301 — **Ziemi Pomorskiej**, a w końcu sierpnia (28.08.) kolejny dywizjon bombowy — 304 **Ziemi Śląskiej**. Jako ostatni z dywizjonów bombowych został sformowany 1 września — 305 **Ziemi Wielkopolskiej.**

Pierwszy lot bojowy, rozpoczynający działania polskiego lotnictwa bombowego, odbył się w nocy z 14/15 września 1940 roku. Po trzy załogi z dywizjonów 300 i 301 poleciały nad francuski port Boulogne, bombardując z wysokości trzech tysięcy metrów barki i statki niemieckie, przygotowane do inwazji na Anglię. Potem zniżyli lot, ostrzeliwując niemieckie reflektory. Mimo silnego ognia artylerii przeciwlotniczej nieprzyjaciela wszystkie maszyny bez uszkodzeń powróciły do własnej bazy. Odtąd, co noc — na zmianę — latały pełnymi składami szesnastu maszyn dywizjony 300 i 301, na bombardowanie Boulogne, Dunkierki, Antwerpii, Ostendy i Brestu.

W listopadzie 1940 roku wszystkie polskie dywizjony bombowe przezbrojono w doskonałe dwusilnikowe samoloty typu Vickers-Armstrong „Wellington", zabierające sześcioosobową załogę: I i II pilota, nawigatora, radiooperatora oraz dwóch strzelców pokładowych, z których przedni dysponował dwoma sprzężonymi, ciężkimi karabinami maszynowymi, a tylny aż czterema. „Wellington" udźwignął ponad 2 tony bomb i miał wspaniały zasięg: cztery tysiące kilometrów, pozwalający na dalekie loty w głąb Niemiec, z czego najbardziej cieszyli się polscy lotnicy. Jedynym mankamentem było pokrycie kadłuba i skrzydeł płótnem.

LOTY NAD NIEMCAMI

Nadszedł wreszcie upragniony, długo oczekiwany dzień. W nocy z 23/24 marca 1941 roku cztery załogi dywizjonu mazowieckiego odleciały na lotnisko Langham, opodal Dover, skąd po uzupełnieniu paliwa i bomb, poleciały na bombardowanie, oddalonego o dziewięćset kilometrów Berlina. Mimo silnej obrony artyleryjskiej, zrzuciły swoje bomby na kwaterę gestapo, przy Burgstrasse i szczęśliwie bez strat powróciły na lotnisko Swinderby, na którym stacjonował dywizjon. Był to pierwszy nalot na Berlin polskich lotników w II wojnie światowej. Do końca wojny nieraz byli nad stolicą Rzeszy, w pełnych składach dywizjonów.

Wszystkie polskie dywizjony bombowe operowały bardzo aktywnie, latając na odległe cele: Hamburg, Kolonia, Essen, Karlsruhe, Bremen i inne ośrodki niemieckie.

W pierwszych dwóch latach wojny lotnictwo brytyjskie — przy nim i polskie — latało małymi grupami — dywizjonami albo eskadrami — na cele strategiczne. **Wiosna 1942 roku zmieniła taktykę wypraw bombowych.** Dzięki rozbudowie lotnictwa angielskiego, które przeszło z defensywy do ofensywy, postanowiono zmusić Niemców do całkowitej kapitulacji. Jednym ze środków dla zrealizowania tych planów, miały być intensywne, zmasowane naloty alianckie, wykonywane z dużą częstotliwością, przy użyciu wszystkich rodzajów bomb, mające zniweczyć niemiecki potencjał zbrojeniowy i moralnie załamać ludność, aby przyśpieszyć zakończenie i tak już krwawej wojny.

Zainstalowane niedawno w bombowcach brytyjskich urządzenia radiolokacyjne pozwalały na rozpoczęcie masowych bombardowań nocnych, dwukrotnie zwiększających ich efektywność, a straty własne zmalały z dziesięciu do czterech procent. Poza tym zmieniono taktykę użycia bomb. Do komór bombowych zabierano dwie trzecie bomb zapalających, a tylko jedną trzecia burzących. Dotychczasowe doświadczenie wykazało, że bomby zapalające dają efekt niszczycielski cztero-, a nawet sześciokrotnie większy niż bomby burzące.

„DYWANOWE" NALOTY

Jako „doświadczalny" cel tego rodzaju nalotów wybrano Lubekę — miasto portowe, liczące sto dziewięćdziesiąt tysięcy mieszkańców, a położone na północny-wschód od Hamburga. W nocy z 28/29 marca 1942 roku nad Lubekę poleciało około pięćset bombowców alianckich, w tym i dywizjony polskie. W półtorej godziny spadło na miasto około dwa tysiące ton bomb, które zniszczyły niemal całe śródmieście, zakłady chemiczne, fabrykę opatrunków, fabrykę masek gazowych i aparatów tlenowych dla lotnictwa oraz marynarki. Zniszczono też wiele mniejszych zakładów, a ulice zamieniły się w płynne rzeki gorącego asfaltu. Zginęło około dziesięć tysięcy ludzi, a dwa razy tyle odniosło rany. Miasto płonęło prawie dwa tygodnie. Był to nalot historyczny, rozpoczynający erę nalotów „dywanowych", które od tej pory kontynuowano na inne miasta niemieckie.

Następnym celem lotnictwa brytyjskiego była Kolonia. Tym razem po raz pierwszy do akcji użyto ponad tysiąc bombowców, które w nocy z 30/31 maja 1942 poleciały nad Kolonię. Z lotnisk brytyjskich startowały samoloty różnych typów: czterosilnikowe „Lancastery", „Halifaxy" i „Stirlingi", dwusilnikowe „Wellingtony", a nawet mocno przestarzałe „Hampdeny" i „Whitleye". Każdy z samolotów dźwigał w swoich komorach bombowych od dwóch do dziesięciu ton śmiercionośnego ładunku. Samoloty przeciążone paliwem i bombami z trudem odrywały się od ziemi.

W nalocie tym uczestniczyły trzy polskie dywizjony bombowe, w pełnych składach załóg i maszyn. Dowództwa polskich dywizjonów zaangażowały wszystkich lotników, nawet tych ze zdekompletowanych w boju załóg, będących na razie bez przydziału. Dywizjon pomorski wystawił aż dwadzieścia sześć załóg. Zmobilizowano nawet polską jednostkę szkolną, która dotąd nie brała udziału w nalotach na Niemcy, a tym razem wystawiła aż dwadzieścia cztery załogi.

Mimo że noc była wyjątkowo jasna, piloci musieli dobrze uważać, aby uniknąć zderzeń w powietrzu — w tej potężnej armadzie bombowców. Przestrzeń wypełniał grzmot tysięcy silników. W drodze do celu niemiecka artyleria i myśliwce Luftwaffe zestrzeliły czterdzieści samolotów tej gigantycznej wyprawy. Nad cel doleciało ponad dziewięćset maszyn, które zrzuciły ponad półtora tysiąca ton bomb — przeważnie zapalających. Bomby aliantów wznieciły około dwanaście tysięcy pożarów w mieście. Słynna katedra odniosła niewielkie uszkodzenia, ale całe stare miasto wokół niej zostało doszczętnie spalone. Około dwudziestu tysięcy domów całkowicie zniszczonych, a dalszych czterdzieści tysięcy mniej lub bardziej uszkodzonych. Z siedmiuset zakładów różnej wielkości sto sześć zniszczono zupełnie, a trzysta innych poważnie uszkodzono. Bomby przerwały połowę kabli elektrycznych w mieście oraz wiele przewodów wodociągowych. Całkowicie zdezorganizowano komunikację w mieście. Chociaż dotąd na Kolonię wykonano aż siedemdziesiąt nalotów, w których udział wzięło łącznie około dwa tysiące bombowców, zniszczenia nawet w jednej czwartej nie osiągały rezultatu tego nalotu.

W połowie roku 1942 w lotnictwie bombowym — Bomber Command — pozostały tylko trzy polskie dywizjony, ponieważ **dywizjon 304** odszedł do Coastal Command — Lotnictwa Obrony Wybrzeża — walcząc do końca wojny nad Atlantykiem z niemieckimi okrętami i łodziami podwodnymi, w słynnej Bitwie o Atlantyk.

Od czasu do czasu stosowano „mamuty", naloty w których uczestniczyło ponad tysiąc bombowców na jeden cel. W nocy z 25/26 czerwca 1942 roku wykonano taki nalot na Bremen. Głównym celem było zniszczenie potężnych zakładów lotniczych Focke-Wulf, produkujących słynne myśliwce niemieckie FW-190. W nalocie tym wzięły udział i polskie dywizjony bombowe.

NALOT NAD BREMĘ

Na lotnisku niesamowity ruch. Mechanicy i rusznikarze podwieszają bomby do wyrzutników w pękatych brzuchach kadłubów „Wellingtonów". Zagrzmiały silniki pełną swą mocą i maszyny przeładowane paliwem i bombami ciężko odrywały się od ziemi, aby potem wziąć kurs bojowy na Bremę. Start nastąpił o godzinie 23.05. Widoczność była wspaniała, bo samoloty leciały w świetle księżyca. Wokół nich mnóstwo bombowców różnych typów — pod i za nimi, nad i przed „Wellingtonami", a wszystkie bomb innych załóg. Setki reflektorów przecinało sinymi smugami drogę tysięcy pocisków, pędzących jak huragan ku niebu, rozrywających się w powietrzu i bębniących swoimi odłamkami po kadłubach bombowców. I znowu spadał na ziemi jakiś „Wellington", ciągnąc za sobą długi warkocz ognia i dymu.

Nawigator zwolnił z wyrzutników bomby. Poszły serią w dół, jedna po drugiej. „Wellington" radośnie podskoczył, pozbywając się ciężaru. Potem legł w głębokim skręcie, odchodząc znad celu i robiąc miejsce innym maszynom. Jeszcze jeden „Wellington" spadając palił się. Na rozjaśnionym od pękających pocisków i smug reflektorów niebie rozwijały się, jak kwiaty, białe czasze spadochronów. To załoga któregoś strąconego bombowca ratowała życie.

Samoloty powracają z postrzelanymi kadłubami i skrzydłami, ale silniki grają równomiernie. Pilot czynił uniki pośród pękających, jak wielkie okrągłe balony, pocisków. Samolot podrzucany detonacjami pocisków artyleryjskich — raz w górę, to w dół i na boki — tańczył, jak opętany. W bliskiej odległości eksplodują pociski zenitówek, słyszalne nawet we wnętrzu samolotu. Ich odłamki tłukły rzęsistym deszczem po kabinie, kadłubie i skrzydłach.

Naraz bliska eksplozja wstrząsnęła maszyną. Coś trzasnęło w samolocie. Jeden z odłamków wybił szybę pilota. Do maszyny wdzierał się przejmujący, zimny wiatr. W boku kadłuba „Wellingtona", duża, postrzępiona dziura. Przeciąg niesamowity. Niemcy strzelają do samolotu, jak do tarczy. Tuż przed maszyną wybuchają gradem pociski artyleryjskie. Pilot położył bombowiec w głęboki skręt i rwał piką w dół. Czerwony płomień błysnął z prawego silnika. Maszyna waliła w dół, przecinając smugi reflektorów i kolorowe tory pocisków, krzyżujących się tuż za samolotem. Zdawało się, że samolot jest trafiony. Ale pilot zręcznymi unikami wydostał się z tego huraganu artylerii i wszedł na kurs powrotny.

Stery przejął drugi pilot, a pierwszy odpoczywa. Przegryza czekoladę, popija kawą. Ucichły rozmowy. Załogę ogarnęła senność i zmęczenie. To reakcja po silnym wstrząsie. Godziny wlokły się, a do bazy jeszcze daleko. Załogi zdejmują maski tlenowe. Nareszcie można oddychać świeżym powietrzem. Wszyscy zmęczeni. Twarze zalewa pot, zmieszany nieraz z pyłem i krwią. O godzinie 5.45, po sześciu i pół godzinach koszmaru lądowanie, zbawcza baza i odpoczynek.

Z tej wyprawy nie powróciło na własne lotniska aż pięćdziesiąt dziewięć maszyn, w tym pięć polskich „Wellingtonów". W tej wyprawie zginął zdobywca Atlantyku — płk pil. **Stanisław Skarżyński.** Wielu lotników dostało się do niewoli.

NOCNE MYŚLIWCE PRZECIWNIKA

Od połowy roku 1942 wyprawy bombowe nad Niemcy stawały się coraz niebezpieczniejsze. Hitlerowcy rozpoczęli wprowadzanie na szeroką skalę nocnych myśliwców, polujących gremialnie na alianckie samoloty bombowe. Straty w polskim lotnictwie bombowym w tym czasie były zastraszające, osiągały sześćdziesiąt do dziewięćdziesięciu procent etatowego stanu załóg w dywizjonach. Polacy latali nie tylko nad Niemcy, ale i nad Francję, Włochy, bombardując zakłady samochodowe i lotnicze w Turynie oraz Mediolanie.

Jednym z kolejnych zadań alianckiego lotnictwa bombowego było wyeliminowanie Hamburga, jako największego portu przeładunkowego i dużego centrum przemysłowego. Zdaniem sztabowców RAF realizacja tego przedsięwzięcia mogła osiągnąć zamierzony cel jedynie przez zrzucenie na Hamburg dziesięciu tysięcy ton bomb, w możliwie jak najkrótszym czasie.

ZNISZCZYĆ HAMBURG

Planowaną akcję na Hamburg rozpoczęto nalotem ponad siedmiuset bombowców RAF, w tym i lotnictwa polskiego, w nocy z 27 na 28 lipca 1943 roku. Następnej nocy wysłano nad Hamburg znów ponad siedemset bombowców i drugiej nocy sierpnia ponad trzysta maszyn. Wszystkie te maszyny zrzuciły na miasto około dziewięciu tysięcy ton bomb, z czego prawie cztery tysiące ton stanowiły bomby burzące. Ponadto na miasto spadło przeszło półtora miliona sztuk bomb zapalających i około dwóch tysięcy ton pojemników wypełnionych płynną mieszanką łatwopalną — pierwowzorem napalmu.

Po tych trzech nalotach straty w Hamburgu były olbrzymie. Zniszczono około sześćset zakładów przemysłowych różnych wielkości, ponad dwa i pół tysiąca zakładów rzemieślniczych oraz około osiemdziesięciu obiektów wojskowych. Zniszczone zostały również wszystkie cztery stocznie i urządzenia przeładunkowe w porcie, w którym też zatopiono barki i statki o nośności ponad sto osiemdziesiąt tysięcy ton. Bomby aliantów zniszczyły ponad sto kilometrów torów tramwajowych i zawaliły kilka odcinków kolei podziemnej oraz dwanaście mostów. Prawie połowa budynków mieszkalnych Hamburga została doszczętnie zniszczona, a następne trzydzieści procent budynków uszkodzono bardziej lub mniej. W gruzach poniosło śmierć około trzydziestu tysięcy mieszkańców, a ponad dziewięćset tysięcy było ewakuowanych bądź dobrowolnie opuściło miasto.

Jeżeli dodamy, że trzeci nalot odbywał się w czasie burzy atmosferycznej, o dużej częstotliwości wyładowań, gdzie wybuchy bomb i eksplozje artyleryjskie mieszały się z grzmotem gromów, a światła setek reflektorów przeciwlotniczych i wybuchające pożary z błyskawicami, można sobie wyobrazić koszmar przeżywany przez hamburczyków tej nocy.

DYWIZJON 300 NA „LANCASTERACH"

Od września 1942 roku z polskich dywizjonów bombowych w Bomber Command (Lotnictwie Bombowym) pozostał tylko **300 dywizjon Ziemi Mazowieckiej.** W styczniu odszedł z Bomber Command **301 dywizjon,** którego personel z powodu braku załóg rozlokowano w innych dywizjonach, a część personelu dywizjonu pomorskiego przeszła do jednostki specjalnej, współpracującej z powietrza z ruchami oporu Europy, zrzucając zasobniki z zaopatrzeniem, uzbrojeniem oraz „cichociemnych". Zaś **dywizjon 305** przeszedł do lotnictwa taktycznego, stając się jednostką myśliwsko-szturmową.

Przełomowym okresem dla dywizjonu mazowieckiego był kwiecień 1944 roku, gdy dywizjon przezbrojono w najcięższe samoloty II wojny — czterosilnikowe Avro „Lancaster" o zasięgu ponad cztery i pół tysiąca kilometrów, zabierające siedmioosobową załogę, wśród której był jeszcze strzelec pokładowy, mający swą wieżyczkę na grzbiecie kadłuba maszyny. W komorach bombowych mieścił około dziesięciu ton bomb. Na tych samolotach **dywizjon 300** walczył już do końca wojny biorąc udział we wszystkich operacjach RAF. Bombardował miasta niemal w całych Niemczech, m. in. Szczecin i zakłady chemiczne w Policach, w końcu sierpnia 1944 roku, skąd nie powróciły aż trzy „Lancastery". Minował porty i wybrzeża, ponosząc olbrzymie straty w personelu latającym i samolotach. Przez kilka miesięcy połowę personelu stanowili lotnicy innych narodowości, dopiero na początku września mazowiecki stał się znów dywizjonem czysto polskim.

Styczeń i luty 1945 roku obfitowały w liczne i duże wyprawy bombowe. W nocy z 13/14 lutego dywizjon uczestniczył w wielkim nalocie na Drezno, a już następnej nocy brał udział w grupie ponad sześciuset bombowców RAF w bombardowaniu Chemnitz.

NA KWATERĘ HITLERA

Ostatnim lotem bojowym dywizjonu 300 był udział szesnastu „Lancasterów" wśród czterystu dwudziestu samolotów RAF w dziennym nalocie na kwaterę Hitlera w Berghof, koło Berchstesgaden, w Alpach Bawarskich, który odbył się 14 kwietnia 1945 roku. Wyprawa bombowa była osłaniana przez polskie dywizjony myśliwskie: 303, 306, 309, 315, 316. Polskie „Lancastery" nadleciały nad cel o godzinie 7.30 i mimo bardzo silnego ognia artylerii niemieckiej, z wysokości trzech tysięcy metrów zrzuciły swoje bomby. Polskim lotnikom tym razem dopisywało szczęście, bo tylko jedna maszyna lądowała na alianckim lotnisku we Francji z powodu uszkodzeń, reszta „Lancasterów" pomyślnie wylądowała na angielskim lotnisku Faldingworth, na którym stacjonował dywizjon.

Wspaniałe osiągnięcia dywizjonu mazowieckiego przesłaniały olbrzymie straty w personelu latającym, bo aż ponad trzystu siedemdziesięciu lotników poległo, dziewiętnastu zaginęło, a sześćdziesięciu ośmiu dostało się do niewoli niemieckiej. Dywizjon stracił w wojnie osiemdziesiąt samolotów.

Polskie lotnictwo bombowe w Anglii odniosło wielkie sukcesy, wykonując ponad jedenaście i pół tysiąca lotów w których zrzucono prawie piętnaście tysięcy ton bomb ale straty były duże: poległo tysiąc lotników, trzydziestu czterech zaginęło, a dwustu dostało się do niewoli. Załogi polskie pokazały wysoką klasę lotników, z którymi poważnie się liczono, ale przeżyły wiele nie przespanych koszmarnych nocy, aby sprostać zadaniu i rozgromić hitlerowską Rzeszę Niemiecką. Wielu z nich uhonorowano najwyższymi odznaczeniami bojowymi polskimi i brytyjskimi, ale wielu nie doczekało się powrotu do wolnej Ojczyzny. Walczyli ofiarnie, zgodnie z dewizą wyhaftowaną przez Polki na sztandarze lotniczym, przysłanym z kraju do Anglii: **„Miłość żąda ofiary".**

ZBIGNIEW JAN CHOJNACKI

Bigos hultajski

MIESZANKA FIRMOWA LITERACKO—OBYCZAJOWA

RUCH BURZYCIELI MASZYN

Przed z górą 120 laty łódzka biedota fabryczna dostrzegła podstawową sprzeczność kapitalistycznych stosunków społecznych: nadmierne bogacenie się niewielkiej tylko części społeczeństwa kosztem przeważającej jego większości. Istotę wyzysku robotnicy widzieli jednak wówczas tylko w postępie technicznym i oto, jak donosił warszawski dziennik „Pszczoła" w numerze 102 z 1861 r.:

W mieście Łodzi, w nocy z 21 na 22 (kwietnia) tłum robotników i czeladzi niemieckiej, napadłszy jedną z najpiękniejszych przędzalni bawełny, własnością p. Szajblera będąca powybijał drzwi i okna i poniszczył machiny, w mniemaniu, że takowe zmniejszą ich zarobkowanie. Aby podobne gwałty nie mogły się ponowić, przedsięwzięte są ze strony władzy odpowiednie środki.

NA CO CIĘ PAN BÓG STWORZYŁ!

Panią Paszkowska co dzień z rana z jej dworku przywożono, a wieczór odwożono. Foryś do tego już był jeden przeznaczony. Raz tenże foryś, gdy przyszedł do spowiedzi, ksiądz zapytuje go, czy umie katechizm. Pokazało się, że nie. „Wiesz-że przynajmniej, na co cię Pan Bóg stworzył?" — „O, to wiem — odpowie pokornie — abym co dzień przywoził i odwoził panią Paszkowską."

H. Błędowska, Pamiątka przeszłości, Warsz. 1960

PIĘKNOŚCI KOBIET

W pierwszej porcji „Bigosu" zamieściłem trzy przykłady „zasłuchania się" współczesnych Mickiewiczowi poetów w jego piękny sonet „Dobranoc". Dziś wydobywam z ukrycia dwa inne utwory, tym razem poświęcone piękności przedstawicielek różnych europejskich nacji. Pierwszy z nich stanowi fragment „Listów do Wandy o mistycznych dziejach narodu polskiego" („Pszczółka Krakowska", 1821), pióra Stanisława Jaszowskiego (1803—1842), autorem drugiego był Zygmunt August Kretowicz (1806—1830). Nie ulega wątpliwości, że to Kretowicz „zasłuchał się" w tekst młodszego o trzy lata kolegi po piórze.

Córki Sekwany lekką szczycą się postawą,
Włos ciemny, żywe oko jest Hiszpanek sławą,
Włoszek czułe spojrzenie napawa rozkoszą,
Nad ustami Brytanek znawce się unoszą,
Chwalą nosy Turczynek, ich piękny tok ręki,
W Polkach... niebo te wszystkie połączyło
wdzięki!

S. Jaszowski

Sławne ziemi czerkaskiej z piękności dziewice,
Bretońskich kobiet blade miłe oczom lice,
Włos czarny, oko ciemne Hiszpanek zaletą,
Włoszek głos i spojrzenie jest czucia podnietą,
Chwalą nosy Greczynek, ich piękny tok ręki,
Kibić kobiet niemieckich i francuskich wdzięki,
Lecz Polka jest, która pięknością zakwita:
Żadna jej w całym świecie nie zrówna kobieta!

Z.A. Kretowicz

ŁAKOMI ŚWIĘCI

Znany badacz przeszłości i folkloru podolsko-wołyńskiego, Ormianin Sadok Barącz ogłosił w Tarnopolu uroczą książeczkę „Bajki, fraszki, podania, przysłowia i pieśni na Rusi", stanowiącą nieprzebraną kopalnię arcyzabawnych anegdot, z których jedną przytaczam poniżej:

Diak ukradł chłopu ser i masło, a chcąc odwrócić od siebie podejrzenie, powalał śmietaną twarze świętych z cerkwi, niby, że to oni zjedli. Chłop w cerkwi na drugi dzień patrzy i widzi dużo masła na ustach św. Mikołaja. Wtedy oburzony woła: „Wam, młodzi święci, się nie dziwię, żeście łakomi, ale ty, stary Mikołaju!"

ZAPOMNIANA ROCZNICA

Całkiem niepostrzeżenie minęła 12 marca br. 75 rocznica śmierci Edmondo de Amicisa (1846—1908), autora powieści „Serce", która od 1886 r. wywiera do dziś ogromny wpływ na kształtowanie się umysłowości wielu pokoleń dzieci wszystkich kontynentów. Przypominamy młodzieńczy wiersz pisarza poświęcony książce w przekładzie Gabriela Kempnera (1855—1916).

Sonet „La circolazione dei libri", napisany w latach 60-tych XIX w., został zawarty w cyklu „Schizzi della vita letteraria" i opublikowany w 1880 r. w tomie „Poesie". Przekład Kempnera ogłosił „Tygodnik Ilustrowany" w 1889 r.

Amicis okazywał szczerą sympatię i podziw dla zbrojnego czynu Polaków w okresie powstania styczniowego, czego dał dowód w wydanym osobno wierszu ulotnym „Italia e Polonia. Ballata allegorica" (Torino 1863).

Do przekładu Kempnera wkradły się drobne błędy drukarskie, które poprawione zostały na podstawie włoskiego oryginału według mediolańskiej edycji poezji Amicisa z 1894.

OBIEG KSIĄZEK

Młodzieniec kupił książkę. Od młodzieńca tego
Pożyczył ją profesor stary, zasłużony
I z kolei pożyczał, z bliska spokrewniony
Zamożnym starym damom, co cnót bliźnich
strzegą.

Dama ją do prezesa swego znajomego,
Przesłała, bo to znawca książek niezgłębiony.
Od dyrektora tutaj przebiegli jej strony
Wszyscy do aplikanta w biurze najmłodszego

Ten posłał do Syrakuz, do wielkiego pana,
Pan znów posłał piękności, co szeroko znana,
Bo wdzięki jej Turynu uwielbiają syny.

„Szczęśliwcze! patrzy, jak książkę twoją
rozrywają!"
Rzecze dzisiaj ktoś do mnie... O, nikczemna
zgrajo!
Rozrywają mą książkę — egzemplarz jedyny.

Opracował: ANDRZEJ KEMPA

Na górce przed Ośrodkiem Zdrowia — drewniany domek. Na podwórku samochód magistra. Stary, zdezelowany renault z podwyższonym podwoziem. Aptekarz grzebie pod maską. Z daleka zobaczył Jerzego, pomachał mu ręką.

— Stary bo stary, ale.. ho, ho. Z zapalaniem też nie mam kłopotu. Zepchnie się z górki i wio. Dawno już bym go puścił do ludzi, ale się człowiek przywiązał: ma się jeszcze te trochę sumienia. A samochód, panie, jak pies: czuje.. A co pan powie o tym automacie? — otwiera drzwi od strony kierowcy, samochód trąbi przeraźliwie. — Sam wymyśliłem.

Zatrzaskuje drzwi, trąbienie nie ustaje.

— Widzi pan? Trzeba dopiero otworzyć drugie drzwi, żeby wyłączyć. — Otwiera drzwi od strony przeciwnej, sygnał brzmi nadal. Magister wali pięścią w maskę, sygnał milknie. — Zacina się czasem — mruknął.

— A gdzie pan ma wyłącznik, żeby to wszystko wyłączyć?

— A nigdzie. Trzeba wsiadać drugimi drzwiami. Logiczne, nieprawdaż? Jak się staje przy krawężniku, to powinno otwierać się drzwi od strony chodnika. Że też tego nie uczą na kursach.. Widzi pan? Stacyjki też nikt nie włączy. Żaden kluczyk nie pasuje. Nawet mój.

— To jak pan włącza?

— Wytrychem. Dobre, co? Nikt na to nie wpadnie.

Na płocie suszą się obszarpane dżinsy, pielucha, koszule, chłopak pierze pod studnią, na trawie dwóch innych gra w damkę, adapter na parapecie wyje i sam zmienia płyty, drzwi od kuchni otwarte, w końcu stołu dziewczyna z dzieckiem na kolanach — karmi je piersią, brodacz w slipach wbija na patelnię pewnie dziesiąte już jajko, skorupki piętrzą się pod nogami, na stole karton z jajkami, margaryna, słoik z dżemem, musztarda, szklanki po herbacie, magister w porozpinanej koszuli, z dyndającymi mankietami, w pokoju pod ścianą, pod drugą rozłożone na podłodze sienniki, kilka plecaków pod piecem, na posłaniu gitara, na drugim — dwóch dryblasów gra w mister minda.

— Zrobiłeś już z Tomkiem matematykę? — pyta magister.

— No.

— Ile?

— Pół godziny co najmniej.

Dzieciak zapłakał na kolanach dziewczyny.

— Połóż go zaraz. Nie widzisz, że śpiący?.. To żona Mietka — wyjaśnia Jerzemu. — Aha, kolega nie wie, kto to jest Mietek. Mój dawny uczeń. Z Łodzi. W sobotę przyjedzie.. No, połóż go wreszcie.

— A gdzie?

— Możesz na moim tapczanie.

Przez okno wskakuje chłopak w lodziarskiej czapeczce..

— Czemu wlazisz przez okno? — fuknął magister.

— Tylko po kąpielówki. Co, naokoło mam latać.

— To nie możesz przez drugie? Widzisz, że goście..

— Dzień dobry — ukłonił się chłopak Jerzemu, bierze slipy, wyskakuje przez okno.

— Ciągle tłumaczę, żeby nie włazili przez okno — rozgląda się za krzesełkiem, nagle przypomina coś sobie. — Zaraz coś panu pokażę — prowadzi go do drugiego pokoju.

Tu także sienniki pod ścianą, w kącie ogromna szafa, magister otwiera, wypada z niej parę książek — niech sobie leżą, potem się je podniesie, magister znów grzebie w szafie, wyciąga płyty owinięte w gazetę.

— Przedwojenne nagrania Kiepury — mówi szeptem — Muzealny zabytek. Siedemdziesiąt osiem obrotów, na te nowe adaptery nie pójdzie — wyciąga spod stolika przedwojenny gramofon, przykleka na podłodze, zakłada płytę — Membrana tylko trochę przygięta i skrzypi, ale jak się tak wsłuchać... Tylko korbka gdzieś mi się wściekła, znów gdzieś zarzucili — rozgląda się znowu, zrezygnowany macha ręką, zdejmuje płytę, podaje Jerzemu. — Zdaje się, że kolega lubi klasyczną muzykę, proszę.

Przez okno zagląda chłopak w kapeluszu kowbojskim. Z ramienia zwisa mu plecak.

— Dzień dobry, panie magistrze. Jestem od Janka Od Pawłowskiego. Kolega. Mówił, że mogę.. przyjść do pana.

— Mówisz od Jasia? — wyraźnie się ucieszył magister. — Kiedy przyjedzie?

— Chyba w tym roku nie... to jest.. jak tylko będzie mógł — poprawia się, widząc że magister się zmartwił. — Powiedział, żeby pana pozdrowić, odwiedzić, że.. że mógłbym może przenocować u pana. Ze dwie, albo.. cztery noce — drugim okiem rzuca na pobliskie jezioro.

— Obiad jadłeś?

— Tak... Trochę. Po drodze, bo ja autostopem.

— Niech ci Mirek da jajka i zrób sobie jajecznicę. A spać będziesz w trójce pod piecem. Weźmiesz siennik z komórki. Albo nie, Mirek niech się przesunie do trójki, a ty z Tomkiem na tym dużym materacu pod oknem.

— Dziękuję. Bardzo panu dziękuję.

— Olek tu na mnie mówią... A ty?

— Sławek

— Niech ci będzie Sławek. A przepisy ty, Sławek, znasz?

— Drogowe?

— Mogą być i drogowe. Ani kropli alkoholu. W domu i poza domem. W chałupie także palić nie wolno. Drewniana, kapujesz? Już połowa chłopaków nie pali. Chcesz, to pomogę ci odzwyczaić się od palenia. Seansik hipnotyczny i.. a jak nie chcesz i wolisz umierać na raka, to twoja sprawa, przymusu nie ma.

Zajaśniały mu oczy, zrzucił plecak z ramienia, już pędzi do drzwi. Magister poprawił okulary, mrugnął na Jerzego.

— Widzi kolega? Za kawałek siennika ile JA mam uciechy?. Proszę — podaje znów płytę Jerzemu. — Mnie niepotrzebne. Do ich muzyki muszę ten... tego.. Z postępem trzeba mi..

HENRYK CZARNECKI

Oleczek

FRAGMENT POWIEŚCI

— A ja do pana magistra z prośbą — dopiero teraz wybąkał Jerzy.

— W porządku. Już załatwione.

— Chciałem prosić pana magistra.. jutro żona wychodzi w Lipnie ze szpitala i nie mam czym po nią pojechać.

* * *

Stary renault prycha i staje.

— Co się stało? — zaniepokoił się Jerzy.

— A wie kolega, że nie wiem — magister bezradnie rozkłada ręce. — Może zabrakło benzyny?

Zagląda do baku

— Niestety.

— Nie ma?

— Jest.

— To dlaczego „niestety"?

— Bo gdyby zabrakło benzyny sprawa jest prosta — magister uśmiecha się rozbrajająco. — Zupełnie prosta. Pół biedy.

— Pół?

— No tak. Bo gdy się naleje, można znów jechać.

— A to drugie pół?

— Jakie pół? — teraz magister znów nie rozumie.

— Biedy.

— Aaa.. Gdy nie ma skąd nalać... Ale wtedy lżej człowiekowi. Przynajmniej wiadomo co jest.

— A teraz już pan wie?

— Trochę to wiem — mówi magister zmieszany.

— No?

— Coś się, widocznie, musiało zepsuć. Bo skoro benzyna jest...

— A co?

— A tego to już nie wiem — znowu bezradnie rozkłada ręce.

Jerzy wysiada z samochodu. Magister otwiera, zamyka maskę, znowu otwiera.

— I tak mamy szczęście, że to nie „kicha". Dopiero byśmy się namęczyli — obchodzi samochód, nogą sprawdza ciśnienie w oponach. Przy jednej zatrzymuje się dłużej, kopie ją nogą — podpompować trochę nie zaszkodzi.

Wyciąga pompkę, pompuje. Jerzy patrzy na niego jak na wariata.

Magister siada do samochodu, przesuwa się na swoje miejsce kierowcy, gestem zaprasza Jerzego.

— Zjemy kanapki i okazją zabierzemy się do Lipna — mówi, rozwijając kanapki. — Zabiorą. Co by mieli nie zabrać. Wszyscy tu znają ten samochód, sami przystaną, nie ma co zatrzymywać.. Niech się kolega nie martwi. Ważne że żona ze szpitala wychodzi.

Bez większego sensu, ot tak, machinalnie włącza kluczyk wyłącza, znów włącza, naciska starter — silnik zaskakuje od razu.

— A nie mówiłem? — magister cieszy się jak dziecko. — Sam ruszył.

* * *

W aptece pusto, ostatni wczasowicze już wyjechali, opustoszały sienniki w pokojach magistra, umilkło podwórko, na zapleczu apteki ostatni Mohikanie żegnają Oleczka, przedrzeźniają z nogi na nogę. Magister rogiem fartucha przeciera okulary, wciska chłopakom pieniądze na bilet, chłopcy wzbraniają się jedną ręką, biorąc drugą pieniądze.

— Bierz, bierz, nie będziecie ode mnie wracać przecież autostopem.

— Ale my jeszcze mamy. Nie trzeba.

— Trzeba trzeba.

Rysiek wręcza klucze Oleczkowi.

— Sienniki pochowaliśmy do komórki, pokoje sprzątnięte, okno zamknąłem. Uważaj tylko, Oleczku, jak będziesz otwierał. Po pierwsze i tak się nie otworzy, zawias urwany, zabiłem okno gwoździami.

Nad woda dzikie kaczki lecą na zachód, fale uderzają o pomost, przelewają się przez wilgotne deski spłukują resztki wakacji i słońca, które nie zdąży już wyschnąć tu po kąpieli.

Jesień.

Wieczór. W mieszkaniu magistra tylko w kuchni pali się światło. Jerzy pchnął furtkę — zaskrzypiała smutno w zawiasach, z drzewa zerwały się wrony kraczą... W kuchni przy stole siedzi w milczeniu dwóch tutejszych chłopców z klasy Jerzego.

— Oleczek, pan magister — chłopak poprawił się szybko — ma seans — informuje szeptem Jerzego.

— Seans?

— Niech pan wejdzie. Tylko cichaczem. Panu to nic nie powie.

Jerzy otwiera drzwi, przechodzi wolno przez pokój jeszcze ciszej otwiera następne drzwi. Nad jednym z uczniów, siedzącym w fotelu, pochyla się magister. Jakby zawisnął nad nim. Wykonuje jakieś tajemnicze ruchy rękami. Nie widzi Jerzego pochłonięty swoją czynnością.

— Dwadzieścia jeden, dwadzieścia dwa, dwadzieścia trzy — Oleczek mówi do chłopca cichym, usypiającym głosem — już czujesz ogarniającą cię senność, nie masz siły podnieść powiek. Tylko mój głos dociera do ciebie musisz być mu posłusznym, poddać się jego brzmieniu. Chcesz zerwać z okropnym nałogiem palenia. Pomogę ci, czujesz zapach nie, to nie zapach to smród z papierosa. Mdli cię, coraz bardziej cię mdli — podsuwa mu pod nos skórkę od szwajcarskiego sera, to znowu stara skarpetka — wyrzygasz się, gdy tylko zaciągniesz się dymem..

Jerzy poruszył się w drzwiach, magister odwrócił się, kładzie znaczącym ruchem palec na ustach, na palcach podchodzi do niego, pochyla mu się nad uchem.

— Jest w transie. Odzwyczajam go od palenia. Hipnoza pomaga.

— A ta skarpetka?

— Pomoc pedagogiczna. Może być zmywak, skarpetka, nieważne. Trzeba tylko czymś śmierdzącym nad nosem pomachać.

— To ten smarkacz już pali? — Jerzy spojrzał na chłopca

Magister przeraził się, że powiedział zbyt wiele.

— Sza. Nic kolega nie słyszał. U mnie jak na spowiedzi. Nie tylko papierosa ale nawet popielniczki u mnie pan nie uświadczy.

Chłopak uchylił lekko powiekę, ta szparka przysłuchuje się wywodom magistra. Nagle zorientował się, że Jerzy patrzy na niego. Natychmiast zacisnął oko, że aż się wykrzywił na twarzy, głębiej wcisnął się w fotel, mocniej przywarł głową do podpórki, która magister dorobił na wzór dentystycznego fotela.

— Jakby kolega też chciał się odzwyczaić od czego, to ja bardzo chętnie.

Jerzy potrząsnął głową.

— Nie, nie. Dobrze jest mieć czasami jakiś nałóg.

Wychodzą z pokoju, idą do kuchni, na dwór. Gdy tylko za nimi zamknęły się drzwi zjawił się w kuchni hipnotyzowany.

— O rany chłopaki! Widział mnie stary. Jak nie śpię.

— Musiałeś się gapić, lebiego?

— Powieka mi się ciut rozluźniła. Chłopaki, co teraz będzie? Nie idzie mi o mnie ale o Oleczka.

— Może stary nie zauważył?

— Zauważył. Widziałem po jego minie. Zaraz mu powie. Już pewnie powiedział. Zróbcie coś, jak Boga kocham!

Zdzisiek wyszedł za próg.

— Proszę pana!

— Wołają kolegę — mówi Jerzy.

— Nie. Na mnie wołają Oleczku. Niech kolega do nich podskoczy.

Wciągnęli go do środka.

— Proszę niech pan.. nie mówi Oleczkowi, to jest, no, magistrowi, że Rysiek nie spał... Bo by się załamał. To znaczy Oleczek. On tak wierzy w te swoje no.. Nie trzeba nic mówić.

— Dobrze — zgodził się Jerzy.

Wrócił do czekającego przed furtką magistra. Poszli na orzełaj w kierunku jeziora.

— Cieszę się, że mnie oszukują — mówi po dłuższej chwili magister — Ale niech się kolega z tym nie wygada. Zawsze przyjemniej, gdy ktoś tu do mnie wpadnie od czasu do czasu — dodaje smutno Oleczek.

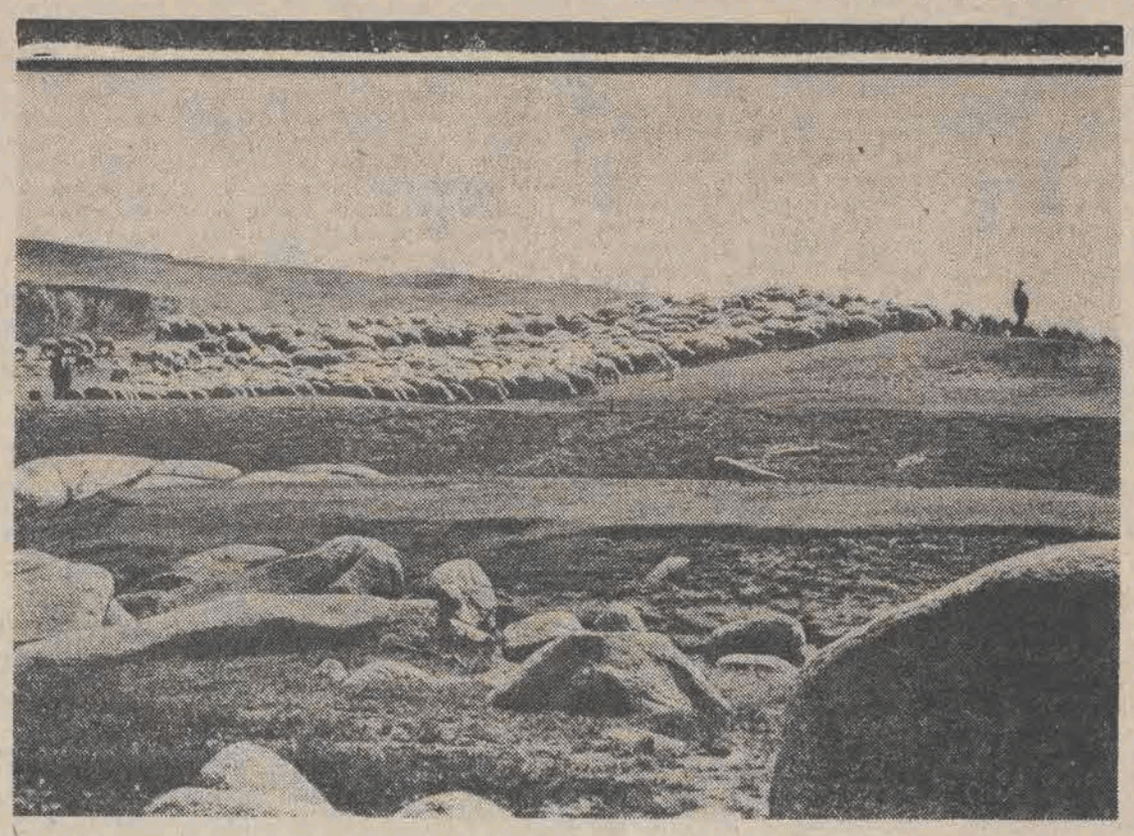

VII Łódzkie Spotkania Baletowe (3)

WIECZÓR DZIESIĄTY: EWA WYCICHOWSKA

W dalszym ciągu nie omawiam utworów znanych już łódzkiej publiczności i recenzowanych, dotyczy to także wieczoru, na którym powtórzono wykonywany już wielokrotnie **„Głos kobiecy" Krzysztofa Knittla i „Serenadę" Karłowicza** — w choreografii **EWY WYCICHOWSKIEJ.** Odnotowuję zmianę w obsadzie tego pierwszego utworu, w którym zamiast Liliany Kowalskiej, mającej ostatnio kłopoty zdrowotne zatańczyła trzecie wcielenie bohaterki utworu Wycichowska. Wykonano też **„Medeę" Juliusza Łuciuka** w choreografii **TERESY KUJAWY,** z Wycichowską w roli tytułowej. Ale jak było, nie wiem, ponieważ na ten wieczór musiałem dać sobie urlop.

WIECZÓR JEDENASTY: PANTOMIMA WROCŁAWSKA

Wrocławski Teatr Pantomimy pod dyrekcją swego założyciela i kierownika artystycznego **HENRYKA TOMASZEWSKIEGO,** inscenizatora i reżysera wszystkich dotychczasowych programów pokazał **„Rycerzy Króla Artura",** wspaniałe widowisko, grane w Łodzi bodaj przed rokiem kilkakrotnie, a recenzowane przez niżej podpisanego na innych łamach. Jest to kolejna adaptacja znanego eposu, o ważnym znaczeniu dla europejskiego kręgu kulturowego, ale Tomaszewski, jak zawsze, dorzuca coś własnego do interpretacji każdego mitu. Nie o to zresztą chodziło organizatorom Spotkań, lecz niewątpliwie o odświeżenie naszego spojrzenia na te niejako rutynowe środki wyrazu ruchowego i mimicznego, którymi posługuje się „język" baletu. Bo teatr Tomaszewskiego, choć podporządkowany innym celom, też przecież bazuje na sprawności i wyrazistości ciała, bez czego nie mogłyby powstać takie kreacje jak choćby **Parcevala** czy **Galahada, Mordreda** czy **Lamoraka,** stworzone przez **ŁUKASZA JURKOWSKIEGO, LESZKA ROSOŁKA, MARKA OLEKSEGO i JULIANA JANOWSKIEGO.**

Myślę, że niejednemu z solistów baletu polskiego nie zaszkodziłby praktyczny „krótki kurs" interpretacji pod okiem Tomaszewskiego.

WIECZÓR DWUNASTY: COPPELIA

Omówienie tego przedstawienia, które miało niedawno swoją łódzką premierę w choreografii **TERESY KUJAWY** i było gruntownie recenzowane, możemy sobie darować. Tytułową rolę, jak wiadomo, tańczy Ewa Wycichowska.

WIECZÓR TRZYNASTY: LENINGRADZKI BALET MINIATUR

Tytuł tego wieczoru brzmiał nie bez racji: **„Spotkania z twórczością Leonida Jakobsona",** ponieważ cały program Leningradzkiego Państwowego Zespołu Baletowego „Miniatury Choreograficzne" skomponowano z utworów opracowanych choreograficznie przez tego nieżyjącego już artystę. Zespół, złożony z 55 solistów (nie posiadający corps de ballet), kultywuje na prawach wyłączności twórczość Jakobsona, a rekrutuje się głównie z wychowanków leningradzkiej szkoły baletowej. Udział w naszych spotkaniach stanowi dla zespołu, kierowanego przez **ASKOLDA MAKAROWA,** 24 zagraniczną podróż.

Program składał się z 20 pozycji, z czego 4 zdecydowano się dołączyć już po przyjeździe. Otworzyło wieczór **„Błyskotliwe divertissement"** do pełnej fantazji muzyki Michała Glinki, do której dostosowano oprawę scenograficzną i kostiumy, ale w wykonaniu wyczuwało się pewne jakby usztywnienie ruchowe, które też zaważyło na precyzji niektórych momentów.

Zupełne rozluźnienie napięcia nastąpiło w znakomicie tańczonym cyklu rosyjskich miniatur: w **„Śnieżce"** do muz. Prokofiewa — ekspresyjny taniec solowy **T. CZEKASZEWEJ;** w zabawnym **„Podarunku"** Pietrowa, z lekkością i nienaganną techniką i świetną interpretacją **O. TIESTOJEDOWEJ** i partnera **M. CZEKASOWA;** w **„Babie Jadze"** Mussorgskiego, w której zaimponował techniką i wyrazistą charakterystycznością, **W. LEBIEDIEW.** Brawurowo odtańczył też **„Wiejskiego Don Juana"** Zarickiego **W. SIERGIEJEW i G. WULICH,** choć genre tego utworu bliższy jest chyba zespołowi Mojsiejewa (nb. z tej samej szkoły co Jakobson). Oryginalnie wypadł rodzajowy obrazek sceniczny **„Ślubny orszak"** Szostakowicza — ze świetnym **Panem Młodym (A. STIOPIN) i Bogatymi Rodzicami (N. JERMOŁOWA i N. LEWICKIJ),** ale choreografii zabrakło pomysłu. Dynamicznie i ekspresyjnie wykonali też **„Ognistego ptaka"** Strawińskiego **W. SOŁOWIEWA i W. JEFIMOW.**

Cz. II otworzył **Mazurek** Chopina, miękko i z pięknym gestem odtańczony przez **W. KIMA.** Z dużą dbałością o czystość rysunku wykonano **Tryptyk** do muz. Mozarta, ale niezbyt przekonywały mnie niektóre drobne ruchy i gesty, np. trzepotanie palcami dłoni, mające zapewne oddawać ruchliwość przebiegu agogicznego w muzyce. We **„Wzlocie Taglioni"** zwracała uwagę szlachetnością ruchu i układu ciała **W. SIERGIEJEWA.**

Na zakończenie zobaczyliśmy cykl pt **„Rodin"** na motywach rzeźb wielkiego francuskiego artysty, do muzyki Debussy'ego, Prokofiewa i Albana Berga. Godny podziwu zamysł, wymagający wielkiej inwencji w różnicowaniu poszczególnych tańców przy zapewnieniu jednolitego charakteru całości cyklu. Udało się to w stopniu niemal doskonałym, m. in. dzięki talentom tancerzy.

Ten cykl, w kontraście z rodzajowymi obrazkami folklorystycznymi i stylową klasyką potwierdził szeroką skalę możliwości znakomitego zespołu, bardzo gorąco oklaskiwanego przez publiczność.

WIECZÓR CZTERNASTY: CHOPIN — GALA

Nadal pomijam w numeracji Spotkań wieczory filmowe, a odbył się znów jeden poświęcony filmom baletowym z **Mają Plisiecką.** Szkoda, że organizatorom do ostatniej chwili tak trudno było przewidzieć dokładny program filmowego przeglądu.

Zupełnie nową ideą jest konfrontacja najnowszych kompozycji choreograficznych do muzyki Chopina, napisanych specjalnie na łódzkie Spotkania, po części za namową dyr. **Sławomira Pietrasa.** Mimo iż zwierzyłem się wcześniej, że nie gustuję w tańczonym Chopinie, którego muzyka wydaje mi się zbyt trudna do wyrażenia tańcem w sposób artystycznie „adekwatny", to jednak oczekiwałem programu z zaciekawieniem i — daję słowo — bez uprzedzeń. Pozytywnie nastroiła mnie niedawno zasłyszana wypowiedź Ewy Wycichowskiej, że tancerz słuchając muzyki Chopina, czuje ją w swoim ciele i odczuwa potrzebę wyrażenia jej przez własny taniec lub stworzenie choreografii. To zresztą oczywiste, że w ten subiektywny i najzupełniej autentyczny sposób może się ucieleśniać i przybierać ostateczny kształt inspiracja muzyczna. Ale czy efekt końcowy jest zawsze współmierny do szczerości przeżyć i autentyczności twórczych potrzeb? Czy przeżycia bardzo silne i wzniosłe łatwo dają się zamknąć w artystycznym kształcie?

Rozpoczęło się od nowej kompozycji **KAZIMIERZA WRZOSKA** i w jego choreografii, pt. **„Wyzwanie",** czyli „opowieści baletowej osnutej na III i IV cz. „Dziadów", a do muzyki czterech utworów Chopina. Trudno o przedsięwzięcie bardziej ryzykowne, jeśli wziąć pod uwagę choćby tylko ideowo-artystyczną rolę „Dziadów" na polskich scenach. Z pewnością Chopin ma conajmniej ten sam artystyczny „ciężar gatunkowy", co nie oznacza jednak artystycznego współbrzmienia jego muzyki z dramatem Mickiewicza (Chopin zresztą nie dał się namówić Mickiewiczowi na napisanie „narodowej opery"). A jeszcze doszedł tu taniec, jako interpretacyjny „pomost" pomiędzy dwoma różnymi żywiołami.

Owszem, balet miał w sobie coś z klimatu polskiego romantyzmu, wykonawcy również spisywali się co najmniej nieźle: **KAZIMIERZ KNOLL,** jako **Senator, EWA WYCICHOWSKA** — jego **Córka, ANNA FRONCZEK** — dobra dramatycznie jako **Rollisonowa,** wreszcie i sam **WRZOSEK** — w bardzo zgrabnie dla siebie samego skrojonej partii próbował zarysować rozwój postaci **Konrada.** W sumie jednak okazało się to iście romantycznym mierzeniem siły na zamiary.

Z kolei **Introdukcję i Polonezа G-dur** na wiolonczelę i fortepian starała się utanecznić Ewa Wycichowska. Mimo dobrego pomysłu z odchodzeniem tancerza **(JERZY PIĘTKA)** w głąb sceny, co miało swoją wymowę i swój nastrój, całość nosiła jakby piętno niedopracowania w szczegółach i z pewnością nie jest to najlepszy z pięciu dotychczasowych baletów naszej choreografki.

Znacznie lepsze wrażenie sprawiło **Preludium d-moll Andrzeja Glegolskiego,** dobrze odtańczone przez **JOLANTĘ RYBARSKĄ i ANATOLA JANASZKA** (zwłaszcza równoległe wykonywanie tych samych pas), podobnie o choreograficznym sukcesie może mówić **Emil Wesołowski,** który do **Ballady g-moll** stworzył rzecz bezpretensjonalną, w nastroju młodzieńczej afirmacji życia, czemu z wdziękiem, lekkością i precyzją dawała wyraz, zapamiętana ze „Śnieżki", **ANNA GRABKA,** przy partnerowaniu **JANUSZA MAZONIA.**

Chyba wyjątkowo dobrze nadaje się do celów choreograficznych **Preludium e-moll** z op. 28 nr 4, dzięki frazie o narracyjnym charakterze i „wspomnieniowym" nastroju. I chyba tym tropem powinien był pójść **Jan Domański** (właściwie Jan Berski — krytyk baletowy), wplótł jednak pomiędzy fragmenty Preludium trzy inne utwory i tę niezbyt spójną muzycznie całość przyozdobił wierszem Gałczyńskiego, z efektem w sumie wątpliwym.

To, co napiszę o choreografii **Gustawa Klauznera** do **Nocturnu** op. 27 nr 3 i **Kołysanki** będzie mi poczytane za maniactwo. Oceniam bowiem choreografię jako pomysłową, udramatyzowaną, działającą na wyobraźnię, a więc — dodatnio, ale, w moim pojęciu nie była to jednak muzyka Chopina, lecz tego rodzaju aranżacja, która przez odmienność rytmiki i nastrój orkiestrowej transkrypcji zalicza się do muzyki „lekkiej", omalże rozrywkowej, doskonałej jako „przebój", ale z Chopinem mającej niewiele wspólnego. Choreograf odniósł więc sukces, ale w łatwiejszej „kategorii" niż pozostali koledzy, którzy zmierzyli się z oryginalną sztuką Chopina.

Na zakończenie dano **„Koncert f-moll" Ewy Wycichowskiej,** dobrze już znany i omawiany. Ponowne obejrzenie baletu przyniosło mi jeszcze więcej wrażeń dodatnich niż poprzednio. Niezależnie od znakomitego Pas de deux z II cz. utwór wydaje mi się teraz lepiej skomponowaną całością, jakby bliższą muzyce Chopina i ma, moim zdaniem, szansę utrzymać się w polskim repertuarze.

Nie mam miejsca na „podsumowanie" imprezy. Uważam VII Spotkania za zdecydowanie ciekawe, ale w sumie zbyt długo trwające.

JERZY KWIECIŃSKI

Nie było w tym roku sążnistych tytułów w gazetach, nie było kiermaszów, tych księgarskich odpustów, które — już od wielu lat — zamiast książek gromadziły tłumne zbiegowiska. Nie było spotkań z pisarzami, autografów i gigantofonów ze skoczną muzyczką. Mimo to, tegoroczne Dni Oświaty, Książki i Prasy nie minęły przecież bez echa. Krzyki rozwścieczonych encyklopedystów, to znaczy tych, którzy polowali na „Encyklopedię Popularną", rozlegały się w tych dniach sprzed każdej księgarni. „Ja nie dla siebie" — szlochała przed „Pegazem" rozogniona brunetka z kilkumiesięcznym dzieckiem na ręku — „to dla niego!" — krzyczała i unosiła dramatycznie becik nad głowami tłumu. „Nigdy nie miałam encyklopedii, niechaj moje dziecko ją ma!" — płakała.

Sensowny — jak zwykle — „Express Ilustrowany" mitygował nastroje kolejek informacjami o milionowych siuchtach w jednej z łódzkich księgarni, a także o tajnym rozporządzeniu dyrekcji „Domu Książki" nt. zasad i terminów sprzedaży „Encyklopedii". Że nie doszło nigdzie do linczu? Społeczny rozsądek i idea porozumienia narodowego zataczają wszak coraz to szersze kręgi.

„Encyklopedia popularna" BWN, której następne setki tysięcy wciąż się drukuje, jeszcze przez parę lat będzie książką najbardziej poszukiwaną. Wierzmy, iż niemowlę w beciku, gdy dorośnie, kupi ją bez trudu, bez dramatów i bez szlochów.

Aby nie być posądzonym o czarnowidztwo — czerń — jak się dostrzega — wychodzi z mody — muszę dodać, że mimo braku zwyczajowej fety, zwiększono w czasie maja księgarskie transporty, że książek było więcej niż rok temu, i że ci wytrwalsi nie bez satysfakcji opuszczali księgarnie.

Majowe bestsellery

Opis majowych nowości rozpoczynam od powieści **Jerzego Putramenta „Potąd"** („Czytelnik", nakład 40 tys., cena 120 zł), z dwóch powodów. Nakazuje to — po pierwsze — „wiek i urząd" pisarza (niczego nie wypominając!) — a po drugie fakt, iż jego powieść, trzeci i ostatni tom cyklu „Wybrańcy", jest utworem interpretującym nasze najnowsze dzieje.

Trzeba przyznać, że kierowały Putramentem intencje wielce ambitne: stworzyć powieściowy cykl, który jak niegdyś np. „Noce i dnie" czy „Sława i chwała", przedstawiałby fabularną panoramę losów ludzi uwikłanych w historię. Teraz miałby to być syntetyczny, bo egzemplifikowany biografią jednej postaci, obraz pokolenia współtwórców ludowej i socjalistycznej Polski.

Trylogia powstawała przez kilka lat. Tom pierwszy „Ucieczka" ukazał się w roku 1978, tom drugi „Powrót" w roku następnym, a tom trzeci właśnie teraz. W tym czasie, dynamizowanym przez szaleńczy kołowrót wydarzeń, świadomość autora i jego czytelników poddawana była próbom, które nie sprzyjały epickim i racjonalnie układanym syntezom naszej powojennej rzeczywistości. Dlatego też, najlepszy w tym cyklu jest tom pierwszy, opowiadający o dzieciństwie i młodości Andrzeja Izdebskiego (dwudziestolecie międzywojenne). Przekonująco i nie bez emocjonalnej żarliwości nakreślona postać głównego bohatera (stąd nasze domniemania o autobiografizmie wielu wątków), także innych postaci z okresu wileńskiej edukacji Izdebskiego oraz rygor stylistyczno-konstrukcyjny „Ucieczki" zdawały się realizować epickie ambicje autora. Jednak tom drugi, a zwłaszcza trzeci — pisane jak gdyby bez wewnętrznego zaangażowania, które towarzyszyło początkom — rozmyły wojenne (w ZSRR) i powojenne losy Andrzeja. Od autora „Bołdyna", „Września", znakomitych opowiadań musimy wymagać motywacyjnej wiarygodności opisywanych wydarzeń, fabularnego pomysłu, pogłębionej interpretacji faktów historycznych, do których powieść się odwołuje. Epos przekształcił się — właśnie w tomie trzecim — w realistyczną groteskę (wydarzenia wokół Głównego Urzędu Ustaw i Kodyfikacji) pospiesznie finalizowaną. Na zakończenie tych kilku zdań przytoczę fragment z „Literatury", gdzie Putrament ogłasza t. VIII swoich wspomnień „Pół wieku": „Bardzo szybko zabrałem się do kolejnej książki, ba, już nie powieści, ale trylogii. Jest to nowa wersja czasów wileńskich. Że zaś postacią wiodącą jest teraz Jerzy Sztachelski, sama fabuła wymaga przynajmniej ciągu trzytomowego" (...) „Rozmyślałem o powieści, pierwszy rozdział widział mi się dość szczegółowo, kolejny zgadywałem, trzeci już raczej się marzyło".

Na mojej półce majowych bestsellerów jeszcze jedna trylogia, a w zasadzie tom, który dopiero tryptyk zapowiada. Zanim doczekamy się na trzyczęściowy epos gdański Grassa, możemy oto zapoznać się z powieścią o podobnych ambicjach, tyle tylko, że rozgrywającą się w Gliwicach. „Czytelnik" wydał właśnie część pierwszą tryptyku powieściowego **Horsta Bienka „Pierwsza polka"** (nakład 30 tys., cena 120 zł) w przekładzie Marii Przybyłowskiej, z pożyteczną poznawczą przedmową Wilhelma Szewczyka. Urodzony w roku 1930 w Gliwicach autor, po zmiennych i dramatycznych kolejach losu, znalazł się ostatecznie w Niemczech Zachodnich, podejmując pracę dziennikarza, redaktora i reżysera filmowego. Tu interesuje nas przede wszystkim jako twórca cyklu, opublikowanego w latach 1975—1979, na który składają się trzy powieści: „Pierwsza polka", „Septemberlicht" („Wrześniowe światło") i „Zeit ohne Glocken" („Czas bez dzwonów"). Akcja pierwszej z nich rozgrywa się w ciągu jednego dnia 31 sierpnia 1939 roku i kończy rankiem dnia następnego, akcja drugiej rozpięta jest w czasie kilkudziesięciu godzin czwartego dnia wojny, natomiast fabułą części trzeciej zamyka czas Wielkiego Piątku 1943 roku. „Horst Bienek — pisze Wilhelm Szewczyk — gliwiczanin z urodzenia, powrócił w swoje rodzinne strony jako kronikarz zagłady tej tradycji, którą tu i ówdzie próbuje się reanimować. W metaforycznym, ale konsekwentnym widzeniu Horst Bienek przekonuje nas, że pierwsza polka, jaką odtańczono w przeddzień agresji hitlerowskiej na Polskę, była polką ostatnią i że czas bez dzwonów okazał się również czasem bez nadziei".

Z reguły pomijam w tym comiesięcznych sprawozdaniach książki wydawane ponownie i kolejne wznowienia. Dlatego też, wspomnę tylko o drugim, niezwykle starannym i niemal luksusowym — za 900 zł! — wydaniu **„Rzeczypospolitej Obojga Narodów" Pawła Jasienicy** (PIW, nakład 40 tys. trzy tomy), bo dzieło to jest wciąż niedoścignionym przykładem książki popularnonaukowej na temat naszej historii. Natomiast wyraźniej chciałbym podkreślić fakt edycji trzeciego wydania **„Historii literatury polskiej w zarysie"** napisanej przez zespół polonistów z Uniwersytetu Jagiellońskiego **pod redakcją Mariana Stępnia i Aleksandra Wilkonia** (PWN, nakład 100 tys., cena za dwa tomy 240 zł). Ten podręcznik o popularnonaukowych założeniach, wydany w masowym nakładzie, przejdzie do historii tego rodzaju opracowań, jakie powstawały w naszej powojennej rzeczywistości. Przede wszystkim dlatego, że jest widomym rezultatem (myślę tu o syntetycznych ujęciach dziejów literatury polskiej XX wieku — po roku 1918, napisanym przez Stanisława Jaworskiego oraz — po roku 1939, napisanym przez Mariana Stępnia) zmiany perspektywy w widzeniu spraw współczesnej kultury literackiej w Polsce. Tu trzeba powiedzieć, że dotychczasowe syntezy o podręcznikowym charakterze, np. Krzyżanowskiego „Dzieje literatury polskiej" oraz uzupełnienia wprowadzone przez Maciąga do Kleinerowskiego „Zarysu dziejów literatury polskiej" tylko w części realizowały oczekiwania na popularnonaukowy opis dwudziestowiecznych ewolucji naszej literatury. Z tym większym więc zainteresowaniem sięgałem do ostatnich rozdziałów krakowskiej „Historii" i nie bez satysfakcji znalazłem w niej zracjonalizowany i wyważony w proporcjach obraz dwudziestolecia międzywojennego, a także wreszcie pełny (od strony informacyjno-bibliograficznej), obiektywny, ze skrótową — z konieczności — charakterystyką, obraz literatury po roku 1945; obraz, co ważne, doprowadzony do najbardziej aktualnych faktów z początku lat osiemdziesiątych, bez cięć w stosunku do literatury emigracyjnej, bez przemilczeń, bez sekowania tych czy innych nazwisk. Dla wielu, i tych w kraju, którzy przez lupy o swoiście zaprogramowanej ostrożności przyglądają się pogrudniowej rzeczywistości, a także dla tych, którzy przemawiają do nas na radiowych falach w godzinach nocnych, książka ta będzie spędzać sen z oczu: o co tu chodzi? jak to zinterpretować?

Płodność naszych historiografów wpędza nas w czytelnicze frustracje: trudno nadążyć z lekturami. Niemal każdy miesiąc przynosi książkę grubą i ciekawą, której pominąć nie można. Tym razem najwyższa uwaga należy się dziełu profesora **Zbigniewa Wójcika „Jan Sobieski"** (PIW, „Biografie Sławnych Ludzi", nakład 30 tysięcy, cena 300 zł), którym wydawnictwo wprowadza nas w aurę zbliżającej się trzechsetnej rocznicy wiktorii wiedeńskiej. Nie należy jednakowoż traktować tej książki jako jubileuszowego przyczynku. Jest ona bowiem pierwszą polską syntezą obejmującą cały okres panowania Jana III. „Historyk — kończy swoją monografię Zbigniew Wójcik — nie zawsze powinien aprobować obrazy utrwalone w świadomości historycznej swego narodu. Czasami są one błędne, a przeto i szkodliwe dla politycznego myślenia współczesnej nam generacji. Nie można jednak zaprzeczyć, że świadomość historyczna Polaków jest na ogół trafna, że np. nasz naród odczuwał i odczuwa nadal szacunek i kult dla tych wybitnych rodaków, którzy w przeszłości walczyli o sławę i honor, a później o wolność i niepodległość Polski". Książka o Sobieskim nie jest przecież hagiografią, jest natomiast zajmująco napisaną biografią człowieka, polityka i władcy, który swą kartę w historii zapisał nie tylko sukcesami i zwycięstwami.

Na koniec rzecz o książce i jej autorze, który w sposób niezwykle zjadliwy i bezprecedensowy obnażył uroszczenia, fałszywe skale wartości i nędze krytyki literackiej. Wprawdzie rzecz rozegrała się we Francji, jednak jest ona wielce pouczająca i dla naszych mężów opatrznościowych literatury. Otóż Roman **Gary,** rozeźlony negatywnymi recenzjami, jakie ukazywały się po publikacji jego kolejnych powieści, postanowił następne ogłaszać pod pseudonimem Emile Ajar. Te, od samego początku, stały się ewenementem rozgłaszanym przez krytyków na cały świat. „Życie przed sobą" tłumaczono w pośpiechu na wiele języków (w Polsce ta powieść ukazała się w roku 1978) nagrodzono „Prix Goncourt", a filmowa adaptacja zdobyła „Oskara". Dopiero po samobójczej śmierci Gary'ego miało się okazać, że Emil Ajar w ogóle nie istniał, a cały ten pomysł był z góry ukartowaną zemstą na krytykach.

Właśnie w maju „Czytelnik" wydał, w przekładzie Marii Braunstein i Agnieszki Daniłowicz-Grudzińskiej, powieść **Gary'ego-Ajara „Lęki króla Salomona"** (nakład 20 tys., cena 120 zł) wraz z tekstem autora, zatytułowanym „Życie i śmierć Emile'a Ajara". Powieść jak powieść. To nie w Polsce kształtuje się refleksja o bessie współczesnej literatury francuskiej. Powieść Gary'ego, choć warta lektury ze względu na rzadki obecnie wydźwięk optymistyczno-humanitarny, w pewnym sensie tę bessę ilustruje.

Poza tym — z braku miejsca — już tylko w bibliograficznym skrócie z majowych nowości należałoby polecić: **Hansa Richtera „Dadaizm"** (WAiF, „Style-kierunki-tendencje", nakład 20 tys., cena 140 zł) — pierwsze po polsku monograficzno-wspomnieniowe przedstawienie tego prądu artystycznego; **Mieczysława Wallisa „Sztuki i znaki. Pisma semiotyczne"** (PIW, 200 tys. cena 200 zł) oraz dwie książki **Anny Kamieńskiej,** zbiór poezji z lat 1979—1980, **„W pół słowa"** („Czytelnik", 5 tys., cena 80 zł) i „Notatnik 1965—1972" („W drodze", 20 tys., cena 150 zł) — zapis myśli, poetyckich pomysłów, filozoficznych rozterek i egzystencjalnych obserwacji.

GRZEGORZ GAZDA

SAL SOLO I „CLASSIX NOUVEAUX"

Medium w Hali Sportowej

Mamy już poza sobą wizytę rewelacyjnego, szokującego, demonicznego „Fantomasa" brytyjskiej muzyki nurtu „new romantic": SALA SOLO z grupą „CLASSIX NOUVEAUX". Koncert w łódzkiej Hali Sportowej 17 maja 1983 r.

Już na wstępie powiem (napiszę) krótko: jeżeli ktoś, kto interesuje się muzyką młodzieżową, szczególnie w jej nowych, najmodniejszych na świecie odmianach nie był na tym koncercie — niech bardzo żałuje! Muzyka stylu „new romantic" posiada w odróżnieniu od innych szczególne walory widowiskowe. Jest więc nie tylko czego słuchać, ale i na co patrzeć. Wizualne atuty „new romantic" tworzą spektakl rockowy, jakiego na polskich estradach nie widzieliśmy do tej pory.

Grupa *„Classix Nouveaux"* należąca właśnie do bardzo modnego obecnie na świecie nurtu „new romantic" jest w Polsce mniej znana niż jej konkurenci: „Spandau Ballet" czy „Visage". Animatorem tej niebanalnej formacji rockowej był *Sal Solo* (śpiew i gitara), grający wcześniej w zespole „The News". Wykorzystując swoje szczególne, osobliwe predyspozycje estradowe i aparycję, stworzył postać demonicznego wokalisty-robota, ale jakże utanecznionego, miękkiego w ruchach, a jednocześnie drapieżnego, dynamicznego (pewne podobieństwa do zachowania się na estradzie naszej Kory!). Taki futurystyczny wizerunek Sal Solo nadał całej grupie „Classix Nouveaux".

Skład grupy tworzą: *Sal Solo* (śpiew), *Mik Sweeney* (gitara basowa, syntezatory), *Jimi Sumen* (gitara), *B. P. Hurding* (perkusja) i *S. Paul Wilson* (keyboardzista, syntezatory). Grupa powstała na przełomie 1979/80 roku w Wielkiej Brytanii. Nie było wtedy znane pojęcie „new romantic" i grupa klasyfikowała siebie samą na przedłużeniu „new wave", w konwencji awangardowego future-rocka.

Początkowe ich zainteresowania dotyczyły tematyki science-fiction i awangardowej sceny rockowej typu Gary Numan. Przykładem dwa pierwsze single: „The Robots Dance" i „Nasty Little Green Man" (wydane przez firmę ESP), które znalazły się na tzw. niezależnych brytyjskich listach przebojów. W połowie 1981 roku nakładem koncernu United Artists (wytwórnia „Liberty") ukazał się pierwszy album Classix Nouveaux pt. „Night Peaple". Łącznie z małym krążkiem „Guilty" wprowadził on zespół na „Top Twenty" w klasie longplayów i singli. Grupę Sala Solo zaczęto łączyć z powstającym stylem „new romantic" i zaliczać do najlepszych reprezentantów tego nurtu. W 1982 roku tygodnik „Melody Maker" nazwał drugą płytę Classix Nouveaux „La Verite" „najdoskonalszym albumem rockowym od czasu ostatniej płyty zespołu Duran Duran".

Zespół miał w tym czasie duże tournée po Wielkiej Brytanii, a singiel „Is It A Dream" trafił do pierwszej dziesiątki przebojów w Anglii. Obecnie „Classix Nouveaux" przygotowuje do wydania trzeciego longplaya w znanej wytwórni koncernu płytowego EMI. Zapowiedź tego longplaya w postaci singla „End... Or The Beginning" trafiła już na listę przebojów singli w wielu brytyjskich magazynach muzycznych. Tyle biografii z krótkiej historii tego niezwykłego zespołu.

Co zobaczyliśmy na estradzie w Łodzi?

Spektakl rockowy, w którym bohaterami byli: 4 sympatyczni chłopcy (dżentelmeni!) w nowych fryzurach, charakterystycznych dla „new romantic", kapitalnie grający na instrumentach i czujący estradę, na której nie tylko potrafią być, ale i grać, jak rockowi aktorzy, jak sam Sal Solo.

Sal Solo wystąpił w czarnym garniturze, oczywiście nietradycyjnego kroju, przy czym marynarkę zdjął już przy drugim utworze, może z uwagi na wysoką temperaturę tego dnia w Łodzi. Biała koszula, kamizelka, spodnie-pumpy, białe skarpetki i czarne buciki-bambosze. Strój pozornie tylko „zwyczajny" znakomicie synchronizował z łysą, jak kolano głową Sala z tyłu której miał przyklejoną (?) kitkę czarnych włosów zawiązanych na węzeł, być może były to fragmenty jego własnych włosów? Makijaż twarzy upodobnił go do naszego dobrego znajomego z TV — Fantomasa. W sumie Sal Solo był zjawiskiem, które spadło do Hali Sportowej z innej planety. Łódzka młodzież (wśród niej nie tylko nastolatki) szeroko otwierała zdumione oczy i nie mogła napatrzeć się na owo medium na estradzie w fioletowo-zielonożółtych światłach z dodatkowymi, bocznymi reflektorami o barwie sinej niebieskości.

A było na co patrzeć i czego słuchać. Każda piosenka, utwór „new romantic" zrobiona, wyreżyserowana była inaczej, choć przy użyciu podobnych środków wyrazowych, podobnym układzie tańca i układzie (baletowym) rąk. I ten głos! Fascynujący, wielki, o wspaniałym, męskim, mocnym brzmieniu w średnicy i niebotycznie wysokich dźwiękach podczas licznych, brawurowych partii falsetowych.

Głos Sala Solo zdawał się rozsadzać Halę Sportową, przebijając się przez instrumenty i całą aparaturę nagłaśniającą (całe bloki), szkoda tylko, że Solo nie pokazał wszystkich jego walorów, np. diaboliczny śmiech w jednym z utworów. Ale ta próbka wystarczyła, żeby poznać jakie ma możliwości. Nie było też słynnej gitary lustrzanej, którą zastąpiło tamburino w purpurowym kolorze i mini-syntezator na bis.

Muzyka „new romantic" urzeka bogactwem, różnorodnością, rozmachem, nareszcie coś nowego, jakże nieprzystającego do prymitywnego rocka na 3 funkcjach i jednej oktawie wokalisty. Koncert anonsowany jako „Rockowy Teatr Grozy" nie był widowiskiem pomyślanym w konstrukcji jako straszenie widzów, raczej epatowanie oryginalnością w byciu na estradzie i szokowanie wokalistą.

Ponieważ na wstępie koncertu ostrzeżono przed próbami filmowania i fotografowania, także nagrywania, nie załączam zdjęć, jedynie reprodukcję znanego plakatu „Classix Nouveaux". Szkoda, bo jakiż to wspaniały temat dla fotoreporterów.

Występ „Classix Nouveaux" poprzedziła znana łódzka formacja rockowa *„REZERWAT" z Andrzejem Adamiakiem* na czele. Utwory „Obserwator" i „Histeria" są już przebojami i bardzo podobają się nastolatkom (niżej podpisanemu również!), ale czy był to dobry pomysł łączenia „Rezerwatu" tak jeszcze „świeżego" na estradzie z tak wyrafinowanym profesjonalizmem grupy „Classix Nouveaux".

Wybierając polski zespół rockowy do tego zestawu zdecydowanie postawiłbym na *„Pro Rock" i GAYGĘ*, którzy pod wprawną batutą takiego fachowca, jakim jest Bernard Sołtysik zarejestrowali już w studio warszawskim szereg nowych utworów w stylu... „new romantic", stając się prekursorami tego nurtu w Polsce. Ponadto „PRO ROCK" ma zrobiony barwny, dynamiczny show rockowy, którym podbija naszych bliższych i dalszych sąsiadów za granicą, a ostatnio nastolatki na Śląsku. W Łodzi mimo wielokrotnego zapowiadania nie mieliśmy okazji oglądać tego programu. Skandalem jest nie zaproszenie „Pro Rocka" i Gaygi na łódzki „Maraton Rockowy", podczas gdy manager zespołu zarezerwował dwa dni na tę imprezę, przerywając trasę w województwie opolskim. Ale są to już sprawy zakulisowe, o których napiszę przy innej okazji. Ganiąc *„Estradę Łódzką"* za to „niedopatrzenie", gratuluję pomysłu zaproszenia do Łodzi „Classix Nouveaux".

Widowisko, piosenki prezentowane przez gości z Wielkiej Brytanii ogromnie podobało się łódzkiej młodzieży i kto wie, czy nie przewartościowały spojrzenia na ich ulubioną do tej pory muzykę rockową.

„New romantic" to jest to!!! Krzyczę na łamach „Odgłosów" i przekonany jestem, że nie jestem w swym zachwycie nad nową muzyką rockową osamotniony.

BOHDAN GADOMSKI

Twórczość nie jest w cenie

KRZYSZTOF DRZEWIECKI

Gdy mniej więcej rok temu, w maju 1982 roku, po dłuższej przerwie wznowiłem współpracę z „Odgłosami", rozpocząłem publikowanie kilkunastoodcinkowego cyklu poświęconego pracy i problemom jednego ze środowisk twórczych. Konkretnie — środowiska twórców piosenek. Nie widziałem w podjęciu tego tematu niczego niewłaściwego: wszak lepiej jeśli o sprawie pisze ktoś, kto ją dobrze zna i „siedzi w temacie", niż człowiek z zewnątrz, który niejednokrotnie widzi szereg rzeczy w krzywym zwierciadle. Wielu znajomych uznało moją inicjatywę za potrzebną, ale byli też tacy, którzy odsądzali mnie od czci i wiary upatrując w tym przedsięwzięciu moją chęć wyeksponowania własnej osoby.

Po pewnym czasie wspomniany cykl przerodził się w cotygodniowy felieton z zakresu muzyki i rozrywki, z czego zresztą od paru miesięcy nie zawsze się wywiązuję, bowiem moje obowiązki rzadko pozwalają mi znaleźć wolną chwilę. Dzisiaj napisałem taki wstęp dlatego, że chciałbym raz jeszcze powrócić do zagadnień podejmowanych przeze mnie przedtem zagadnień niezwykle istotnych dla twórców dzieł literackich określanych przez ZAIKS mianem „małych form" a więc i autorów tekstów piosenek.

Nie wstydzę się pisać o pieniądzach, bo w końcu w dobie powszechnej w naszym kraju dyskusji na temat wysokości zarobków byłby to — po pierwsze: luksus, po drugie: poza Toteż w zasadzie w sferze finansów pozostanę do końca tego artykułu, o czym lojalnie uprzedzam tych, których to nie zainteresuje.

Twórczość była zawsze „robieniem czegoś z niczego". Tym bardziej twórczość literacka, gdzie dominuje aspekt intelektualny, a fizyczny ograniczony jest — w momencie tworzenia — do przelania własnej imaginacji na papier. Umiejętność tworzenia, jeśli nie uważano za nadprzyrodzoną, to przynajmniej oceniano kryteriami najwyższych wartości. Zrobić „z niczego coś" — to był patent na sukces i karierę.

Mamy wiosnę 1983 roku. Nie jest dla nikogo tajemnicą, jakim zmianom uległa w ostatnich latach wartość złotówki. Równolegle z podwyżką cen i wszelkiego rodzaju świadczeń pojawiły się rekompensaty. Kilkakrotnie odgórnie regulowane były płace pracowników przedsiębiorstw państwowych i zakładów uspołecznionych; chodziło o to, by dostosować ich wysokość do aktualnej sytuacji, aby — w najgorszym razie — zapewniały minimum socjalne. Autorzy i kompozytorzy piosenek, dla których podstawowym źródłem utrzymania są tantiemy, pozostali — jeśli chodzi o ich dochody — w tym samym miejscu, co przed paroma laty. Stowarzyszenie Autorów ZAIKS płaci nam wedle tych samych stawek co — na przykład — w 1978 roku, kiedy to kostka masła kosztowała 25 złotych, a telefoniczne budzenie — symboliczną złotówkę (notabene: to ostatnie zdrożało o... 700 proc.). Jak wiadomo, tantiemy są swego rodzaju wynagrodzeniem wtórnym, jednak ich wysokość (chciałoby się powiedzieć: niskość) sprawia, że trzeba mieć bardzo dużo zarejestrowanych utworów i bardzo dużo wykonań, by z tego tytułu doczekać się jakichś przyzwoitych sum umożliwiających normalną egzystencję w dzisiejszej sytuacji ekonomicznej. W przypadku imprez estradowych — o tym pisałem, zdaje się, przed rokiem — do ZAIKS odprowadza się zaledwie 4 proc. kosztów samej imprezy, co przy podzieleniu pomiędzy twórców kilkudziesięciu utworów (tyle zazwyczaj „mieści się" w ciągu półtorej godziny) daje dosłownie grosze.

Po cóż więc w tym kontekście porównywać dochody autorów i kompozytorów z niepomiernie wyższymi zarobkami artystów estradowych? Ci ostatni wynagradzani są w oparciu o tzw. „zarządzenie 38" — przepis pochodzący z lat propagandy sukcesu; wprawdzie oficjalnie do tej pory obowiązujący, ale równocześnie wielokrotnie nowelizowany i uzupełniany. Dość powiedzieć, że zawarte w „zarządzeniu 38" stawki za występy artystyczne na estradzie traktowane są dzisiaj jako wyjściowe i istnieje możliwość podwyższania ich do 100 proc. (co z reguły się stosuje w wymiarze maksymalnym). Tak więc — nie zaglądając nikomu do kieszeni — wyliczyć można, że całkiem przeciętny artysta za swój udział w programie estradowym otrzymuje każdorazowo około półtora tysiąca złotych, a gwiazda występująca z recitalem — nawet pięć tysięcy i więcej.

Z artystami estradowymi na okazję imprez przedsiębiorstwo lub organizacja przygotowujące je spisuje umowę. Ci sami zleceniodawcy, jak również radio, telewizja, wydawnictwa i czort wie kto jeszcze, zawierają także niejednokrotnie umowy z twórcami na napisanie takich czy innych utworów, które z reguły w momencie podpisywania umowy są już gotowe i złożone. Jednak tutaj podstawę do ustalenia wysokości honorarium stanowią przestarzałe, zupełnie dziś nieaktualne przepisy sprzed ponad czterech lat. W rezultacie dochodzi do tego, że jednorazowe honorarium autora piosenki (czyli tego, który „z niczego zrobił coś") jest parokrotnie niższe od honorarium, jakie otrzymuje wykonawca za jej odśpiewanie. A przecież efekt twórczości jest wartością s t a ł ą, tymczasem wykonanie na estradzie ma charakter j e d n o r a z o w y. Ot, paradoks.

Być może niektórych czytelników zainteresuje w tym momencie wysokość stawek z tytułu twórczości, ale wkrótce do tego dojdziemy. Teraz jeszcze jedna sprawa. Wysokość stawek za literacką twórczość oryginalną przeznaczoną do wykonań scenicznych normuje załącznik nr 2 rozporządzenia Rady Ministrów nr 9 z dnia 19 stycznia 1979 roku. W przypadku piosenki, która składa się z dwóch podstawowych elementów — muzyki i tekstu — sam autor nie wystarczy, potrzebny jest jeszcze kompozytor. Do niedawna obydwaj — jeśli brać pod uwagę wysokość stawek — wynagradzani byli na podobnych zasadach. Jeszcze pół roku temu tak za tekst, jak i za muzykę do piosenki, otrzymywało się sumę nie wyższą niż dwa tysiące złotych. Ale oto „Monitor Polski" nr 29 przyniósł uchwałę Rady Ministrów nr 256 z dnia 3 grudnia 1982 roku, gdzie w paragrafie pierwszym zmienione zostały stawki za skomponowanie piosenki. Po prostu poszły w górę — zastosowano możliwość zwyżki dotychczasowych stawek do 100 proc. Cieszę się, że koledzy kompozytorzy będą więcej zarabiać, ale zastanowić się należy, dlaczego w obrębie tego samego środowiska — skupionego w Związku Polskich Autorów i Kompozytorów ZAKR — spowodowano tak rażącą dysproporcję w wynagradzaniu za twórczość artystyczną. W tej chwili autor piszący tekst piosenki pracuje za pół ceny, którą otrzyma kompozytor. A jeśli tych piosenek jest kilka, jeśli jest to — na przykład — widowisko muzyczne, różnice idą w dziesiątki tysięcy. Czyżby „mała literatura" była aż tak nie w cenie?

Parę tygodni temu byłem na spotkaniu w Muzeum Historii Miasta. Wicepremier Mieczysław Rakowski chciał zapoznać się z problemami nurtującymi łódzkie środowisko artystyczne i kulturalne. Nie da się ukryć, że zamierzałem zwrócić uwagę na tę sprawę, ale przecież skoro nowy przepis podnoszący stawki wyłącznie kompozytora, a autorów piosenek zostawiający na lodzie, jest uchwałą Rady Ministrów, to znaczy że został on — podobnie jak i wszystkie inne ustawy rządowe — głęboko przemyślany. Wicepremier Rakowski z pewnością zna sprawę i skoro nic się nie zmienia, to tak widać musi być. Toteż ugryzłem się w język i pozostałem w gronie najtańszych twórców w tym kraju. Jak jeszcze długo — najtaszych?

Listy • poglądy • opinie • polemiki

Wielki konkurs pamięci prof. J. Chałasińskiego „Łączy nas ziemia"

Organizatorami konkursu „Łączy nas ziemia", zainicjowanego przez redakcję tygodnika „Nowa Wieś" są: Zarząd Krajowy Związku Młodzieży Wiejskiej, Ministerstwa Kultury i Sztuki oraz Rolnictwa, Instytut Rozwoju Wsi i Rolnictwa PAN, Towarzystwo Przyjaciół Pamiętnikarstwa, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, redakcje „Gromady — Rolnika Polskiego", „Nowej Wsi" i „Zarzewia".

Konkurs ogłoszony został w ubiegłym roku, w 25 rocznicę powstania Związku Młodzieży Wiejskiej. Termin zakończenia konkursu został przedłużony do 30 września 1983 roku. Autorom prac nadesłanych serdecznie dziękujemy i przepraszamy, że termin ogłoszenia wyników konkursu przedłuży się do końca I kwartału 1984 roku. Wszyscy, którzy swoje prace nadesłali w pierwszym terminie, mogą je ewentualnie uzupełnić — dopisać i nadesłać aktualne zakończenie. Ale nie jest to obowiązkiem, lecz prawem uczestnika konkursu.

Wszystkich pozostałych zachęcamy do wzięcia udziału w konkursie i przypominamy pokrótce jego cel i regulaminowe zasady.

Celem konkursu jest zgromadzenie pamiętników, których suma byłaby najprawdziwszym i żywym wizerunkiem współczesnej wsi, życia i pracy, trosk i dążeń jej mieszkańców.

Piszcie o sobie i najbliższych, o rodzinie i znajomych, przyjaciołach i wrogach: szczerze, otwarcie, tak jak pamiętacie i oceniacie swe życie, pragnienia, czas swego dzieciństwa, swej młodości, dojrzewania i życia dorosłego, chwile szczególnie ważne, wbite w pamięć na zawsze.

Organizatorzy konkursu liczą, że w pracach-pamiętnikach znajdą odbicie sprawy, zdarzenia, konflikty i przeżycia związane z burzliwymi latami 1980—1983.

Udział w konkursie weźmie każdy, kto choćby krótko i prosto opisze swoje życie. Mogą to być prace różne w formie: liczące kilkadziesiąt stron i zupełnie krótkie (kilka stron), będące prostym opisem-pamiętnikiem lub pamiętnikiem z refleksjami i myślami ogólniejszymi o sobie i wsi, o pracy i działalności społecznej, o Polsce i świecie. Mogą to być pamiętniki z załączonym dziennikiem z wybranego tygodnia czy miesiąca, może to być tylko dziennik. Najważniejsze, żeby to były dokumenty — szczere, prawdziwe, bez owijania czegokolwiek w bawełnę, opisujące życie, tak jak ono wygląda.

Pamiętniki oceni powołany w porozumieniu z Radą Konsultacyjną Sąd Konkursowy, złożony z przedstawicieli organizatorów konkursu i osób zaproszonych.

Przewiduje się nagrody o łącznej wartości 285 tys. zł, w tym:

— I nagroda w wysokości 40 tys. zł;
— dwie II nagrody po 30 tys. zł;
— trzy III nagrody po 20 tys. zł oraz
— 25 wyróżnień po 5 tys. zł.

Organizatorzy konkursu zastrzegają sobie prawo innego podziału nagród oraz prawo publikowania pamiętników z zagwarantowaniem wszystkim autorom całkowitej dyskrecji i anonimowości. Niezależnie od nagród konkursowych autorzy pamiętników drukowanych otrzymają normalne honoraria autorskie.

Prace konkursowe należy nadsyłać pod adresem: „Nowa Wieś", ul. Wiejska 17, 00-480 Warszawa lub Zarząd Krajowy ZMW, ul. Nowy Świat 18/20, 00-373 Warszawa, z dopiskiem na kopercie „Konkurs na pamiętniki" — do 30 września 1983 r.

■

Wiosenne spotkania malarzy

Plener w Ręcznie znaczenie ma bardziej społeczne niż artystyczne, co jednak wcale tego drugiego nie umniejsza.

Postaram się to wyjaśnić, ale żeby właściwy porządek zachować, zacząć powinnam od sążnistego utworu panegirycznego na cześć organizatorów, plenerowiczów i społeczności ręczyńskiej. Ponieważ jednak gatunek ten jakby nieco wyszedł z mody poprzestanę na wyliczeniu skrupulatnym pełnej listy organizatorów: Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Miasta Łodzi Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego w Piotrkowie Trybunalskim, Zarząd Okręgu w Łodzi Związku Polskich Artystów Plastyków (w tym roku jest to pełnomocnik kuratora zawieszonego związku) oraz — w tym roku powiększyło listę organizatorów — Wojewódzkie Zrzeszenie Ludowe Zespoły Sportowe w Piotrkowie Trybunalskim. Cała ta lista byłaby jednak niewiele zapewne warta, gdyby nie zapał i energia twórczyni pomysłu plenerów dla seniorów ZPAP pani Poli Bartosińskiej, która niestrudzenie już po raz ósmy na równi ze słońcem, lasem i klimatem czyni ów plener zjawiskiem dosyć niecodziennym.

Związek został zawieszony, nie stało się to jednak przeszkodą w dokonaniu tego co pożyteczne i potrzebne, skoro woli i chęci do tego nie zabrakło. Uwaga to może trochę złośliwa i nie całkiem tu może na miejscu, przepraszam więc urażonych, ale tak to właśnie widzę.

Wracając do Ręczna.

Ani pół złego słowa nie słyszałam pod niczyim adresem, kiedy gościłam tam podczas otwarcia wystawy prac z plenerów ubiegłorocznego. Chłonęłam tę niecodzienną jak na dzisiejsze czasy atmosferę, i przyznam — po równo — szukałam jej źródeł, jak i zajmowałam się kontemplacją obrazów.

Jeden z uczestników dorocznych wiosennych spotkań plastyków, pan Jan Szczerbetko z Warszawy powiedział: — Tutaj podnietą do pracy jest świadomość, że się służy wielkiej sprawie, kulturze, sztuce rodzimej. A każda praca twórcza jest składnikiem siły twórczej narodu.

Bardzo poważne to słowa. Grymaśni krytycy może by je uznali za megalomanię. Jako że obrazy powstałe w Ręcznie, jak też z inspiracji ręczyńskim krajobrazem zapewne nie będą notowane w podręcznikach historii malarstwa polskiego. Tę jednak nad tamtymi mają przewagę, że pozostaną u tam mieszkających ludzi w domach, i tych właśnie ludzi będą wprowadzać w zaczarowany świat sztuki. A będą wprowadzać dobrze, bo w sposób zrozumiały.

Tych widzów cieszy, kiedy rozpoznają na obrazie chałupę, dom, skrawek lasu, wsi i pola, kiedy odczytują kształty im znane. Może dzięki temu widzą to teraz trochę inaczej? Pełniej?

Zbiorcza Szkoła Gminna w Ręcznie dorobiła się już galerii. W sumie jest w niej chyba ze trzydzieści obrazów autorstwa, oczywiście, uczestników pleneru. W domach prywatnych też obrazy można znaleźć. Ludzie je kupują. Dyrektor szkoły nie omieszkał się plenerowiczom pochwalić, że dzieci wyróżnienia i nagrody zbierają na różnych konkursach plastycznych. Zapytany zaś, co by było, gdyby plastyków w Ręcznie miało zabraknąć, tłumaczył mi coś bardzo długo, z czego zrozumiałam jedno, że Ręczno po prostu bez pleneru obejść się już nie może.

Dlatego też innej natury powinna być ocena prac rokrocznie pokazywanych na wystawach poplenerowych. Liczy się bowiem z nich jedynie to, co dzięki nim zmieni się w małej ręczyńskiej społeczności. Na zmiany te składają się zresztą nie tylko same obrazy, ale i pobyt plastyków, ich praca niemal „na oczach" najpierw tylko zaciekawionej, teraz zaś już zainteresowanej — przede wszystkim dzieciarni — ale także i ludzi dorosłych.

Pani Pola Bartosińska wespół ze wszystkimi ją wspomagającymi instytucjami robią więc naprawdę dobrą robotę, jednak dla uczestników pleneru, jak i dla społeczności, która ów plener przyjęła do siebie.

Trzeba bowiem jeszcze dodać, że wiosenne spotkania plastyków seniorów pomyślane zostały przede wszystkim jako czas odpoczynku dla tych, którzy tego najbardziej potrzebują. Praca, rezultaty artystyczne są tu niejako „przy okazji". Kolejne lata dowiodły, że jedno drugie wspiera. Wypoczynek dzięki niewymuszonej pracy staje się pełniejszy, praca dzięki temu, że wynika z potrzeby nie zaś tylko konieczności przyniosła efekty, na które zapewne początkowo nikt specjalnie nie liczył.

K. NAMYSŁOWSKA

■

Znałem Pawła Hulkę—Laskowskiego

Żyrardów, w którym osiadłem po wysiedleniu z Łodzi, był w latach wojny znacznie ludnościowo przerzedzony. W zdewastowanym pokoiku na poddaszu, ogołoconym z mebli, z zapadniętym sufitem, przez który ciekła woda podczas deszczu, z bulgocącą i wybuchającą niespodziewanie płomieniem karbidową lampką spędziłem trzy wojenne lata. Dziś tego domu nie ma, a i ulica 1 Maja, przy której mieszkałem, zmieniła dawny wygląd. Stare budynki po prostu rozebrano.

Nie mając początkowo szerszych znajomości, intensywnie czytałem. W książkach znajdowałem rozluźniającą atmosferę, brakującą w okupacyjnym życiu. Korzystałem z biblioteki prowadzonej przez dwie miłe panie ułatwiające z życzliwym uśmiechem orientację w katalogach. Podczas którejś z medytacji nad wypożyczoną właśnie książką (lubiłem przed ostatecznym jej przyjęciem dokonywać długiego, analizującego kartkowania nastąpiło zetknięcie z Pawłem Hulką-Laskowskim, którego postać obserwującą pokaźną grupkę abonentów i obsługujące panie (jak dowiedziałem się — jego żonę i córkę) spostrzegałem niekiedy w bibliotece.

Nazwisko to nie było mi obce. Spotykałem je w tłumaczeniach dzieł literatury francuskiej, czeskiej (któż nie znał w jego przekładzie nieśmiertelnych „Przygód dobrego wojaka Szwejka"), czytałem wspomnieniowo-reportażowy „Mój Żyrardów". Pamiętam, że zacząłem rozmowę z onieśmieleniem, ale napotkałem przyjazny gest i życzliwe przyjęcie.

Paweł Hulka-Laskowski wyznał, że pamięta Łódź z lat dwudziestych. Mieszkał tam i pracował. Trud robotniczy był mu bliski ze względu na własne doświadczenia i przemyślenia. Pobyt nie trwał długo. W rozmowach o literaturze wyrażał potrzebę jej związku z realnym życiem. Nie był zwolennikiem twórczości omijającej społeczno-ekonomiczne podstawy ludzkiego bytu.

Nosił się z zamiarem utrwalenia hitlerowskich zbrodni w opracowaniu dokumentacyjnym. Zbierał materiały ilustrujące stosunek Niemców do ludności żydowskiej i polskiej, upadek kultury niemieckiej. Również i ja gromadziłem publikacje tego rodzaju, jakie tylko wpadły mi w ręce. Po wyzwoleniu Żyrardowa wróciłem do Łodzi. Pozostawione nieopatrznie w dotychczasowym mieszkaniu materiały uległy zatraceniu.

W lipcu 1944 roku znaleźliśmy się w żyrardowskim szpitalu. Codziennie, szczególnie po ostatnim obchodzie lekarskim, gdy szpital cichł, siadywaliśmy na uboczu sali milcząc lub prowadząc przytłumioną rozmowę. Pojęcie „rozmowy" wymaga tutaj uzupełniającego wyjaśnienia. Paweł Hulka-Laskowski dotknięty był poważnie rozwiniętą w końcowych latach życia głuchotą. Należało mówić powoli, z wyraźnym układaniem ust, posługiwać się pismem, które odczytywał i na które odpowiadał.

Gdy milkła krzątanina szpitalnego dnia, gdy chorzy układali się do snu i przygaszano światła, próbowaliśmy uwalniać się od okupacyjnej rzeczywistości, której trwożna niepewność pojąć można poprzez przypomnienie doświadczenia wojny.

Skarżył się na serce, bezsenność. Nie ominęła go udręka aresztowania i uwięzienia. Nie było wykluczone, iż mógł zostać ponownie uwięziony, nawet w charakterze zakładnika. Niepokoju nie wiązał wyłącznie z własną osobą. W równym stopniu przejmował się bezpieczeństwem rodziny, którą mogły dosięgnąć represje, miastem, które mogło ulec zniszczeniu w razie walk ulicznych. Dawał wyraz trosce o życie przyjaciół, m. in. Karola Irzykowskiego, od którego nie miał ostatnio wiadomości.

Miesiąc później jechałem z listem i paczką od Pawła Hulki-Laskowskiego do szpitala w Milanówku, w którym leżał ze strzaskaną nogą, ranny w Powstaniu Warszawskim Karol Irzykowski. Chodziło o ustosunkowanie się Karola Irzykowskiego do projektu przewiezienia go do Żyrardowa, gdzie mógł otrzymać intensywniejszą pomoc i opiekę. Stan zdrowia Karola Irzykowskiego nie pozwalał jednak na przystąpienie do transportu w projektowanym początkowo terminie.

Któregoś wieczoru Paweł Hulka-Laskowski zapytał, czy znam pewien wiersz, którego kilka linijek wymienił, zaznaczając, iż nie pamięta całości. Znałem. Zwrócił się wtedy, bym przepisał, co też uczyniłem. Wówczas pamiętałem więcej, dziś już nie wszystkie zwrotki i bez nazwiska autora:

Gdy się skryję w lasu cień głęboki
nie mogąc znaleźć ciszy w wielkim mieście,
w opadłych liści tajemnym szeleście
słyszę twe kroki.

Nocą, gdy troski ciężarem się kładą
na moją duszę życiem umęczoną,
widzę w ciemności do szyb przytuloną
twoją twarz bladą.

Co swoim kirem cały dom zamyka,
a czai się w każdym zaułku
zanim zadźwięczy w zardzewiałym kółku
mego budzika.

Więc wiem, że muszę śpieszyć się ogromnie,
wykończyć pracę wszystkich kołowrotków,
bym z całym życiem swym był gotów,
gdy przyjdziesz po mnie.

W tym, co przedstawiał sobą w literaturze, publicystyce, w działaniu społecznym i oświatowym otwartym w stronę humanizmu, w stronę wyzwolonej sprawiedliwej i tolerancyjnej myśli - jako syn żyrardowskiego robotnika, nigdy nie zapomniał położenia klasy, z której wyszedł. Wrażliwość na krzywdę społeczną towarzyszącą mu przez całe życie określała jego miejsce jako człowieka i pisarza.

LEONARD ZAJDEL

■

Kronika kulturalna

W PRADZE rozpoczął się XX Międzynarodowy Festiwal Telewizyjny „Złota Praga". W tegorocznym festiwalu uczestniczy 36 rozgłośni z 31 krajów. Telewizję polską reprezentują dwa filmy: **„Fantazja Dur-moll"**, wg scenariusza i w reżyserii Jerzego Kołodziejczyka, z udziałem Zofii Mrozowskiej i Jerzego Nowaka oraz oparty na muzyce Krzysztofa Pendereckiego **„Psalmus"** Krystyny i Michała Bogusławskich.

• • •

W DNIACH 5, 7 i 11 czerwca na scenie Teatru Wielkiego odbywają się przedstawienia opery **„Norma" V. Belliniego** w oryginalnej wersji językowej. Atrakcją tych spektakli będzie niewątpliwie udział w nich gwiazd operowych światowej sławy. I tak — partię Normy śpiewać będzie **Urszula Koszut**, solistka oper w Stuttgarcie, Rzymie i Londynie; partię Polliona kreować będzie **Jozsef Horvath** — solista oper w Budapeszcie i Duesseldorfie. Przedstawieniami dyrygować będzie dyrygent zachodnioniemiecki — **Gerhard Geist.**

• • •

TRWAJĄ imprezy przygotowane z okazji 25-lecia Dzielnicowego Domu Kultury na Bałutach. I tak: w ramach tej imprezy w Domu Kultury „Lutnia" trwają Konfrontacje Teatrów Amatorskich z udziałem licznych zespołów z całego kraju.

• • •

31 MAJA w Domu Przyjaźni Polsko-Radzieckiej otwarto wystawę **„Sztuka radziecka — malarstwo, grafika, rzeźba".** Wystawa obejmuje 117 prac, będących dziełem 40 artystów i stanowi interesujący przegląd współczesnej twórczości plastycznej Kraju Rad.

• • •

W KRAKOWSKIM Domu Polonii czynna jest wielka prezentująca dorobek obchodzącego w tym roku swoje trzydziestolecie działalności edytorskiej — krakowskiego Wydawnictwa Literackiego.

• • •

5 BM. w Krakowie zakończył się XX Międzynarodowy Festiwal Filmów Krótkometrażowych. Na pokazach konkursowych zaprezentowano w krakowskim kinie „Kijów" 99 filmów reprezentujących kinematografie 33 krajów.

Jury pod przewodnictwem Janusza Morgensterna postanowiło nagrodę Grand Prix „Złotego Smoka" przyznać filmowi produkcji polskiej „Kilka opowieści o człowieku" w reżyserii łodzianina Bogdana Dziworskiego. Film ten to opowieść o przezwyciężaniu kalectwa i pogodzeniu się z nim na swój sposób przez 37-letniego mężczyznę, który jako kilkunastoletni chłopiec stracił obie ręce.

Nagrodę specjalną „Złotego Smoka" jury przyznało filmowi produkcji jugosłowiańskiej „Tuzim drzavu i sina" („Oskarżam państwo i prawo"), w reżyserii Niksy Jovicevicia.

Drugą nagrodą specjalną „Złotego Smoka" jury uhonorowało film produkcji radzieckiej „Uriengoj — 203-j km" („Uriengoj — 203 km") w reżyserii A. Garibiana i O. Rakutko — film o budowie północnego odcinka gazociągu Uriengoj — Użgorod.

Jury FIPRESCI przyznało swą nagrodę filmowi jugosłowiańskiemu „Tuzim drzavu i sina" w reżyserii Niksa Jovicevicia oraz wyróżniło zestaw filmów węgierskich.

Jury CIDALC przyznało swą nagrodę filmowi egipskiemu „El Rassim" w reżyserii Medhata Kassema oraz wyróżniło film produkcji NRD „Walter Ballhause — einer von millionen" („Walter Ballhause — jeden z milionów") w reżyserii Karlheinza Munda oraz film polski „Bawiłem w Oświęcimiu" w reżyserii Józefa Gębskiego.

Jury FICC przyznało nagrodę „Don Kichota" filmowi węgierskiemu „Szavak nelku 1" („Bez show") w reżyserii Jozefa Magyara.

• • •

W SALACH Młodzieżowego Centrum Kultury „Na Fortach" w Gdańsku czynna jest wystawa prac artystów nieprofesjonalnych, składająca się z malarstwa, rzeźby, grafiki, metaloplastyki. Wystawa zmieniana jest co 6 tygodni. Mniej więcej połowa wystawianych prac to pejzaże, kwiaty i portrety. Pokazane w galerii dzieła można od razu kupić, a na miejscu udzielane są informacje dotyczące warunków wstąpienia do stowarzyszenia nieprofesjonalnych plastyków.

• • •

W LEGNICY zakończył się XV jubileuszowy ogólnopolski turniej chórów „Legnica cantat".

Główną nagrodę „Brązową lutnię", nagrodę pieniężną wojewody legnickiego oraz pianino fundacji Legnickiej Fabryki Fortepianów i Pianin zdobył **Częstochowski Chór Kameralny** pod dyrekcją **Krzysztofa Pośpiecha.** Ponadto jury obradujące pod przewodnictwem prof. **Stanisława Krukowskiego** z wrocławskiej Akademii Muzycznej przyznało 3 równorzędne nagrody ufundowane przez ministerstwa Kultury i Sztuki, Oświaty i Wychowania oraz Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki chórom: **88 drużyny harcerskiej** pod dyrekcją **Henryka Blachy** przy Państwowej Podstawowej Szkole Muzycznej I stopnia w Łodzi, **chórowi akademickiemu Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego** pod dyrekcją **Kazimierza Górskiego** i **chórowi nauczycielskiemu Stołecznego Domu Kultury Nauczyciela** pod dyrekcją **Andrzeja Banasiewicza.**

• • •

24.V. w Warszawie, w wieku 76 lat ZMARŁ OTTO AXER, wybitny plastyk, jeden z najznakomitszych polskich scenografów. Ukończył ASP w Krakowie. Do wybuchu II wojny światowej pracował jako scenograf w teatrach Lwowa i Łodzi. Podczas okupacji był wykładowcą w Szkole Rzemiosła w Warszawie. Od 1946 związany był z kierowanym przez Leona Schillera Teatrem Wojska Polskiego w Łodzi, a od 1949 aż do przejścia na emeryturę w 1973 z Teatrem Polskim w Warszawie, gdzie zrealizował swoje najwybitniejsze prace scenograficzne.

W DNIACH 9—19 czerwca trwać będą w Łodzi imprezy artystyczne pt. **„Małe formy grafiki, Polska — Łódź '83".** Organizatorami jest Biuro Wystaw Artystycznych w Łodzi i Łódzkie Towarzystwo Przyjaciół Książki. W ramach imprezy otwarte zostaną wystawy: w galerii „Chimera" — grafika i rysunek Pavela Roúcka, w Galerii Sztuki BWA — „Małe formy grafiki, Polska — Łódź '83", w Salonie Sztuki Współczesnej — grafiki Helmtruda Nystroema i w Galerii Bałuckiej — grafika Jose Hernandeza. Odbędzie się także konwersatorium „Artysta — Grafika — Kolekcjoner", a także wręczone zostaną Honorowe Medale Wystawy.

Hipotezy

Zagadkowa nauka Majów

STEFAN NIKITOW

Po kamiennej drodze spiralnie otaczającej Gwiezdną Kopułę, wolno i z dostojeństwem idą kapłani-astrologowie. Na głowach mają wysokie czapki przystrojone piórami świętego ptaka Ketcal; z ramion spływają im długie, jaskrawo barwione szaty. W ręku każdy z nich niesie niewielką plecionkę uwitą z łodyg fikusa.

Na trzecim piętrze procesja zatrzymuje się przed wąskim przejściem w kamiennej ścianie. Najważniejszy kapłan władczym gestem wyciąga rękę i dwóch strażników w milczeniu odstępuje na bok. Szesnastu astrologów wolno mija przejście i wchodzi na przestronną kolistą platformę, siada na niskiej drewnianej ławeczce otaczającej platformę. Każdy z astrologów wyjmuje z plecionki zwinięte kartki z włókien fikusa i muszli, pełne różnokolorowych kamyków. Najważniejszy kapłan wstaje i, skrzyżowawszy ręce na piersi, zaczyna mówić...

*

Kamienny ołtarz pokryty rzeźbami znaleziony w starożytnym mieście Kopan (na terytorium obecnego Hondurasu) potwierdza, że takie spotkanie najbardziej wykształconych Majów rzeczywiście miało miejsce w połowie VIII wieku. Był to swego rodzaju zjazd naukowy, w którym wzięły udział najwybitniejsze umysły. Podobne spotkania odbywały się regularnie, dyskutowano na nich problemy związane z przepowiadaniem zaćmień Słońca i Księżyca; badaniem faz Księżyca i Wenus; zaś najważniejszym problemem było ustalenie (co do minuty) początku nowego 365-dniowego roku i poprawienie błędów kalendarzowych nagromadzonych przez poprzednie 52 lata.

Te pierwsze konferencje naukowe na kontynencie amerykańskim były przejawem niezwykłej i oryginalnej kultury, która powstała około 1500 lat p.n.e. w dżunglach Hondurasu, Gwatemali i Półwyspu Jukatan. Majowie przejęli od Olmeków i znacznie udoskonalili piśmiennictwo, matematykę i astronomię obserwacyjną — nauki, na których został oparty kalendarz Majów.

Historię Majów można podzielić na trzy zasadnicze okresy: przedklasyczny (1500 r. p.n.e. — 300 r. p.n.e.), klasyczny (300 r. p.n.e. — 900 r.) i postklasyczny (900—1530 r.). Nauka Majów osiągnęła rozkwit właśnie w okresie klasycznym, kiedy to w dżunglach pobudowano miasta takie jak Tikal, Palenke, Kopan, Bonampak i inne. Potem ta wspaniała cywilizacja zaczęła chylić się ku upadkowi; z niewyjaśnionych przyczyn porzucono miasta i już przed najazdem hiszpańskim Majowie reprezentowali sobą tylko pozostałości po wielkim niegdyś narodzie.

W jaki sposób kształtowały się zadziwiające wiadomości naukowe starożytnych Majów? Większość uczonych uważa, że głównym czynnikiem warunkującym „początkową" astronomię były praktyczne potrzeby rolnictwa. Jego prymitywizm i surowe warunki naturalne postawiły Majów w całkowitej zależności od sił przyrody. Zjawiska niebieskie wydawały się ściśle powiązane z urodzajem i, co za tym idzie, z losem narodu. W ten sposób powstała wiara, że ruchy gwiazd z góry determinują życie człowieka.

Kapłanom udało się wykryć związek między stopniowym przemieszczaniem się planet a zmianą pór roku. Następnie określili długość roku zwrotnikowego i gwiezdnego oraz długość cyklu księżycowego. Najprawdopodobniej właśnie wtedy powstała konieczność stałego zapisu wyliczeń kalendarzowych, co z kolei doprowadziło do powstania pisma hieroglificznego, systemu zapisu liczb i działań arytmetycznych.

Majowie odkryli zero — pierwsi na świecie, około 1000 lat wcześniej niż ludzie Starego Świata. Oznaczyli je symbolem muszli morskiej, a liczby zapisywali przy pomocy kropek i kresek, przy czym kropki oznaczały jedynki, a kreski — piątki. Kapłani stosowali dwudziestkowy system liczenia, który najprawdopodobniej podpowiedziała im liczba palców rąk i nóg.

Właśnie na tym systemie, pozwalającym zapisywać dowolne liczby i okresy czasu, oparto słynny kalendarz Majów. Zbudowany jest on bardzo pomysłowo. Jednostkę pierwszego rzędu stanowił jeden dzień, *kin*. 20 dni stanowiło jeden miesiąc — *winał* — jednostkę drugiego rzędu. Jednostka trzeciego rzędu, w charakterze wyjątku opierała się już na podstawie wyliczeń astronomicznych (ilość dni w roku): 1 *kin* × 20 (1 *winał*) × 18 = 360 *kinów* (dni), co w przybliżeniu odpowiada 1 rokowi (*tun*). Od czwartego rzędu znowu stosuje się system dwudziestkowy:

20 *tunów* = 1 *katun* (7.200 dni),

20 *katunów* = 1 *baktun* (144.000 dni),

20 *baktunów* = 1 *piktun* (2.880.000 dni),

20 *piktunów* = 1 *kalabtun* (57.600.000 dni).

Wydawałoby się, po co prostemu rolniczemu narodowi taki skomplikowany, a przede wszystkim „długi" kalendarz?

Astronomia jednak odznaczała się jeszcze większą złożonością. Ze szczytów kamiennych piramid lub ze specjalnych budowli, takich jak „obserwatorium" Karakoł w mieście Cziczen-Ica, kapłani obserwowali gwiezdne niebo gołym okiem, albo też przez długie i wąskie szczeliny w kamiennych ścianach. Wśród ruin Waszaktuna w północnej Gwatemali zachowała się kamienna piramida, a dokładnie na wschód od niej — wysoka platforma, na której wzniesione zostały trzy świątynie. Astrolog wstępował na stopnie piramidy do takiej wysokości, aby daleka linia horyzontu pokrywała się z dachami świątyń. O każdym wschodzie astrolog widział, jak tarcza słoneczna podnosi się nad trzema dachami. W porze zrównania dnia z nocą Słońce wschodziło dokładnie nad środkiem dachu środkowej świątyni, a prócz tego znajdowało się na jednej linii ze stelą stojącą na placu przed drogą prowadzącą do tej świątyni. W dniu letniego przesilenia Słońce wschodziło nad lewą ścianą lewej świątyni, a w dniu przesilenia zimowego — nad prawą.

Na przestrzeni wieków (czy nawet tysiącleci) kapłani zapisywali ruchy planet i sporządzali swego rodzaju mapy, a następnie tablice przyszłych zaćmień Słońca i Księżyca. Długość roku słonecznego wyliczyli z wyjątkową dokładnością — 365.2420 doby, co jest tylko o 0,0002 doby mniej niż wyliczony obecnie rok zwrotnikowy i zawiera błąd wynoszący 1 dobę na 5.000 lat! Czyżby kalendarz Majów był dokładniejszy od gregoriańskiego...?

Kapłani określili także długość miesiąca synodycznego (okres między dwiema takimi samymi fazami Księżyca równy 29 dobom, 12 godzinom, 44 minutom i 3 sekundom). Zgodnie z tablicami, znalezionymi w Kopanie, trwa on 29,53020 doby, a według tablic z Palenke — 29,53086. Średnia wynosi 29,53053 i jest tylko o 0,0006 doby krótsza od przyjętej obecnie. Ale nie tylko Słońce i Księżyc stanowiły obiekt obserwacji. Niby dla rolnictwa grafik ruchu Wenus nie jest ważny, ale tym niemniej... Okres synodyczny (okres między dwoma kolejnymi nałożeniami się tej planety z Ziemią) zawiera się między 580 a 588 dobami, a Majowie wyliczyli, że jego średnia długość wynosi 584 doby. Obecnie — 583,9, tak że błąd, którego dopuścili się kapłani w ciągu około 3000 lat wynosi raptem 1 dobę. Prócz tego wiedzieli, że Mars staje się jasną północną „gwiazdą" co 780 dób i, najprawdopodobniej, to w jakiś sposób warunkuje dziwną długość ich roku religijnego — 260 dób (3 takie lata równają się synodycznemu okresowi Marsa).

Z innych obiektów niebieskich nie wiadomo dlaczego najwięcej uwagi poświęcano gwiazdozbiorom Bliźniąt i Plejad.

Jest jeszcze inna ciekawostka. Stwierdzono, że Majowie jednocześnie korzystali z dwóch systemów kalendarzowych, różniących się długością: rok długi i rok krótki, przy czym pierwszy funkcjonował w dwóch modyfikacjach: (365-dniowy *chaab* i 360-dniowy *tun*), służących do różnych celów. Życiem kierował *chaab* składający się z 18 miesięcy po 20 dni. Na jego końcu dodawano 5 dni „bezimiennych" uważanych za nieszczęśliwe. *Chaab* rozpoczynał się miesiącem *pop* (4.VII—4.VIII) i dniem oznaczonym jako „*0 pop*". Przy takim początku liczenia dni w *chaabie* rozpoczynało się nie od jedynki (pierwszy dzień miesiąca), a od zera (zerowy dzień miesiąca).

Krótki 260-dniowy rok *colkin* posiadał znaczenie rytualne i dzielił się na 13 miesięcy po 20 dni. Cechą szczególną tego roku było istnienie 13-dniowych tygodni. Dni w tygodniu oznaczane były liczbami 1—13, tak że *colkin* przedstawiał sobą swoistą kombinację 20-dniowych miesięcy i 13-dniowych tygodni.

W niektórych przypadkach korzystano z kalendarza księżycowego, w którym każdy miesiąc liczył 29 lub 30 dób. Każdy dzień miesiąca księżycowego był oznaczony odpowiednią liczbą, przy czym pierwszy liczył się jako zerowy. Dokładność była wyjątkowa. Według kapłanów 405 miesięcy księżycowych równało się 11.960 dniom, a współczesne wyliczenia tego okresu dają liczbę 11.959,1 dnia.

Liczne obrzędy i rytuały w życiu Majów w dziwny sposób wiązały się z wzajemną zależnością między *chaabem* i *colkinem*. Współcześni badacze przedstawiają tę zależność w postaci dwóch kół zębatych, z których jedno ma 365 ząbków, a drugie — 260. Ażeby przy obrocie określony ząbek koła wielkiego (*chaab*) ponownie zetknął się z odpowiednim ząbkiem koła małego (*colkin*) potrzeba ni mniej, ni więcej, tylko 52 obroty koła wielkiego i 73 obroty małego. Jeśli pomnożyć 52×365 lub 73×260, otrzymamy 18.980 dób. Ciekawe, że ten 52-letni cykl miał wielkie znaczenie nie tylko w życiu Majów, ale i w życiu Aztekow, którzy najprawdopodobniej przejęli go od Majów. Ostatnie 5 dni cyklu uważano za bardzo niebezpieczne i oba narody wierzyły, że właśnie wtedy zdarzają się żywiołowe, niezwykłe katastrofy.

Według niektórych badaczy, Majowie znali jeszcze dłuższy cykl czasowy, składający się z pięciokrotnej wielokrotności 18.980 dób, razem 94.900. Ciekawe (i nie wyjaśnione) jest to, dlaczego liczba dni chaabu pomnożona przez liczbę dni colkinu (lub odwrotnie) daje właśnie 94.900 dni!

Wreszcie zagadkowa jest i sama data początkowa w kalendarzu Majów. Sądząc z napisu na steli 9 w Waszaktunie, był to dzień oznaczony jako 13. 0.0.0.0.4 *achan* (nazwa dnia) 8 *kumchu* (nazwa miesiąca). Ten punkt początkowy jest różnie interpretowany: 3113 r.p.n.e. (Thompson), 3373 r.p.n.e. (Spinden) i 3433 r.p.n.e. (Morley). Według radzieckiego badacza, Ju. V. Knorozowa, chronologia Majów zna dwa punkty „zerowe": pierwszy — 3113 r.p.n.e. (co jest zgodne z koncepcją Thompsona), a drugi odpowiada 5041738 r.p.n.e.! Ale jakie jest znaczenie tych dat, do jakich mitologicznych lub innych wydarzeń się odnoszą — nie wie nikt...

W okresie klasycznym stosowano dość skomplikowany system zapisu (ponad 10 hieroglifów) dla oznaczenia konkretnych dat. Zaznaczano, ile *baktunów*, *katunów*, *tunów*, *winałów* i *kinów* minęło od daty początkowej do dnia zapisu. Np. „9.14.0.0.0.6. *achan*, 13 *muan*" oznacza, że od daty początkowej minęło 9 *baktunów*, 14 *katunów*, 0 *tunów*, 0 *winałów* i 0 *kinów*. Ostatnie zaś — 6. dzień (*achan*) 13-dniowego tygodnia i 13. dobę miesiąca *muan*, tzn. 4 maja 711 r.n.e.

Ta metoda datowania, nazwana przez uczonych „długim rachunkiem", stosowana była najprawdopodobniej do połowy VIII wieku. Poczynając od jego II połowy, na stelach Majów pojawia się nowy sposób datowania — „krótki rachunek". W tym rachunku data oznaczana była liczbą dni, które minęły od ostatniego okresu *katunu* (ok. 20 lat) do momentu zapisu.

Na przestrzeni wielowiekowej historii Majowie nie stworzyli wielkiego imperium i, jak zwykle, żyli w pełnej izolacji od sąsiednich plemion. Nawet ich poszczególne miasta państwa podtrzymywały między sobą słabe i przelotne więzi. W takim przypadku powstaje pytanie: jakie jest pochodzenie zadziwiającej nauki i kultury tego dziwnego narodu; jakim sposobem Majowie jako jedyni ze staroindiańskich cywilizacji potrafili stworzyć już w początkach naszej ery wysoko rozwinięte piśmiennictwo i bezprzykładny jeśli chodzi o dokładność, kalendarz; możliwe, że kapłani Majów wszystko odkryli samodzielnie albo... przejęli niektóre gotowe recepty od jeszcze starszych plemion.

Problemy te pozostają otwarte po dzień dzisiejszy. Szereg uczonych, zarówno w przeszłości, jak i obecnie wypowiada swoje przypuszczenia i wysuwa hipotezy — niekoniecznie udowodnione. U ich podstaw leży idea, że między Starym i Nowym Światem istniały kontakty, które stworzyły pewne dziedzictwo duchowej i materialnej kultury.

Piramidy stoją i w Egipcie, i w Meksyku; w obu krajach kasta kapłanów izolowała się od narodu i zazdrośnie strzegła swojej wiedzy; rytuały pogrzebowe w Meksyku bardzo przypominają ostatnie honory oddawane umarłym władcom Egiptu. Najbardziej jednak uderza zbieżność kalendarza Majów i staroegipskiego. Wszystkie starożytne kalendarze można podzielić na dwie grupy: pierwsza, gdzie godziny doby są równe i druga (najprawdopodobniej jeszcze starsza), w której godziny nie są równe, a zmieniają się w zależności od następowania dnia lub nocy. Do grupy drugiej należą jedynie kalendarze Majów i Egipcjan, we wszystkich pozostałych godziny są równe, z wyjątkiem kalendarza późniejszego, japońskiego. Początkowo oba kalendarze miały po 360 dni. Potem, na końcu roku dodawano jeszcze 5 dni, które zarówno Egipcjanie, jak i Majowie uważali za „nieszczęśliwe".

Ta zbieżność i niesłychana dokładność kalendarza Majów i Egipcjan stwarza wrażenie, że kapłani z obu krajów posiadali pewne gotowe „recepty". Niestety, do tej pory nie istnieją żadne historyczne ani archeologiczne dane, na podstawie których można by wydać jakiś sąd o mechanizmie poznania naukowego tych dwóch narodów rozdzielonych odległością tysięcy kilometrów i ponad 2000 lat w czasie. Współcześni badacze wyliczyli, że dla otrzymania danych astronomicznych potrzebnych dla zestawienia np. kalendarza Majów, kapłani musieli obserwować i zapisywać ruchy planet przez ok. 10.000 lat! W takim przypadku mimo woli powstaje myśl: czy przypadkiem ogólnym pierwoźródłem nie była zagadkowa Atlantyda?

A jeśli w przyszłości zostanie znaleziony pewny dowód istnienia tego legendarnego kontynentu i wysokiego poziomu jego nauki i kultury, to czy nie okaże się, że nasz gregoriański kalendarz, który jest udoskonalonym wariantem kalendarza staroegipskiego, też pochodzi z Atlantydy!

Tłum: E. M.

Technika Młodzieży, nr 5/82

Kosmostworki Andrzeja Biedrzyckiego

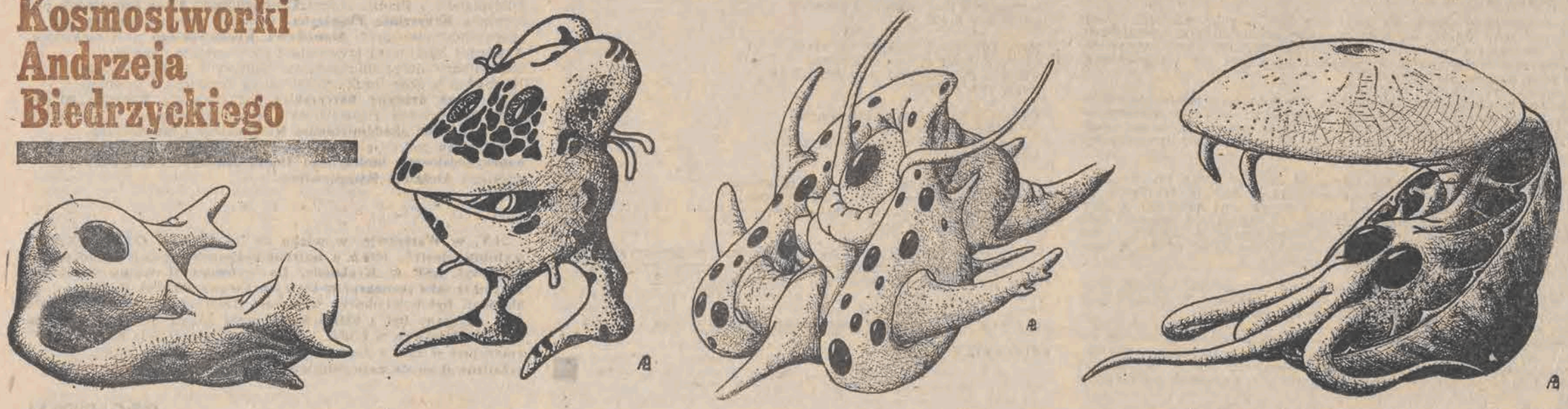

W kręgu fantastyki

Nieśmiertelni

Słońce dawno już zaszło, ognista kula kryła się za horyzontem, zostawiając w stygnącym powietrzu fale energii. Dla mnie było to oczywiście za mało. Leciałem już ponad sześć godzin i zapas energii w moich akumulatorach był minimalny. Pojawiły się nieprzyjemne kłucia poniżej piersi w bloku „S' — człowiek nazwałby je „bólami głodowymi w żołądku".

Z wysokości uważnie lustrowałem przestrzeń morską i zauważyłem statek pasażerski z podwodnymi skrzydłami. Płynął w kierunku mojego lotu, sunął po ciemnych falach niczym biała czajka.

Dogoniłem go bez trudu, niezauważalnie opuściłem się na górny pokład i wszedłem na rufę, przekształconą w parkiet taneczny. Jak przez żywe fale przeszedłem przez tłum elegancko ubranych ludzi, ominąłem tańczące pary i po trapie pokrytym chodnikiem zszedłem na niższy pokład. Stąd schodki prowadziły do maszynowni. I już mój zapas energii uzupełnił się od generatorów. Przyjemne ciepło, dziarskość rozlały się po całym ciele, wskaźnik gotowości doszedł do normy. Z lekka dotykając wytartych do oślepiającego blasku poręczy, wbiegłem na górny pokład. Na spotkanie spieszył, uśmiechając się szeroko opalony, wysoki mężczyzna koło pięćdziesiątki.

— Dobry wieczór sąsiedzie — zawołał zadowolony.

Przez kilka sekund szukałem jego twarzy w pomocniczym rejestrze pamięci, lecz on już zrozumiał, że się pomylił i zaczął przepraszać.

— Nic nie szkodzi, cieszę się, że pana poznałem — zapewniłem go stereotypowym zwrotem z „Podręcznika postępowania Androidów".

Przyjął moje słowa poważnie i zaproponował:

— A więc poznajmy się — wyciągnął do mnie rękę — Maksym. Gra pan w szachy?

Mogłem uwolnić się od niego innym typowym zwrotem z tegoż podręcznika, lecz tyle życzliwości i chęci zagrania w szachy dźwięczało w głosie Maksyma, że, aby sprawić mu zadowolenie, zdecydowałem się poświęcić godzinkę.

Idąc w ślad za Maksymem, dostrzegałem skierowane na mnie ciekawskie spojrzenia kobiet. Cóż, dzięki twórcom otrzymałem atrakcyjny wygląd zewnętrzny, co powinno według nich ułatwić mi kontakty z ludźmi.

Przeszliśmy przez pokład do sali szachowej. Rozstawiając figury myślałem jakby niezauważalnie dać mu fory. W ósmym ruchu podstawię mu pod bicie gońca. Maksym nie omieszkał wykorzystać mojej „nieuwagi". Chwilę później dałem mu możliwość dojścia pionkiem na prawe skrzydło.

Wydawało mi się, że wszystko idzie po mojej myśli, gdy nagle spotkałem jego zdumione, ironiczne spojrzenie.

— Poddaje się pan? Dlaczego?

Zażartował? Odgadł przypadkiem czy domyślił się kim jestem? Wyszło na to, że go nie doceniłem.

— Co też pan? — machnąłem ręką, lecz on tylko pokręcił głową.

— Nie jestem nowicjuszem. Gramy w zupełnie innych klasach. Mógł pan chociaż uprzedzić...

Tak ze mną często bywało; chciałem postąpić delikatnie i znowu obraziłem...

— Widzi pan... — zacząłem, lecz jego oczy zmniejszyły się nagle i jak gdyby stężały.

— Czy pan jest androidem? — spytał szybko.

Skinąłem głową.

— Że też od razu się nie domyśliłem...

— A co jest we mnie takiego... szczególnego?

Nie zdążył zgasić uśmiechu.

— Nic szczególnego. Drobne detale.

Nie wierząc, uporczywie się w niego wpatrywałem. Odwrócił wzrok do iluminatora gdzie na ciemnych falach zapalały się i gasły świetlne refleksy. Jego oczy były przymrużone, jak gdyby czegoś tam wypatrywał i kiedy w końcu spojrzał na mnie, oczy pozostały przymrużone. Domyśliłem się, że chciał mi zadać jakieś ważne pytanie.

— Powiedziałem panu prawdę. Śledziłem uważnie wszystkie dyskusje w prasie, jeszcze przed... No, jednym słowem, kiedy o was zaczęli myśleć i rozstrzygać problem stworzenia takiej istoty... I jedna myśl siedziała we mnie jak drzazga... A potem, kiedy już was zaczęli tworzyć, kiedy pojawił się pierwszy robot Syn, drugi — Ant, trzeci — Jurij — widzi pan, pamiętam imiona wszystkich — marzyłem, żeby spotkać kogoś z was i zadać pytanie... I w sumie, w końcu... Nie chce się wierzyć...

Ręka jego wyciągnęła się do pionka i zamarła. Szeroka, silna, nieruchoma dłoń, tylko palce ciut ciut drżały głaszcząc figurę.

„O co chce zapytać? — myślałem. — Najpewniej zada jedno z tych zwykłych pytań, na przykład: Czy pan to może? Czy pan może tamto? Czy prawda jest, że jest pan nieśmiertelny? To pytanie szczególnie interesuje ludzi z zupełnie zrozumiałych przyczyn. Jak się panu żyje wśród ludzi? Jedne pytania, żeby coś tam wyjaśnić, zaspokoić ciekawość. Drugie, żeby potem wspominać: Oto co mi raz powiedział android. Trzecie, żeby zagłuszyć strach — czy niebezpieczne są te mocarne istoty? Są jeszcze inne pytania zadawane po to żeby zmiękczyć, zagłuszyć myśl o własnej niedoskonałości... Oczywiście mógłbym łatwo zajrzeć do jego umysłu przeczytać jego myśli, lecz to oznaczałoby naruszenie zakazu: „bez ważnej przyczyny nie wnikać w intymne tajemnice człowieka".

— Tak, to o co chciał pan zapytać?

Jego ciemne, niewielkie oczy dosłownie wwiercały się we mnie.

— Proszę, niech pan się tylko nie obrazi, dobrze? Widzi pan, z zawodu jestem nauczycielem, a dzieci — to taki ciekawski naród.. W dyskusjach z nimi zamyślasz się nad tym, nad czym wcześniej nie zamyślałeś się — ciepły, dobry uśmiech na moment przeobraził jego twarz i zrozumiałem, że pomyliłem się podejrzewając go o antypatię, czy też obojętność do dzieci. — Czytałem o różnych waszych doskonałościach. Tu wszystko jest w porządku, przecież my wymyśliliśmy was, próbując jak gdyby uzupełnić wszystko, czym nas obdarzyła natura. Ale przechytrzyć lub poprawić naturę jest niezwykle trudno. To, co zdawało się być zupełnie pewne, może okazać się zupełnie inne.

— Mamy mało czasu — zdecydowałem się napomknąć.

— Tak, tak, przepraszam. Chcę pana zapytać...

Poruszył się i nagle skulił, dosłownie zrobił się mniejszy. I mówił tak cicho i otwarcie, jakby zwracał się nie do mnie, a do siebie samego:

— W zasadzie nieśmiertelność i wszechmoc — dobrze. Ale czy naprawdę dobrze być nieśmiertelnym i wszechmocnym? Czy podoba się panu pańskie niekończące się życie?

Obawiając się, że go źle zrozumiałem, szybko dodał:

— Życie człowieka jest krótkie i dlatego niepowtarzalne. To każe cenić każdą chwilę miłości, smutku, radości. Czasem sobie myślę: Czy zdążę na nowo wychować Piętkę? Czy Sergiusz ukończy Instytut? Czy dokończę rozpoczętą pracę? Ja zawsze się spieszę, rozumie pan? Wyraźniej odczuwam radość i ból. Nigdy się nie nudzę, rozumie pan?

Skinąłem głową i cóż? Zwykłe pytania z kategorii tak zwanych „filozoficznych".

— Zrozumiałem pana. Pan chce wiedzieć, czy nie nudzę się, czy nie ciężko być nieśmiertelnym, czy w nieśmiertelności jest nie tylko sens, ale i przyjemność?

Szyja jego wyciągnęła się, grdyka poruszyła, na smagłych policzkach pojawił się rumieniec. Moje kontrpytanie trafiło w sam środek.

— Nie, nie nudno, nie uciążliwie. Przecież czas życia zależy od celu życia...

Maksym zmarszczył czoło, wspominał to, co kiedyś przeczytał, czy też usłyszał.

— W tym wypadku wszystko odbywa się zupełnie łatwo i jednoznacznie. Natura stworzyła człowieka do tychże „celów" co i inne zwierzęta: do walki o istnienie w warunkach ograniczonej przestrzeni jednej planety. Na tej drodze w procesie ewolucji powinny pojawić się i wykształcić najbardziej doskonałe warianty systemów informacyjnych — żywych organizmów. Stąd i krótki okres życia, ratujący planetę od przeludnienia zestarzałymi formami, konieczny jest do szybkiej selekcji wariantów. Ale pan wie to wszystko lepiej ode mnie — zdecydowałem się przypochlebić mu — i nie ma potrzeby mówić o tym szczegółowo. A mnie i innych androidów wy, ludzie, tworzyliście do zupełnie innego celu — poznania i udoskonalenia otaczającego was świata. Świat ten jest ogromny, zróżnicowany, złożony i żeby szybko go poznać potrzebny jest inny organizm i inny okres czasu. A poznawanie i twórczość jak wiemy nigdy nie mogą się znudzić...

Spotkałem jego kłujące spojrzenie spode łba i zrobiło mi się wstyd. Tak tak, powiedziałem zupełnie co innego niż on potrzebował. Ta moja przeklęta prostolinijność jest wcale nieprzydatna w rozmowach z ludźmi. Przecież on pytał nie tylko dlatego, żeby otrzymać informację. Zarówno jego, jak i innych ludzi przeraża krótkotrwałość życia, on musi cały czas, jakby to uzasadniać, uspokajać siebie. Do mnie też zwrócił się po POCIESZENIE. A ja, stworzony przez takie istoty jak on, będący uosobieniem ich marzenia o wszechmocy i nieśmiertelności, zobowiązany byłem je wymyślić...

— Jednakże — mruknąłem — mam i ja męczące minuty, godziny.

I znów, jak się okazało, nie doceniłem Maksyma. Ciepło się uśmiechnął, tak jak wtedy, gdy mówił o dzieciach.

— Dziękuję. Pan dał mi wystarczającą odpowiedź, chociaż — nie powstrzymał się od złośliwości — są na świecie rzeczy ważniejsze niż nieśmiertelność..

To dziwne zdanie utkwiło mi w pamięci, chociaż mówiłem mu jak ma żyć, pamiętając o bliskiej śmierci. I przecież to on, nauczyciel, powinien pocieszać innych, wyjaśniać, wpajać wiarę. Czy ja mógłbym tak?

Silny wstrząs o mało nie zwalił nas z nóg. Ledwo zdążyłem pochwycić i podtrzymać Maksyma. Figury szachowe rozsypały się z drobnym stukiem po podłodze, która nagle się przechyliła. Rozległ się zgrzyt metalu, trzask plastyku i wszystko to usłyszałem zanim włączyła się syrena alarmowa. Z głośników rozległ się uspokajający głos: „Statek wpadł na porzuconą łódź żaglową, nurkowie już zaczęli reperować wyrwę, prosimy pasażerów o spokój", lecz po zmieniającym się nierównym szumie silników, po lekkim świście pomp zrozumiałem, że awaria była poważniejsza niż podawał komunikat.

Sadzając Maksyma w fotelu powiedziałem: „Przepraszam pana" i pobiegłem na pokład. Drogę zagrodził mi człowiek w mundurze.

— Pomogę nurkom.

Pokręcił głową.

— Statek tonie. Niech pan zejdzie do szalup ratowniczych.

Przez głośnik zaczęto nadawać komunikat dla pasażerów: „Prosimy się nie denerwować, wziąć najważniejsze rzeczy i przechodzić na lewą burtę do szalup".

Okazało się, że najgorsze jeszcze przed nami. Część szalup zmyło i poniosło z falami, zaś pozostałe nie mogły pomieścić wszystkich pasażerów. A statki ratownicze i helikoptery mogły przylecieć dopiero za półtorej godziny. Temperatura wody za burtą raptem 6 stopni.

Pierwsze, oczywiście, zeszły do szalup kobiety i starcy. Niektórzy pasażerowie pomagali marynarzom. Tam znowu spotkałem się z Maksymem. Przekazywał stojącemu w szalupie marynarzowi dziewczynkę, którą spotkaliśmy w salonie szachowym.

— Teraz pan — powiedział marynarz i wyciągnął do niego rękę.

Maksym obejrzał się, zauważył mnie i krzyknął:

— Niech pan tu idzie do szalupy!

Zaprzeczyłem podniesioną ręką, wzrokiem pokazałem na niebo. Zrozumiał mnie.

— Szybciej, to ostatnia szalupa — popędzał go marynarz.

„I ostatnie miejsce" — myślałem patrząc na przepełniony statek, kolebiący się na wodzie. Trzymając się ręką za poręcz trapu, Maksym stanął nogą na burcie szalupy, ale w tym momencie zauważył jeszcze jednego człowieka z trudem wdrapującego się na pokład, sędziwego, chudego starca o ziemistej cerze. Powłóczył jedną nogą. Chwytając się poręczy z trudem podciągał się. Było widać, że w najlepszym wypadku miał przed sobą kilka miesięcy życia. Maksym rzucił się do starca, prowadził go, prawie niósł do trapu. Zakłopotany marynarz patrzył na nich, ale już jakiś mężczyzna stanął na burcie, pochwycił starca i pomógł mu zejść do szalupy. Wtedy i Maksym zrozumiał: w szalupie nie było już dla niego miejsca. Dobrze widziałem strach na jego twarzy. Ale, ku mojemu zdziwieniu, szybko przemógł strach, wyciągnął z kieszeni zawiniątko, rzucił marynarzowi:

— Przekażcie na adres, tam jest napisane.

— A pan?

— O mnie proszę się nie bać. Byłem rekordzistą w pływaniu jako długodystansowiec. — I żeby przerwać bezsensowną rozmowę i męczące wątpliwości, z całej siły odepchnął szalupę, a kiedy trochę odpłynęła, rzucił się do wody. Już po pierwszych ruchach rąk zgadłem, że ledwo co potrafił się utrzymać na wodzie. W ten sposób najbardziej doświadczony pływak długo nie wytrzymałby w takim chłodzie.

W pewnym momencie liniowiec przechylił się na bok. Słychać było głośny świst, wycie, bulgotanie — to woda wdarła się do wnętrza, wypychając powietrze...

Ledwie zdążyłem wzbić się, wyrwałem Maksyma z leja i pionowo wzleciałem w górę. Nisko płynące obłoki okryły nas mokrą zasłoną. Czułem jak w moich rękach drżał.

— Niech pan wytrzyma, zaraz się pan rozgrzeje — powiedziałem do niego, przełączając drugi lewy akumulator na podgrzewanie.

— Dziękuję — wyszeptał patrząc w dół, starając się zobaczyć morze i łodzie. — Żeby chociaż zdążyli.

— Zdążą, są blisko — uspokoiłem go — moje lokalizatory już wykryły szum śmigłowców.

Lecąc im na spotkanie, myślałem o Maksymie. Naprawdę, najbardziej zdumiało mnie, że on prawie nie namyślał się oddając staruszkowi swoje miejsce w szalupie. I zagadką dla mnie było nie tylko to, że on przemógł strach przed śmiercią, najważniejszy instynkt wszystkich istot żywych, że nie wahając się poświęcił swoje krótkie, bezcenne i niepowtarzalne życie dla obcego staruszka. Czy ja, nieśmiertelny, mógłbym również tak postąpić? — Nie rozumiałem, po co on to zrobił?

Przecież z punktu widzenia logiki takie zachowanie jest całkowicie niezrozumiałe. Staruszkowi pozostawało mało co życia, a Maksym to zdrowy mężczyzna w pełni sił. Co go do tego popchnęło? Wysiłałem swoją pamięć, starając się znaleźć w niej zapis podobnych zachowań ludzi, o których kiedyś tam czytałem czy słyszałem. Analizowałem je, przeprowadzałem szczegółowy rozbiór i... nie znalazłem przekonującego wyjaśnienia.

W końcu nie wytrzymałem i zapytałem:

— Dlaczego pan tak postąpił? Pan wiedział, że mogę pana uratować?

W odpowiedzi usłyszałem dziwne dźwięki, podobne do kaszlu. Maksym jeszcze nie rozgrzał się, trudno mu było się śmiać.

Nagle olśniło mnie rozwiązanie. Szybko powiedziałem:

— Starzec podobny był do pana rodziców?

— Jak wszyscy starcy.

Wydawało mi się, że w końcu zrozumiałem przyczynę.

— Pan, jakby to powiedzieć, oddawał mu część długu synowskiego, żeby inne dzieci postąpiły tak kiedyś w stosunku do pana.

Przestał się śmiać, zamyślił się. Wydawało mi się, że wyliczyłem już wszystkie możliwości takiego zachowania. Tak, w nim było coś z wyższej logiki, którą ja zaczynałem dopiero dostrzegać. Lecz on znowu cicho i szczęśliwie śmiał się, rozjątrzając moje wątpliwości, a potem powiedział.

— Niczym nie mogę się panu odwdzięczyć, chyba, że dam panu sensowną radę...

— Słucham pana — powiedziałem niecierpliwie.

— Niech pan nie próbuje oceniać postępowania ludzi tylko z punktu widzenia logiki.

Dziwne zdanie. Bezwiednie wspomniałem słowa wypowiedziane też przez niego: „Są na świecie rzeczy ważniejsze niż nieśmiertelność".

Przebiliśmy się przez obłoki i nad nami zapaliły się gwiazdy. Maksym przekręcił głowę, w świetle gwiazd jego oczy wydały mi się większe. Ciekawie popatrzył na mnie i współczująco spytał:

— Zmęczył się pan?

— Trochę — odpowiedziałem. Wstyd mi było powiedzieć mu prawdę. Przecież wyraz mojej twarzy, który on wziął za zmęczenie, był odbiciem innego uczucia. A nazywa się ono — zazdrość.

IGOR ROSOCHOWATSKI

Tłum: ALICJA MURYNOWICZ

Kronika

W dniach 28—29 maja 1983 r. odbył się w Bydgoszczy mały konwent klubów SF — MASKON 83, którego organizatorami były Oddział Polskiego Stowarzyszenia Miłośników Fantastyki w Bydgoszczy oraz Studencki Klub Pracy Twórczej „Beanus 70". Impreza planowana pierwotnie jako seminarium literackie przerodziła się w ostatniej chwili w ogólnopolskie forum fanów, dając okazję nie tylko do nawiązania kontaktów i wymiany doświadczeń między delegacjami poszczególnych klubów, ale i spotkań z ludźmi profesjonalnie związanymi z fantastyką. Gośćmi MASKON-u byli bowiem pisarze (Gabriela Górska, Andrzej Krzepkowski, Wiktor Żwikiewicz), krytycy (Maciej Parowski), i wydawcy (miesięcznik „Fantastyka", „Nasza Księgarnia", Krajowa Agencja Wydawnicza). Organizatorzy przygotowali też szereg imprez towarzyszących głównemu nurtowi małego konwentu, jak oryginalne prelekcje wyzwalające długie i burzliwe dyskusje, „koncerty" muzyki elektronicznej, giełda książek SF, czy wreszcie pokazy filmów „E.T.", „Conan" i „Saturn — 3".

Rozstrzygnięty został konkurs plastyczny dla dzieci zorganizowany przez Polskie Stowarzyszenie Miłośników Fantastyki. Konkurs posiadał zasięg ogólnopolski, a przedstawić miał dziecięce marzenia dotyczące fantastycznych i baśniowych światów, podróży kosmicznych, przyszłości. Olbrzymią niespodziankę sprawiły dzieci z Łodzi, które zdobyły aż 4 główne nagrody i 3 wyróżnienia! Oto lista nagrodzonych dzieci: w grupie B (od 7 do 9 lat) II nagroda — Żaneta Olejnik (l. 9), wyróżnienie — Małgorzata Broniecka (8 l.), w grupie C (pow. 10 lat) I nagroda — Monika Kędzia (14 l.), II nagroda — Agnieszka Turała (14 l.), III nagroda — Ewa Smoleń (10 l.), wyróżnienia — Grzegorz Budzisz (10 l.), Anna Henrykowska (13 l.). Wszystkie dzieci wykonały prace w kole plastycznym łódzkiego Domu Kultury pod kierunkiem Wiesławy Kłos.

W Warszawie odbyło się spotkanie z redakcją miesięcznika „Fantastyka", które miało na celu zaznajomienie czytelników z celami i planami wydawniczymi pisma oraz poznanie gustu odbiorców. Szczególne zainteresowanie uczestników spotkania wzbudziły informacje o uruchomieniu zeszytowego dodatku do pisma, w którym publikowano by utwory klasyczne, na początek — „Księżniczkę na Marsie" Burroughsa i „Nowy, wspaniały świat" Huxleya oraz druku posterów i kalendarzy SF. W spotkaniu uczestniczył sekretarz generalny Polskiego Stowarzyszenia Miłośników Fantastyki — Maciej Makowski

Notowania giełdowe maj 83

Majowa giełda SFAN CLUBU obrodziła przede wszystkim kupującymi. Nie przesadzę chyba mówiąc, że sala była wypełniona do ostatniego miejsca. Dwadzieścia cztery osoby wystawiły 177 książek, z których 109 sprzedano za łączną kwotę 17.120 zł. Cena statystycznej książki tym razem nieco spadła, do 157 zł w porównaniu ze 161 zł w kwietniu.

Niewątpliwie najciekawszą pozycją wystawianą na giełdzie była „The Encyclopedia of SCIENCE FICTION" P. Nichollsa. Niestety, właściciel życzył sobie za nią 12.000 zł (dwanaście tysięcy złotych) i — jak się łatwo domyślić — książka nie znalazła nabywcy.

A oto nasi liderzy:

1. R. Bradbury „KRONIKI MARSJAŃSKIE" — 800 zł
2. J. G. Ballard „OGRÓD CZASU" — 520 zł
3. G. Lucas — „WOJNY GWIAZD" — 500 zł
4. P. Pelot — „TRANZYT" — 460 zł
5. antologia „KRYSZTAŁOWY SZEŚCIAN WENUS" — 400 zł
6. K. Boruń „ANTYŚWIAT" — 350 zł
7. B. W. Aldiss „CIEPLARNIA" — 320 zł
8. P. K. Dick „SŁONECZNA LOTERIA" — 320 zł
9. C. Rasch „ŁOWCY ASTEROIDÓW" — 290 zł
10. M. Oramus „SENNI ZWYCIĘZCY" — 280 zł
11. S. Lem „WIZJA LOKALNA" — 270 zł
12. E. Van Vogt „WYPRAWA DO GWIAZD" — 270 zł
13. A. S. Abramow „WSZYSTKO DOZWOLONE" — 260 zł
14. H. P. Lovecraft „WEIRD FICTION" — 260 zł
15. A. B. Strugaccy „MILIARD LAT PRZED KOŃCEM ŚWIATA" — 250 zł

i jeszcze 8 tytułów uzyskało ceny w granicach 200—240 zł.

M. D.

Świat – nurty – idee...

Żydzi – antysemityzm i nacjonalizm

EDMUND LEWANDOWSKI

Judaizm był i jest ekskluzywną religią Żydów, chociaż znaczną część ich tradycji przyjęto w chrześcijaństwie i islamie. Tylko jeden przypadek zna historia, że religia ta stała się panującą u obcego ludu. Miało to miejsce w państwie Chazarów — założonym przez przybyły z Azji lud turecki — istniejącym w VII—VIII wieku między morzem Kaspijskim a północnym wybrzeżem Morza Czarnego. Chazarowie przez pewien czas uzależnili od siebie państwo Ruskie, aż w 965 r. rozgromił ich Światosław i zdobył stolicę Itil przy ujściu Wołgi. Resztki Chazarów schroniły się w Chorezmie, przechodząc na islam. Poza tym w I wieku n.e. przyjęła judaizm rodzina panująca w Adiabenie — kraju leżącym nad górnym Tygrysem, na pograniczu cesarstwa rzymskiego i państwa Partów. Szczególnie gorliwi byli królowa Helena oraz jej syn Izates, który dał się nawet obrzezać. Adiabeńczycy wspierali materialnie i wojskowo powstanie żydowskie w latach 66—73; po jego upadku Tytus wziął ich jako zakładników do Rzymu.

POCZĄTKI ANTYSEMITYZMU

Całkowita likwidacja państwa izraelskiego i wygnanie jego ludności po drugiej wojnie żydowskiej 132—135 nie oznaczały końca udręki Żydów. Albowiem zachowanie ich irytowało nie tylko Rzymian. Nawet tolerancyjny Tacyt uważał, że jest to „obrzydliwy naród". Dlaczego? Otóż sami oni dystansowali się od obcych (gojów), otaczali tajemniczością, wyróżniali skomplikowanym i podejrzanym rytualizmem, głosili, że tylko ich Bóg jest prawdziwy. W całym wielonarodowym imperium byli jedynym ludem zwolnionym z obowiązku kultu cesarza i państwowych bogów. Na tym tle rodziły się uprzedzenia i nienawiść. A później zwycięskie chrześcijaństwo wciąż pamiętało o zabójcach Jezusa.

Antysemityzm był często inspirowany przez Kościół. W 653 r. sobór biskupów w Toledo nałożył na władzę królewską obowiązek prześladowania Żydów, a 41 lat później w państwie Wizygotów skonfiskowano Żydom własność i przekształcono ich w niewolników. Uchwałę antyżydowską przyjęto na IV Soborze Lateranskim w 1215 roku — nakazano im noszenie specjalnych odznak. W miastach średniowiecznych wyznaczano im osobne dzielnice lub ulice, w których mogli mieszkać. Nie wolno było Żydom nabywać i uprawiać ziemi, a często także zajmować się rzemiosłem. Pozostawał im więc siłą rzeczy handel oraz lichwa, a te zajęcia były właśnie przez Kościół wyklinane. Szczególnie przypominano zakaz Jezusa pobierania procentu lichwiarskiego. I na tej podstawie od czasu do czasu bez wyrzutów sumienia okradano Żydów. W duchu antysemickim wypowiadał się również Luter. W książce pod znaczącym tytułem „O Żydach i ich kłamstwach" pisał, że są to *„zgłodniałe krwawe psy i mordercy całego chrześcijaństwa, działający z całą premedytacją od przeszło czternastu stuleci"*.

Lepiej wiodło się Żydom w kręgu cywilizacji arabsko-muzułmańskiej. Wprawdzie także wyznaczano im (razem z chrześcijanami) odrębne dzielnice, ale jako *„posiadacze ksiąg objawionych"* mieli uprzywilejowany status płacących podatek i cieszyli się swobodą kultu. Nie mogli zaś służyć w wojsku, jeździć konno i ubierać się jak muzułmanie, co zresztą im odpowiadało. Zajmowali się głównie kupiectwem i bankowością. Zorganizowani byli we własne gminy posiadające przedstawicieli reprezentujących je wobec władz.

Okres największych prześladowań ludności żydowskiej w krajach Europy zachodniej przypada na wieki XII—XV. Niektóre miasta posiadały wówczas nawet specjalny przywilej (de non tolerandis Judaeis) zabraniający Żydom osiedlania. Okazja do pogromów stały się wyprawy krzyżowe.

W 1096 roku ciemni i fanatyczni uczestnicy krucjaty chłopskiej dopuszczali się po drodze licznych grabieży i mordów na nieszczęsnych potomkach winnych ukrzyżowania Chrystusa. W ten sposób jak gdyby spełniało się życzenie ludu jerozolimskiego sprzed ponad 10 wieków: *„Krew jego na nas i na dzieci nasze"*. Krzyżowcy byli bezlitośni, gdyż z góry mieli udzielone przez papieża Urbana II rozgrzeszenie za wszystkie grzechy. Zabijali zatem z hasłem: Deus vult (Bóg tak chce). Na terenie Niemiec masakrę tę przeżyło niewielu Żydów. A po zdobyciu Jerozolimy rycerze krzyżowi, zanim uczcili grób Zbawiciela, spalili Żydów w ich własnej synagodze oraz wymordowali kilka tysięcy Saracenów.

WYPĘDZANI Z RÓŻNYCH KRAJÓW

W latach 1348—1349 nawiedziła Europę straszliwa epidemia *„czarnej śmierci"* (dżumy), w wyniku której zmarła trzecia część mieszkańców. Niektóre tereny całkowicie opustoszały. W Niemczech, gdzie liczba ludności spadła z 17 do 9 milionów, oskarżano Żydów o zatruwanie studni i sianie zarazy, co pociągnęło za sobą wyniszczające pogromy i wygnania.

Pierwsza wypędziła w ogóle Żydów ze swego terytorium Anglia. Uczyniła to już w 1290 roku. We Francji w 1306 r. skonfiskowano im majątki, a później w 1394 roku ostatecznie wygnano. Z Niemiec musieli uchodzić w 1351 roku. Największym skupiskiem Żydów została wtedy Hiszpania. Miały tam wprawdzie miejsce wielkie rzezie w 1391 i 1411 roku, ale Żydzi pełnili odpowiedzialne stanowiska i stworzyli główny ośrodek swej kultury. Byli najbardziej wykształceni, bogaci i przedsiębiorczy. W celu zdobycia ich bogactw i umocnienia religii katolickiej w 1492 roku królowa Izabela Kastylijska nakazała grabienie i wydalenie Żydów. Emigrować musiało około pół miliona ludzi. Przyczyniło się to do obniżenia poziomu gospodarczego i kulturalnego Hiszpanii. Wygnani znaleźli schronienie i pomoc w państwie Turków Osmańskich, gdzie wkrótce zasłynęli z produkcji znakomitej amunicji. W 1496 roku wypędzono Żydów z Portugalii, dwa lata później z Nawarry, a w 1510 roku z Królestwa Neapolu. Papież Aleksander VI zaprosił część hiszpańskich Żydów, lecz kilkadziesiąt lat później zabroniono im przebywać w Państwie Kościelnym poza Rzymem i Ankoną, gdzie wydzielono specjalne getta. Następnie ciężkie czasy nastały dla Żydów w okresie kontrreformacji, trwającej od połowy XVI do końca XVII wieku.

POD OPIEKĄ POLSKI

Śledząc to pasmo prześladowań można dziwić się, jak ten naród w ogóle przetrwał. Otóż należy podkreślić, że decydującą rolę w ochronie ludności żydowskiej odegrała Polska. W Encyklopedii Amerykańskiej czytamy:

„Około roku 1550 nie było już Żydów legalnie zamieszkujących w Anglii, Francji, Holandii, Portugalii, w krajach skandynawskich i Moskwie. Ogół żydostwa z krajów chrześcijańskich skoncentrował się w Polsce, w kraju wielonarodowym, oraz w niektórych bardziej mieszanych rejonach Niemiec i Włoch".

Przy czym warto tu wyjaśnić, że w przypadku Niemiec może chodzić jedynie o Śląsk, pozostający wówczas pod kontrolą Czech.

Pierwsza fala Żydów napłynęła do Polski w 1096, druga w 1147 roku, a największa w latach 1348—1349. Przybywali więc do nas w czasie krucjat oraz *„czarnej śmierci"*, a następnie dalszych prześladowań w krajach zachodnioeuropejskich. Już w 1264 roku książę wielkopolski Bolesław Pobożny wydał statut zapewniający ochronę prawną gminie żydowskiej w Kaliszu (?). A w kolejnym wieku król Kazimierz Wielki rozszerzył postanowienia o przywilejach Żydów na cały kraj. Sam władca korzystał z fachowej pomocy ich finansistów i stał się bohaterem skandalu z powodu żydowskiej kochanki — Esterki. W owym czasie i później Żydzi mieli w Polsce dobre warunki rozwoju. W XVII wieku narodziło się głośne i symptomatyczne porzekadło:

„Polska jest rajem dla Żydów, niebem dla szlachty, czyśćcem dla mieszczan, a piekłem dla chłopów".

Toteż po unii lubelskiej Żydzi stanowili w naszym państwie blisko 5 proc. ludności (Polacy 50 proc.), a w 1791 roku aż 10 proc. W końcu XVIII wieku obejmowali oni ponad 2/3 mieszczaństwa! Również w okresie międzywojennym ludność żydowska stanowiła duży odsetek mieszkańców miast: w województwie poleskim — 49 proc., lubelskim — 43 proc., warszawskim — 35 proc., lwowskim — 33 proc., łódzkim — 32 proc., kieleckim — 30 proc., wileńskim — 29 proc. W stolicy kraju, Warszawie, Żydem był co trzeci mieszkaniec! W sumie w 1939 roku w Polsce było 3 mln 300 tys. Żydów, to jest tyle, co dziś ma całe państwo Izrael. Z tego Niemcy wymordowali 2,7 mln, w ZSRR schroniło się ok. 200 tysięcy, a Polacy z narażeniem życia uratowali przeszło 100 tysięcy. Warto o tym pamiętać, gdyż obecnie Żydzi na Zachodzie często angażują się w antypolskie kampanie i oskarżają nasz naród o tradycyjny rzekomo antysemityzm.

Nie znaczy to, że Polska w ogóle nie znała prześladowań Żydów. Już w drugiej połowie XIII wieku legat papieski, kardynał Gwidon, ze zgorszeniem reagował na fakt, że w Polsce nie są realizowane antysemickie postanowienia Soboru Laterańskiego i Żydzi uczestniczą nawet we wspólnych z Polakami ucztach i pijatykach. Pod jego naciskiem synod we Wrocławiu uchwalił konieczność izolowania Żydów w gettach i noszenie przez nich odrębnego stroju. A później w każdym stuleciu zdarzały się gdzieniegdzie ekscesy, zwykle na religijnym podłożu, które władze tłumiły oraz karały winnych. Od XIV do XX wieku powtarzały się co jakiś czas oskarżenia Żydów o profanację hostii i mordy rytualne chrześcijańskich dzieci (w celu zdobycia krwi na macę).

Mimo wszystko jednak, w porównaniu z innymi krajami Żydom w Polsce żyło się bardzo dobrze.

ADOLF HITLER O ŻYDACH

Po raz pierwszy przyznano równouprawnienie Żydom w 1787 roku w Stanach Zjednoczonych, a następnie dała im pełne prawa rewolucja francuska z 1791 roku. W ślad za obu państwami w XIX stuleciu poszła większość krajów europejskich. Wydawało się, że koszmar prześladowań skończył się na zawsze. Ale oto w wysoko rozwiniętym kraju XX wieku — Niemczech — antysemityzm stał się podstawowym elementem ideologii faszystowskiej. Adolf Hitler lubił powtarzać: *„Żyd jest fermentem rozkładającym narody"*. I głosił, że wymysłem Żydów są największe „plagi" społeczne świata, jak demokracja, chrześcijaństwo, komunizm. Świat starożytny był jego zdaniem dlatego szczęśliwy, że nie znał *„syfilisu i chrześcijaństwa"* (sic!). Ten obłąkany człowiek — ktorego poparła jednak większość narodu — mówił:

„Największym ciosem, jaki kiedykolwiek spadł na ludzkość, było chrześcijaństwo. Bolszewizm jest nieprawym dzieckiem chrześcijaństwa. Oba są wynalazkami Żydów".

Nawoływał też do stanowczej walki z *„delirium demokracji"* rujnującym cywilizację. W wyniku systematycznych eksterminacji hitlerowcy wymordowali ogółem 5 mln 100 tysięcy Żydów.

DLACZEGO NIE ZWĄTPILI W BOGA?

Logicznie rzecz biorąc, po tylu monstrualnych nieszczęściach Żydzi powinni odwrócić się od swego Boga Jahwe, porzucić wiarę w przymierze z nim i zrezygnować z życia religijnego. Wydaje się przecież, że nie może już być bardziej przekonywającego dowodu niewywiązywania się Boga z obietnicy ochrony Żydów, niż ich własny los. Dlatego musi budzić zdziwienie i skłonić do głębokiej zadumy fakt, że klęski spadające na ten naród nie tylko nie osłabiały, lecz przeciwnie, umacniały w nim wiarę. Żydzi wciąż mają przekonanie, że są narodem wybranym i w końcu przyjdzie Mesjasz, który spowoduje radykalną odmianę ich życia. Prorok Daniel przedstawił następujący obraz przyszłości:

„Więc oglądałem to w widzeniu nocnym, a oto z obłokami nieba przychodził jakby Syn człowieka i przyszedł aż do Starca Dni i przywiedziono go przed jego oblicze. I on mu dał władzę i cześć, i królestwo, i wszystkie ludy będą mu służyły, i plemiona, i języki, a moc jego jest mocą wieczną, która nie będzie mu odjęta, a królestwo jego nie będzie skażone".

Pojęcie *„Syn człowieka"* lub *„człowieczy"* oznacza w Biblii naród żydowski („lud świętych Najwyższego") bądź wybitną jednostkę historyczną — Mesjasza Zbawiciela. W długiej historii żydowskiej było wielu samozwańczych mesjaszy; ostatni bodaj wystąpił w XVII wieku (Sabatai Cwi) i chciał odzyskać od Turków Ziemię Świętą. A współcześni Żydzi nadal wyczekują z podziwu godną cierpliwością. Nie uznali bowiem za mesjasza — ukrzyżowanego około 30 r.n.e — Jezusa Nazareńskiego.

Największy być może szok przeżyli Żydzi w 70 roku, kiedy Rzymianie spalili świątynię jerozolimską, zabrali Arkę Przymierza oraz zagarnęli złoto i kosztowności pochodzące od wiernych z różnych stron świata. W dodatku Tytus i legioniści odważyli się zerwać kotarę z purpury i wkroczyć do tajemniczego Świętego Świętych, do którego prawo dostępu miał jedynie arcykapłan i to raz w roku. Oficerowie i żołnierze ciekawi byli, co naprawdę czci ten fanatyczny lud; niektórzy podejrzewali, że ośli głowę lub jakiegoś potwora. W pełnej napięcia atmosferze zerwano zasłonę.

„Oczom obecnych ukazuje się mroczny, niewielki czworobok. Tytus wchodzi. Pachnie ziemią i zbutwiałym drzewem. Mieści się tu nagi, nie ociosany głaz. Poza tym nic, ogromna, dręcząca pustka". (Lion Feuchtwanger).

Rzymianie byli rozczarowani i zakłopotani. Umocnili się pewnie w przekonaniu, że mają do czynienia z nienormalnym narodem. Ale i ta klęska nie załamała Żydów — potraktowali ją jako konieczną i zasłużoną (przepowiedzianą przez proroków). Zaczęli teraz tylko bardziej wierzyć w nagrodę po śmierci. Później, z okazji masakry swych rodaków w dobie krucjat, pewien Żyd w Moguncji zanotował:

„Co to znaczy, wobec tego, że nasze dusze wstępują nienaruszone do wiecznego świata Edenu. Błogosławiony jest ten, który dla imienia Jedynego ponosi śmierć: Tam, na wysokościach, będzie zasiadał na tronie razem ze sprawiedliwymi, którzy życie oddali dla Świętego".

Prześladowania nie odebrały Żydom nadziei na przyjście Mesjasza. Upór, z jakim trwają przy judaizmie można wytłumaczyć — zdaniem Artura Sandauera — tylko właściwym im *„poczuciem wybrańtwa, przekonaniem, że znajdują się w posiadaniu prawdy zasadniczej, której za nic nie wolno im utracić, a którą, przeciwnie, powinni się podzielić z innymi"*. Ta ich pewność i niezłomność irytowała otoczenie.

Nie ufano im, bo byli inni od wszystkich i zamknięci w swych gminach. Budzili niechęć jako należący do narodu, który odrzucił i ukrzyżował samego Zbawiciela. Z zazdrością obserwowano ich mądrość, zaradność i błyskotliwe kariery. Nie potrafiono ścierpieć tego, że są bogaci i dorabiają się na handlu i lichwiarstwie. Byli groźnymi konkurentami w gospodarce, polityce, nauce, sztuce. Dostrzegano w ich kontaktach i zabiegach przejawy działalności mafijnej. Wszystko to rodziło nienawiść i popychało do aktów dyskryminacji, gwałtu i mordu.

LEPSI OD INNYCH!

Żydzi są niewątpliwie dumni z tego, że naród ich wydał tylu genialnych ludzi. Uchodzą oni za lud wyjątkowo inteligentny i utalentowany. Ale dlaczego właśnie z ich społeczności tak dużo osób dociera na najwyższe szczyty hierarchii zawodowej. Otóż po prostu — jak sami utrzymują — w sytuacji niemal ciągłego zagrożenia i braku pewności kolejne pokolenia zmuszone były więcej pracować i pomagać sobie wzajemnie. W nieustannej walce o przetrwanie kształtował się twardy charakter narodowy. Zdobywano odpowiednie doświadczenie i filozofię życiową.

Bolesław Prus wkłada w usta Szlangbauma następujące słowa skierowane do Wokulskiego:

„U nas, panie, niby u Żydów, jak się młodzi zejdą, to oni nie zajmują się, jak u państwa, tańcami, komplementami, ubiorami, głupstwami, ale oni robią rachunki, albo oglądają uczone książki, jeden przed drugim zdaje egzamin, albo rozwiązują sobie szarady, rebusy, szachowe zadania. U nas ciągle jest zajęty rozum i dlatego Żydzi mają rozum, i dlatego, niech się pan nie obrazi, oni cały świat zawojują".

A w innym miejscu powieści doktor Szuman wyraża pewność, iż wkrótce wybuchnie nowe prześladowanie, z którego jego rodacy wyjdą *„jeszcze mędrsi, jeszcze silniejsi i jeszcze solidarniejsi..."*

Koncepcja nacjonalizmu żydowskiego nie brała pod uwagę klasowego podziału wśród społeczności żydowskiej. Nie wspomina o masach żydowskich żyjących w skrajnej nędzy, tak samo wyzyskiwanych jak i biedota innych narodów.

W XVII wieku narodziła się legenda o Żydzie — wiecznym tułaczu, który za bluźnierstwa wobec Jezusa został skazany na ciągłą wędrówkę aż do czasu powtórnego przyjścia Chrystusa.

DOKĄD ZMIERZAJĄ?

Elias Canetti twierdzi, że symbolem wyrażającym istotę narodu żydowskiego jest obraz jego wyjścia z Egiptu i obfitującej w przygody drogi przez pustynię. Jego zdaniem Żydzi widzą się razem i w wędrówce. Przyjmując to porównanie, należy spytać: dokąd zmierzają? Otóż wierzą oni, że jako lud wybrany mają do spełnienia w świecie wielką misję nawrócenia moralnego. Dlatego aktywnie włączają się do życia społecznego i kulturalnego narodów, wśród których przyszło im żyć. Przepowiednia proroka Izajasza głosi, że nadejdą dni ostateczne, kiedy wszystkie ludy będą służyły Jahwe i pobierały nauki z Jerozolimy. Wtedy to zostaną miecze przekute na lemiesze, a włócznie na sierpy i zapanuje wieczny pokój między narodami. Będzie to czas triumfu Izraela i jego panowania nad światem.

Złośliwi mówią, że dzięki swym wpływom w USA Żydzi już panują nad połową świata.

W AMERYCE

Do Ameryki dotarli Żydzi już w pierwszej połowie XVI wieku i następnie stopniowo napływali — uchodząc przed dyskryminacją w „starym" świecie. Po przyznaniu im równych praw w konstytucji, masowo emigrowali (w XIX i pierwszych dziesięcioleciach XX wieku) do Stanów Zjednoczonych. Kraj ten stał się jak gdyby ich drugą ziemią obiecaną. Szczególnie dużo Żydów przybyło tu z Rosji, Rumunii oraz ziem polskich.

IZRAEL

Jak dotąd Żydzi nie zawiedli się na Ameryce. Ale najważniejszą dla nich sprawą stał się Izrael. Państwo to powstało w nocy z 14 na 15 maja 1948 roku, na mocy uchwały Zgromadzenia Ogólnego ONZ z 29 listopada 1947 roku. Przedtem nad Palestyną sprawowała mandat od 1920 roku Wielka Brytania. Anglicy zapowiedzieli już w 1917 roku stworzenie *„żydowskiego narodowego ogniska"*, lecz faktycznie nie śpieszyli się z tym i utrudniali osiedlanie Żydom (popierane przez USA i Francję).

Hasło powrotu do Palestyny — *„Domu Jakuba, powstań a pójdziemy!"* — rzucono w końcu XIX wieku w Rosji. W odpowiedzi rozpoczął się z tych terenów ruch imigracyjny, który wkrótce przybrał szersze rozmiary, po odbytym 29 sierpnia 1897 roku w Bazylei, z inicjatywy Teodora Herzla, I Światowym Kongresie Syjonistycznym. Zarówno w czasie panowania tureckiego, jak i administracji brytyjskiej trwała nielegalna imigracja Żydów do Palestyny. W latach 1922—1940 liczba ich wzrosła z 82 tysięcy do 468 tysięcy (30 proc. ludności kraju). Coraz częściej dochodziło do starć zbrojnych między osadnikami a miejscowymi Arabami.

Od samego początku Żydzi nie potrafili ułożyć w sposób pokojowy swych stosunków z krajami arabskimi. A Izrael szybko znalazł się w stanie wojny, którą wygrał i powiększył swój obszar z przyznanych 14 tys. do 21 tys. km kw. Setki tysięcy Palestyńczyków musiało iść na wygnanie. Kolejne wojny wybuchały w 1956, 1967 i 1973 roku. Izrael odnosił w nich coraz świetniejsze zwycięstwa i stał się mocarstwem na Bliskim Wschodzie. Ale w ten sposób dość nieoczekiwanie Żydzi przekształcili się z narodu prześladowanego w prześladujący. Ambicje i brutalność Izraela zdają się nie mieć granic. Ostatnio zdumiony świat obserwował okrutną agresję i akty ludobójstwa w Libanie. Przemawiając z tej okazji w Knessecie premier Menachem Begin powiedział:

„Żołnierze izraelscy otrzymali w tej wojnie święta misję i idą do walki w imię narodu żydowskiego, najbardziej sprawiedliwego, najszlachetniejszego i największego z narodów świata".

Sukcesy Izraela są jednak za wielkie, a zastosowane metody zbyt barbarzyńskie, aby mogła to ścierpieć Nemezis, córka Nocy. Ta bogini pomsty dziejowej interweniowała zwykle i karała tych, którzy stracili umiar i przekroczyli pewne granice. A poza tym powiedziane jest, że kto mieczem wojuje, ten od miecza ginie.

1 Lewym okiem

Mokra plama

Miesięcznik „Literatura" z maja br. odnotowuje w rubryce „Książki nadesłane" 69 pozycji, z czego aż 44 to poezje. Łatwo być poetą w tym kraju. Młodzieżowa Agencja Wydawnicza nadesłała 3 książki — same poetyckie. W uroczym acz niewielkim, niespełna dwudziestotysięcznym mieście Ostrołęce wydano za jednym zamachem pięć zbiorów poetyckich, nie wydając niczego poza tym: widocznie funkcjonuje tam specjalistyczna oficyna poetów, świadcząca usługi miejscowej młodzieży. Pięciu poetów na 20 tys. mieszkańców, to w skali całego kraju powinno dać dziewięć i pół tysiąca. Do tego pięć razy tyle tych, co drukują w czasopismach, pismach powielaczowych, albo czekają niecierpliwie na druk i zasypują redakcje próbkami do oceny. I jeszcze parę tysięcy tych, co obstawiają rozliczne konkursy poetyckie. W sumie około pięćdziesięciu tysięcy ludzi piszących wiersze, a także nie więcej tych, co wiersze czytają.

Nakłady w Ostrołęce nie przekraczają (z jednym wyjątkiem) 500 egzemplarzy. To i tak dużo, kiedy się porówna, że wiersze Czesława Miłosza wydane w Ameryce **po przyznaniu nagrody Nobla** sprzedano **w 50 egzemplarzach** (podobno tak twierdzi Głos Ameryki), mimo że istnieje tam przecież paromilionowa Polonia.

Wydawanie poezji znakomicie wpływa na wykonanie planu w zakresie liczby tytułów, a także stanowi dobrą legitymację działalności kulturalnej i mecenasowania młodym talentom. Oczywiście znacznie bardziej godna poparcia i sympatii jest młodzież pisząca wiersze, niż ta co pije piwo i wywraca ławki w parkach. Myślę, że to nie są ci sami ludzie. Przy całej sympatii dla ludzi urzeczonych pięknem słowa nie mogę się jednak powstrzymać od uwagi, że być w tym kraju poetą jest nie tylko łatwo, ale o wiele za łatwo. Mówi się, że Słonimski był obsesyjnie wrogo nastawiony do mistyfikacji słownych, do mętniactwa i zwyczajnej hochsztaplerki, obliczonej na pokorę i snobizm profanów. Słonimski był złośliwy, ale przecież miał rację. To, co podaje się nam za poezję, jest tak często pustą, nadętą bufonadą, że zrażeni nią nie sięgamy także po utwory ambitne, prawdziwe — niechby, nawet i trudne. Po co mam czytać takie np wiersze (w cytowanym na początku numerze „Literatury"):

„Latać:
lecieć
lot
lecąc".

Już. To już całe dzieło. Albo (napiszę tym razem zwyczajnie, jak prozę, nie zmieniając ani literki):

„ie chłop: z baby zadowolony, bez niej nie ogolony, barzo nie utulony, alić zadowolony. Stał sie pochwalony wszystek i ie".

Takie utwory obrzydzają poezję i odwracają od niej miliony normalnych ludzi. Może trzeba by je tłumaczyć, udostępniać, wyjaśniać? Byle nie tak, jak to czynią bardzo uczeni profesorowie:

„Krytyka literacka — w sposób wielce subtelny — analizuje sytuację adekwatności tekstury i struktury, bowiem taka koherentna całość daje możliwość funkcjonalnej interpretacji obejmującej wszystkie warstwy utworu".

Jeśli ten sam krytyk pisze: „Ewolucja poezji współczesnej jest zarazem walką o demokratyzację wyobraźni, o plasowanie dialogu nadawczo-odbiorczego w egalitarnej przestrzeni komunikacyjnej..." — to po prostu mu nie wierzę. Gdzie tu demokratyzacja, jaki dialog nadawczo-odbiorczy? Cóż odpowiem — jako jedna ze stron dialogu — poecie, który obwieszcza: „...Latać lecieć lot lecąc"?

Zwolniono poezję ze wszystkich rygorów: rymu, rytmu, składni, melodii, ba! — sensu. A przecież — jeśli powie się, że każda figura w szachach może sobie chodzić jak chce — nie będzie pięknej gry w szachy. Jeśli kryształowej wodzie nie nada się formy jakiegoś naczynia — pozostanie amorficzna mokra plama. Latać lot lecąc...

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

2

TVP kontratakuje

Tegoroczna wiosna obdarowuje nas słońcem tak szczodrze, że chciałoby się raczej opisywać wybujałe trawy nad Pisią, jak Sławek Orlicki (pozdrawiam!) w tygodniku „Nad Wartą", albo wspominać podczas spacerów dawne drgnienia serca (też pozdrawiam!) i nucić najnowszy telewizyjny hit „Jesteś lekiem na całe złooo".

Telewizja więc, jakby chcąc uprzedzić ten wiosenny exodus sprzed odbiorników, zaczęła od kilku tygodni kontratak, którego nikt nie przewidział. Kiedyś, to znaczy w czasach „najlepszej tv na świecie", o tej porze zaczynał się sezon ogórkowy, czyli letnie festiwale powtórek, a ostatnio tak przywykliśmy do publicystycznej gadaniny, że przestaliśmy liczyć na cokolwiek zajmującego. Zatem ten majowy kontratak jest prawdziwym zaskoczeniem i należy go potraktować poważnie.

Pomyślała telewizja nawet o naszych sklepowych frustracjach: zamiast włóczyć się w poszukiwaniu paczki herbaty „Popularnej" możemy pomarzyć oglądając delikatesowy science-fiction pod tytułem „Kobieta za ladą". Ci co starsi, mrucząc pod nosem „komu to przeszkadzało", mogą objaśnić swoim bliskim przeznaczenie i smak nabywanych w czeskim serialu artykułów.

Czasem mignie jakiś western, a w czwartki — prawie jak dawniej — straszą nas kryminalnymi tragediami z życia dobrze sytuowanych, kapitalistycznych sfer. Wprawdzie najczęściej słyszymy o zdrowotnych i odżywczych walorach cebuli, pokrzywy czy innej rzeżuchy („zieloni" — jak stonka — zadomowili się i u nas), a zamiast finałowego meczu o Puchar Europy mogliśmy oglądać żenujące — jak nigdy dotąd — od strony techniczno-realizacyjnej transmisje z polskich etapów Wyścigu Pokoju, to nie o tych programach myślę, nadając swojemu felietonowi tytuł o kontrataku.

Kilkanaście tutułów kina telewizyjnego, jakie TvP przedstawiła w ciągu ostatniego miesiąca, każe wierzyć, że i w tym zakresie chude dni odchodzą, że jednak się kręci, że będzie warto usiąść przed małym ekranem. Choć trzeba z góry powiedzieć, iż żaden z ostatnio zaprezentowanych filmów nie wzniósł się ponad poziom telewizyjnego B-pictures. I tak debiut fabularny dokumentalisty Mirosława Gronowskiego, zatytułowany „Latawiec", niby opowieść o Ikarze, który chciałby być Dedalem i doktorem Judymem jednocześnie, rozbił się o nazbyt konwencjonalne aktorstwo, stereotypowe postacie małomiasteczkowej społeczności i publicystycznie szeleszczące dialogi. Podobnie konwencjonalną, a więc psychologicznie nie przekonującą ramą fabularną posłużyli się twórcy obrazu pod tytułem „Kołowaty", filmu niby o roussoistycznym przesłaniu z sielskim odmieńcem, który coraz to banalizuje się w naszym kinie i literaturze. Nawet taki scenariuszowy profesjonalista jak Andrzej Mularczyk nie ustrzegł się stereotypów (dajcie panowie spokój docentom z daczami i mercedesami, uczelnianym playboyom, którzy mają do czynienia z cynicznymi studentkami, bo pomysły to prawdziwie księżycowe!) w filmie Janusza Kidawy „Jest mi lekko". Jednak ten film oglądało się nie bez zainteresowania, a to przede wszystkim dzięki roli Piotra Proboszcza, aktora o autentycznej osobowości, który granym przez siebie postaciom (pamiętamy go z innych ról) potrafi nadać indywidualny, prawie charyzmatyczny ton.

Drapieżne, chciałoby się rzec, aktorstwo — przede wszystkim Janusza Gajosa w roli Józka Mikuły — daje się obronić filmowi Sylwestra Szyszki „Milioner", opowieści o chłopskiej pazerności, determinacji i sile życia. Film ten — jak mówił reżyser — poprzez ukazanie konfliktu między racją jednostki a racją zbiorowości, stara się uogólniać pewne cechy naszego narodowego charakteru. Dyskusyjne to założenie, jakkolwiek film Szyszki chcielibyśmy interpretować.

Poltelowską ofertę, którą prezentowano którejś soboty w „Studio 2", pozostawimy tym razem na boku: były to bowiem wyrwane przypadkowo z kontekstu pojedynczę odcinki seriali, jakie zobaczymy w przyszłości. To co nam pokazano, wprawdzie optymizmem nie napawa, ale na recenzenckie darcie szat przyjdzie jeszcze pora. Jeden tytuł z tamtej soboty rodzi niejakie nadzieje, a mianowicie serial Stanisława Bareja, zatytułowany „Alternatywy 4". Jak się zdaje będzie to niezła — bo wykorzystująca w scenariuszu aktualne absurdy naszej rzeczywistości — komedia, która — co dodatkowo atrakcyjne — gromadzi dziesiątki najbardziej popularnych aktorów ostatnich lat.

Gdyby jeszcze pamiętać o pięknej metaforze Bogusławskich pod tytułem „Psalmus", o godnej dawnej świetności poniedziałkowego Teatru TV angielskiej inscenizacji „Romea i Julii", a zapomnieć natomiast — i to co rychlej — o szmirowatej w każdym elemencie „Wampuce" (serwował ją bez żenady katowicki Music-Hall) i pomilczeć nad Redlińskim („Jubileusz") w reżyserii Franciszka Trzeciaka, to należałoby podnieść ręce do góry i zakrzyknąć: poddajemy się!

Proponuję jednakowoż zewrzeć szeregi i odeprzeć ten majowy kontratak. Na kapitulację zawsze mamy czas. Telewizja niechaj tymczasem się dozbraja.

GRZEGORZ GAZDA

3 Zdarzenia i zwierzenia

Poeta i trzeźwi

Po raz drugi zajmuję się pamiętnikami Jerzego Putramenta drukowanymi w „Literaturze", ponieważ wciąż nie mogę dociec motywów zgryźliwości tych memuarów. Co za upór i konsekwencja w ośmieszaniu i dyskredytowaniu swoich kolegów! Publikuje na przykład Putrament scenkę, w której Bohdan Czeszko w kairskim hotelu upija arabską służbę — siedząc swobodnie na podłodze. W najnowszym numerze „Literatury" Putrament nadal konsekwentnie „obnaża" Zbigniewa Załuskiego — opisując straszliwego kaca o godzinie 12 w południe, jakiego dostrzegł w oczach i ruchach tego — zmarłego już — pisarza.

Putrament pisze o tym z niesmakiem, wciąż eksponując własną abstynencję. To bardzo chwalebna cecha, ale... Przypomina mi się stara anegdota. Otóż w przedziale kolejowym siedzą m. in. niezbyt urodziwa pani i bardzo pijany mężczyzna. Pijany przygląda się współtowarzyszce podróży i zaczyna powtarzać z uporem: „ale pani jest brzydka, ale pani jest brzydka." Kobieta reaguje krzykiem: „a pan jest kompletnie pijany...".

Na to mężczyzna spokojnie: „To prawda, ale ja jutro wytrzeźwieję...".

Pasuje ta anegdota jak ulał do tonu memuarów Putramenta. Być może rzeczywiście Bohdana Czeszkę napadła kiedyś mania oryginalnego reklamowania polskiej wódki. Być może rzeczywiście Zbigniew Załuski pijał za wiele... Ale kiedy byli trzeźwi, dali polskiej literaturze daleko więcej niż stertę średnich powieści.

Dorobek trzeźwego Putramenta znajduje się w dość odległym stosunku do „Pokolenia" i „Trenu" Czeszki — do oryginalnej, cennej i ożywczej publicystyki Załuskiego... Więc może stąd się bierze ta schadenfreude autora „Pół wieku", kiedy widzi swych znakomitych kolegów w sytuacjach nie nadających się raczej do prezentowania w szkolnych czytankach? Znam zresztą wielu podobnych tropicieli nietrzeźwości, których jedynym powodem do chwały jest trzeźwość — niestety — nie owocująca niczym szczególnym.

Ale pisarz pozostawia po sobie dzieło i ono jest ważniejsze od ułomności i dewiacji. Jakie w końcu ma znaczenie fakt, że Stanisław Wyspiański umarł na syfilis, a gromada wybitnych pisarzy zaglądała często do kieliszka?

Władysław Broniewski w wierszu „Poeta i trzeźwi" pisze:

„I ocknąłem się rano
Twarz miałem krwią zalaną,
trzeźwi nade mną stali
bili mnie i pytali:
co za wino dostaną?"

Jak widać dostali wiersz — ale oni chcieli jeszcze, aby poeta skrojony był na ustaloną przez nich miarę.

Podobnie jak Putrament prowadzę dziennik. Gdybym posługiwał się stylem Putramenta mógłbym w pewnym miejscu napisać tak: „Na naradzie w Warszawie zabrał głos P. Szedł przez całą salę, imitując trucht i wykonując rękami ruchy, jakie wykonują dzieci bawiąc się w lokomotywę. Pewno miało to być dowcipne — było żałosne. Kiedy wreszcie wdrapał się na mównicę, pomruczał coś do mikrofonu — przerywał, zapatrzony bezmyślnie w sufit, tracił wątek, zapominał co miał powiedzieć. Próbowałem coś zanotować — okazało się to niemożliwe. Nie byłem w stanie zanotować żadnej myśli — on po prostu mówił kompletnie nic nie mówiąc. Sala słuchała z zażenowaniem...".

Powiadam — nawet gdybym posługiwał się stylem Putramenta, oszczędziłbym — publikując tę notatkę — nazwisko mówcy. Chociaż był całkowicie trzeźwy. Tylko co z tego?

JERZY WILMAŃSKI

4 Sport

Fibak skreślony

Przyszły na nasz sport lata chude. Bokserzy padli w Warnie i ktoś złośliwie nazwał ich warneńczykami, koszykarze przegrali mistrzostwa Europy, lekkoatleci też nie są w najlepszej formie, o piłkarzach mówić się nie chce. Z mistrzostwami Europy można się już pożegnać. Tylko kolarze sprawili miłą niespodziankę w Wyścigu Pokoju, choć daleko im do formy i umiejętności kolarzy z NRD, a i równie daleko do klasy ich poprzedników.

W tych chudych latach liczy się każdy, choćby najdrobniejszy sukces. Liczono, że Wojciech Fibak przyjedzie na mecz z Belgami w pucharze Davisa i dzięki temu nasza drużyna nie odpadnie z rozgrywek. Ale — jak wiadomo — Wojciech Fibak do Polski nie przyjechał i przegraliśmy z Belgami. Skończył się puchar Davisa, zaczęła się sprawa Wojciecha Fibaka.

Wojciech Fibak przestał już być zawodnikiem Olimpii Poznań. Na dobrą sprawę to on już od dawna przestał być zawodnikiem tego klubu. 25 maja 1983 roku zdecydowano jednie przerwać fikcję i zaakceptować stan faktyczny. Tylko, że powód do tego znaleziono zupełnie inny.

Wojciech Fibak od dawna grał na swoje konto. Czuł się przede wszystkim zawodowcem, Polakiem, który gra na kortach całego świata, ale ani ze sportem w Polsce, ani z Polskim Związkiem Tenisowym, ani też z macierzystym klubem nie jest związany. Jak napisał w krakowskim „Tempie" Andrzej Martynkin „przed kilku laty, podczas meczu o Puchar Davisa z Włochami w Warszawie, Fibak w ogóle nie wyszedł na prezentację. Nie było go także w czasie odgrywania hymnów. A poza tym: podczas gdy inni zawodnicy nosili na plecach napis „Polska" lub „Italia", on — „Fibak"..." Tylko, że wtedy jakoś nikt mu tego nie miał za złe. Wybaczono mistrzowi, bo stawił się w Warszawie i raczył zagrać przeciw Włochom.

Teraz liczono, że po przegranej z McCoinem w Nowym Jorku wsiądzie w samolot i wyląduje w Warszawie. Ale on się spóźnił na samolot. Tenże Andrzej Martynkin w „Tempie" twierdzi, że „od godziny 19.00 czasu nowojorskiego w środę miał Fibak... siedem połączeń do Warszawy, w której lądowałby w czwartek około południa lub niewiele później". Ale nie skorzystał z tego.

Pisałam już o tej sprawie w felietonie „Światowcy nad Wisłą", dziwiąc się nieco działaczom PZT, że upierają się przy udziale Wojciecha Fibaka w meczu z Belgami. Wszak nie było tajemnicą, że drużynę tenisową mamy słabą i z Fibakiem czy bez Fibaka mecz możemy przegrać. Trzeba się raczej wziąć za szkolenie młodzieży, zamiast czekać, aż Wojciech Fibak przyjedzie i cud nad Wisłą uczyni. Nie przyjechał. Cudu więc nie uczynił. Myślę, że gdyby przyjechał, cudu by też nie było. Sprawa dojrzała do tego, aby nazwać ją po imieniu: tenis polski jest słaby, a Wojciech Fibak dawno już przestał reprezentować polski tenis. I działacze GKS Olimpia z Poznania zrobili wreszcie to, co trzeba było zrobić dawno. Rozstali się z Wojciechem Fibakiem i usankcjonowali stan faktyczny.

Zarząd GKS Olimpia ogłosił jednak inny powód tego rozstania. Otóż Wojciech Fibak 22 lutego 1983 roku udzielił wywiadu francuskiemu pismu „Le Monde du Tennis", w którym to wywiadzie, jak to podaje ówże Andrzej Martynkin w krakowskim „Tempie", oświadczył: „nienawidzę tego, co się tam (w Polsce) dzieje. Dopóki stan wojenny będzie obowiązywał, nie wrócę do Polski, nie będę grał w tenisa w Polsce nie będę grał w „Pucharze Davisa". Powtarzam — Wojciech Fibak powiedział tak w lutym 1983 roku. Czyżby nikt w PZT o tym nie wiedział? Czyżby dowiedziano się o tym dopiero teraz, kiedy Wojciech Fibak spóźnił się na samolot i do Warszawy nie przyleciał? Po cóż były pertraktacje PZT z Wojciechem Fibakiem, skoro on już w lutym powiedział, że w pucharowych rozgrywkach udziału nie weźmie?

Czy należy podejrzewać, że gdyby do Warszawy doleciał, zagrał z Belgami, to zapomniano by o wywiadzie z lutego 1983 roku w „Le Monde du Tennis"? A teraz, skoro nie przyleciał, to Zarząd GKS Olimpia w Poznaniu 25 maja 1983 roku uznał, że „Wojciech Fibak w sposób nieprawdziwy i oszczerczy ocenił sytuację polityczną w Polsce i postanowił go wykluczyć z grona członków klubu".

W moim przekonaniu są to dwie różne sprawy. Pierwsza — przynależność Wojciecha Fibaka do jakiegokolwiek klubu i związku w Polsce, skoro fakty wskazują, że nie czuł się on ani z jakimkolwiek klubem, ani z PZT związany. I druga — ocena stosunku Wojciecha Fibaka do tego, co dzieje się w Polsce. W obu tych sprawach decyzje należało podjąć wcześniej i niezależnie od siebie. Teraz wygląda to tak: skoro on się na nas wypiął, to myśmy to formalnie uznali. Niech sobie nadal gra na własne konto. A przecież on to już robił od dawna.

BOGDA MADEJ

Redaguje zespół: **Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska Andrzej Karolczak** (sekretarz redakcji), **Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki Grażyna Olechnowicz** (z-ca sekretarza redakcji) **Igor Sikirycki** (kier działu literackiego) **Karol J. Strvjski Janusz Szymański Glanc** (grafik), **Paweł Tomaszewski, Lucjusz Włodkowski** (redaktor naczelny), **Jolanta Wrońska, Mirosław Zajdler** (fotoreporter).

Stale współpracują: **Tadeusz Błażejewski Krzysztof Drzewiecki, Grzegorz Gazda, Witold Kasperkiewicz Włodzimierz Krzemiński, Dariusz Milerski Krystyna Namysłowska, Jerzy Panasewicz, Ewa Pankiewicz, Henryk Sroczyński, Jerzy Wilmański.**

Tygodnik społeczno-kulturalny „Odgłosy" al. A. Mickiewicza 11, kod 90-438, Łódź. Telefony sekretariat i redaktor naczelny 652-44 sekretarz redakcji 680 99 publicvści 677 70 Redakcja nie zamówionych rekopisów nie zwraca zastrzega sobie również prawo do skrótów Informacji o warunkach prenumeraty udzielała oddziały RSW „Prasa-Książka Ruch" i urzędy pocztowe Cena prenumeraty rocznej 1040 zł Prenumerate ze zleceniem wysyłki za granice przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw 00 958 Warszawa ul Towarowa 28, konto NBP XV oddział w Warszawie nr 1153 201045 139 Prenumerata ta jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc dla zleceniodawców indywidualnych o 100 proc dla zleceniodawców instytucji i zakładów pracy Wydawca Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa — Książka — Ruch" Łódzkie Wydawnictwo Prasowe Adres: ul Piotrkowska 96 kod 90-103, Łódź. Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW w Łodzi, ul. Armii Czerwonej 28. Nr indeksu 36762. Zam. 1476. L-2.

Kwiaty zakazane

EUGENIUSZ IWANICKI

Ile jest prostytutek w Łodzi? Ile w kraju? Przypuszczam, że nie ma dokładnych danych, nie ma możliwości prowadzenia statystyki. Na tym obszarze marginesu społecznego istnieje wszakże, choć niewielki, podobszar prostytucji uprawianej przez osoby nieletnie.

Szacuje się, że w Łodzi zawód prostytutki uprawia niewiele ponad tysiąc kobiet. Margines stanowią nieletnie, natomiast kobiety w wieku od 19 do 25 lat są już sporą grupą, bo jest ich 67, od 26 do 30 lat już 309, a powyżej trzydziestki prostytucję uprawia aż 678. Są to kobiety, które z takich czy innych powodów trafiły do oficjalnych dokumentów. A przecież nierząd uprawia wiele kobiet w sposób ukryty, niejako „chałupniczo", nie afiszując się na ulicach czy w lokalach.

Skoro jestem przy statystyce, warto bliżej przyjrzeć się owej ponad tysięcznej rzeszy pań kupczących własnym ciałem. I tak: najbardziej ten zawód jest rozpowszechniony wśród panien — uprawia go 483 osoby, potem idą separatki — 266 osób, dalej rozwódki — 154 osoby, mężatki — 109 i na końcu wdowy — 42 osoby. Jako że Łódź jest miastem proletariackim, robotnice przeważają i jest ich aż 995, gdy pochodzeniem chłopskim legitymuje się zaledwie 40 pań, a inteligenckim 10. Gorzej jest z wykształceniem: średnie posiada zaledwie 41 osób, niepełne średnie 125, podstawowe 755, a niepełne podstawowe 136 osób.

Ponad tysięczna rzesza łódzkich prostytutek nie przedstawia monolitu także pod względem zdrowotnym: 16 z nich cierpi na zaburzenia psychiczne, 273 to nałogowe alkoholiczki, a 81 choruje na różne inne schorzenia. Natomiast nie notuje się wśród nich chorób wenerycznych, choć to przecież żadna pociecha. 304 panie z tej branży posiadają na wychowaniu dzieci.

I to byłoby chyba wszystko, jeśli chodzi o dane statystyczne. Wynika z powyższego, że nie są to liczby bezwzględne. Jest spory — któż to wie jak spory? — margines osób nie ujawnionych. A że prostytucja, jako taka, nie jest prawnie zabroniona więc jest to zawód jawny, a do tego intratny.

Niebezpieczeństwo kryje się gdzie indziej: otóż coraz więcej pojawia się dziewczyn nieletnich uprawiających ten zawód. Dziewczynki 13 — 16-letnie szturmują zakazane rewiry, i jak wynika z ich opowieści, z niezłym skutkiem. Dziś jeden raz z tubylcem kosztuje 10.000 złotych, z obcokrajowcem — 10, 15, a nawet 20 dolarów. Zależy to od standardu miejsca, w którym odbywa się owa „handlowa procedura". Najtańsze są bramy, wysypiska śmieci, klatki schodowe, ogródki działkowe, najdroższe hotele i „kwatery prywatne".

Właściwie wszystkie dziewczyny będące na „gigancie" uprawiała ten najstarszy ponoć zawód świata. Z reguły trafiają na starszych mężczyzn lub na stręczycieli. W większości są to dziewczyny z domów rozbitych, z rodzin alkoholików, choć zdarzają się panienki wychowywane przykładnie, bogobojnie i nobliwie. Życiorysy tych dziewczyn w krótkim czasie stają się bogate, czasem wręcz niezwykłe, zawsze jednak tragiczne i zmuszające do refleksji nad pedagogiką i tym wszystkim, co nazywamy „dobrym wychowaniem". I czy tylko te dzieci wymagają wychowania? Czy czasem nie należałoby zacząć nauki od ich rodziców?

ALINA

— Ile masz lat?

— 15.

— Chodzisz do szkoły?

— Skończyłam podstawówkę.

— I co dalej?

— Chciałam iść do SN.

— Ale nie poszłaś.

— Tak wyszło.

— Co to znaczy: tak wyszło?

— Zwyczajnie. Poznałam kilku kolegów, którzy nie pracowali, a mieli forsę i wesoło spędzali czas. Przystałam do nich.

— Co na to rodzice?

— Mama łatwo się denerwuje, zaraz wpada w złość, bije. Często miałam podbite oczy, a takie wyrazy jak „prostytutka, włóka, kurwa" były na porządku dziennym. Wtedy postanowiłam, że skoro i tak mi nie wierzy, właśnie taką zostanę.

— Czyli zrobiłaś to mamie na złość?

— Poznałam wtedy Annę, starszą dziewczynę która z tego żyła. Och, jak chciałam się z nią zaprzyjaźnić, jak chciałam by mnie polubiła, by się mną zaopiekowała. Widzi pan, nie jestem ładna ani atrakcyjna, więc cała moja nadzieja była w Annie. Udawałam, że jestem jej córką.

— A kiedy postanowiłaś uciec z domu?

— Zwiałam po kolejnej awanturze. Matka mnie ciągała do psychiatry, bo myślała, żem stuknięta. Jak ja jej wtedy nienawidziłam!

— Nie tęsknisz za domem?

— Rzadko. Co mnie tam czeka? Kłótnie, wyzwiska, awantury? Po co mi to.

— Wspomniałaś o Annie, prostytutce, która była dla ciebie wzorem. Czy naprawdę sądzisz, że ten zawód jest jedynym, jaki chcesz wybrać?

— Wcale tak nie myślę. Ja chcę się uczyć i zdobyć zawód. Ale tak się jakoś składa, że ciągle mi coś staje na drodze. W domu się nie przelewa, a na gigancie mam wszystko: forsę, znajomych, łatwe i przyjemne życie.

— Skąd ta forsa?

— Od dobrych ludzi.

— To znaczy?

— Ot, ktoś taki jak pan, zaprasza mnie do siebie, a najlepiej jeśli to jakiś obcokrajowiec, jakiś Arab lub Murzyn, wtedy mogę nawet kupić sobie ciuch w Pewexie.

— Nie myślisz, że źle robisz?

— Co w tym złego? Jestem kobietą.

— Jesteś dzieckiem.

— To pan jest dzieckiem, a do tego prawi pan morały jak moja matka. Życie jest jedno, a ja chcę się bawić, a nie ślęczeć nad książkami.

Po tej rozmowie, kilka tygodni później nadszedł, skierowany do opiekunki z Izby Dziecka Milicji Obywatelskiej, list od Aliny. Oto jego fragmenty, stanowiące uzupełnienie powyższej rozmowy.

„Proszę Pani, w ogóle nie mogę zrozumieć jak to jest, bo jak Pani nie pozwoliła mi wychodzić do Romka to nie przestałam Panią lubić a jak matka nie pozwoliła to miałam ochotę ją zabić. My chyba nigdy nie będziemy żyły w zgodzie. Ani trochę więcej nie lubię ją odkąd przyszłam do domu. Ona powiedziała żebym się nie łudziła, że będę w domu na drugi rok, znaczy się do września. Nawet się nie łudzę. A Pani mówiła, żebym była w domu jeśli nie będę chciała iść do internatu. Muszę to Pani pisać, choć wiem, że będzie Pani mną się brzydziła, bo jestem strasznie podła. Nie będę mogła tego Pani opowiedzieć, bo nie mam tyle odwagi, aby mówić źle o Annie do Pani. Chciałabym, żeby Pani lubiła Annę tak jak mnie, a przecież to wszystko jest przez nią i Pani musi o tym wiedzieć.

Zaczęło się całkiem zwyczajnie. Jak zwykle poszłam do Anny. Gdybym wiedziała, że będzie aż tak pijana nie poszłabym do niej, bo wtedy boję się jej najczęściej wtedy mnie bije a ja strasznie boję się bicia. Weszłam jak zwykle i z początku nawet nie zauważyłam tego gościa. Pocałowałam Annę i wpakowałam się na łóżko. On wstał z taboretu, doszedł do mnie i podał mi rękę. Anna powiedziała „to właśnie moja córka opowiadałam ci o niej". Ja nic nie mówiłam a oni oboje patrzyli na mnie. On miał chyba z pięćdziesiąt lat, był strasznie gruby i patrzył prosto w moje oczy. Nikt nic nie mówił i wreszcie zrobiło się strasznie głupio, powiedziałam „to ja chyba Anno pójdę, bo ty potrzebujesz łóżko" zeszłam z niego i usłyszałam, że Anna mówi „masz zostać" wtedy weszła Baśka, może to była intuicja, bo zaczęłam się bać, chciałam stamtąd iść. Ten człowiek zaczął się rozbierać, całkiem, nawet koszulę, schyliłam się i zaczęłam czyścić sobie buty. Nikt nie odezwał się ani słowem, podniosłam głowę a wtedy ten facet się odezwał „ona nie może". Mogłam, Anna o tym wiedziała, mówiła „wypij ćwiartkę, nawet nie poczujesz". Nie chciałam, nie tylko dlatego, że mam Panią, ale nienawidziłam tego faceta, brzydziłam się go. Anna rozpięła sobie zamek u tej sukienki w kwiatki, gdy ten gość się odezwał „za tą małą słono ci zapłacę a na ciebie się nie zgadzam". Nie wiedziałam co mam robić, Anna zaczęła coś cicho do niego mówić i wtedy zaczęłam bać się Anny, tak strasznie jak jeszcze nigdy nikogo. On położył się na plecach na łóżku a Anna powiedziała „musisz się zgodzić nawet na minetę i podziękuj mi za to". Z początku roześmiałam się strasznie fałszywie, bo przecież to było niemożliwe, żeby moja Anna mogła mówić to poważnie, ale po ich minach poznałam, że nie ma się z czego śmiać, Anna mówiła „tylko ty jemu zrobisz minetę, on jak będzie zadowolony zapłaci ci" zaczęły mi się nogi trząść. Nigdy bym w to nie wierzyła gdyby ktoś powiedział, że kiedyś usłyszę to od Anny stałam jak niemowa i Anna popychała mnie w kierunku łóżka. Ten facet chyba się podniecił, a ja nie wiedziałam co robić. Nie mogłam się schylić, przysięgam, nie mogłam. Anna zaczęła na mnie krzyczeć i wzięła do ręki gumę. Ta guma to strasznie boli, nawet Pani nie wie jak. Przestała krzyczeć wtedy gdy usłyszała jak zderzają się moje zęby, nie było mi wcale zimno a strasznie trzęsła mi się broda, nie wiem czemu słychać było te moje trzęsące się zęby i nic więcej. Wtedy właśnie uderzyła mnie w plecy, musiałam się schylić nad tym łóżkiem. Nie widziałam tego faceta miałam ochotę go zabić, bo to wszystko było przez niego a on leżał i czekał, czekał aż się schylę całkiem. Wszystko zaczęło mi podchodzić do gardła, czułam się tak jak na karuzeli, nie zdążyłam jeszcze dotknąć go ustami i zwymiotowałam prosto na niego. Przysięgam, prosto na jego ciało poniżej pępka. Myślałam że Anna mnie zabije. Zaczęłam krzyczeć „ona mnie zabije" a wtedy ten gość powiedział wspaniałomyślnie „nie bij jej dam jej na początek 50 dych zobaczysz za kilka miesięcy będzie się prosiła". Anna wtedy się rozebrała a potem on rzeczywiście dał mi te pieniądze. Pocałowałam go w jego obrzydliwy policzek, nie wiem ile dał Annie. Potem Baśka też poszła a ja weszłam w sukience do łóżka i zaczęłam płakać jak idiotka. Anna mówiła, że jestem gorsza niż kurwa, że nie mogę iść do Pani bo Pani będzie mną się brzydziła.

To jest prawda i dlatego wiem, że mimo wszystko Pani musi o tym wiedzieć. Powiem Pani wtedy, ady przyjadę do Pani ostatni raz, bo potem Pani się będzie mnie brzydziła, musze Pani to powiedzieć choć wiem że potem nie będę miała nikogo już na świecie"

IZABELLA

— Jak ci na imię?

— Iza.

— Dlaczego tu jesteś?

— Bo jestem pechowcem.

— To znaczy?

— Dałam się głupio złapać i to wszystko.

— Czy uciekając z domu, myślałaś, że robisz to wyłącznie na złość mamie?

— No pewnie. Mnie nie wolno było nawet pójść do kawiarni z koleżankami na kawę i ciastka. Mama mówiła że do kawiarni chodzą same najgorsze.

— Jednak poszłaś...

— Chciałam zobaczyć jak to jest naprawdę. Poszliśmy całą paczką i zamówiliśmy wino i paliliśmy papierosy. Było wspaniale, tylko bałam się, że może mnie ktoś tu zobaczyć. Miałam złe przeczucie. I stało się: weszła mama z siostrą.

— Uciekłaś?

— A co miałam robić? Do domu nie było po co wracać. Siostra zrobiła mi publicznie awanturę, a matka goniła mnie po mieście. Wtedy postanowiłam, że opuszczę swoje miasto, na zawsze.

— Teraz jesteś tu: co dalej?

— Myślę o jakiejś szkole, muszę mieć zawód, przecież całe życie nie można uciekać.

Opis peregrynacji Izabelli od dnia jej ucieczki do chwili zatrzymania przez milicję. Zachowuję swoisty styl, błędy gramatyczne i ortograficzne popełnione przez dziewczynkę, natomiast zmieniłem imiona i nazwiska osób przez nią opisywanych.

„Wyszłam na szosę wolborską złapałam okazję i pojechałam do Rawy Mazowieckiej do koleżanki Joasi u niej mieszkałam 5 dni tam w kawiarni zapoznałam chłopca Waldka, który chodził do dziesiątej klasy on wziął mnie do Warszawy zawiózł do brata Janka i tam zostawił na ulicy Łuckiej a sam pojechał z Jankiem pojechałam do Pyr na ulicę Bohaterów Warszawy on tam wynajął mieszkanie u jednej pani Abuchowicz Walentyny i on dawał mi na życie. Do mnie przychodził po południu i razem jeździliśmy do Śródmieścia do kawiarni lub kina lub po prostu na spacer. Ja potem jeździłam sama do domu. Tu byłam przeszło dwa tygodnie. Uciekłam od niego bo się z nim pokłóciłam. Pojechałam do akademika na ulicę Grójecką do mojego kolegi który jest na 4 roku wydziału Elektrycznego tam też byłam dwa tygodnie. Z tamtąd mieszkałam w hotelu Syrena z dwoma dziewczynami, które zapoznałam w Roxanie mieszkałam niemeldowana 5 dni z tymi koleżankami do których przychodzili chłopcy i tam dostałam od jednego z nich 50 zł, potem zapoznałam się z takim Markiem z Gongu i on mnie zaprowadził do jednego doktora Lutinga u którego byłam dwa dni. Potem z moją koleżanką Elą Malicką którą zapoznałam u jednego chłopca w domu obie uciekłyśmy. Wyszłyśmy na ulicę i chciałyśmy jechać taksówką stanął taki młody kierowca który nam zaproponował kolację w Europejskiej i dansing gdzie z tamtąd udałyśmy się do niego. Tam byłyśmy 2 dni i był to inżynier-mechanik. On nazywał sie Janowski Tadeusz, tam zapoznałyśmy się z jego kolegą również inżynierem który zabrał nas mianowicie do siebie i tam byłyśmy 2 dni. Z tamtąd poszłyśmy do jego kolegi artysty malarza Herakliusza Saniewicza u którego mieszkałam przeszło tydzień. Z tamtąd uciekłam bo dokuczała mi ta Ela poszłam do kawiarni tam w Roxanie zapoznałam lotniczego i w jego domu nocowałam 2 dni. Wyszłam z tamtąd poszłam do inżyniera i u niego byłam 2 dni. Później pojechałam do Świdra z takim Wackiem dziennikarzem i tam byłam dwa dni z tamtąd przyjechałam do Warszawy i spotkałam dwie koleżanki i jedna jest z nich mężatka a druga panna i poszłyśmy do restauracji Kandelabry i tam zapoznałam młodego chłopca i czekałam na niego i podeszła milicja i zabrała mnie na komendę".

KATARZYNA

— Ile masz lat, Kasiu?

— Skończyłam piętnaście.

— Czy po raz pierwszy uciekłaś z domu?

— Tak.

— Dlaczego to zrobiłaś?

— Zgubiłam torbę z książkami i bałam się wrócić do domu.

— Zostałabyś ukarana?

— Chyba tak.

— Bałaś się bicia?

— Aha.

— Ale tak naprawdę, to nie wiesz czy dostałabyś lanie od rodziców?

— Myślałam, że dostanę.

— Dokąd uciekłaś?

— Do Warszawy.

Wypis z notatki służbowej MO:

„Na Bazarze Różyckiego zapoznała się z ob. Wierzba Janiną (następnie adres), która zaproponowała jej mieszkanie. Osoba ta trudni się sutenerstwem i skłoniła nieletnią do współżycia najczęściej z obcokrajowcami narodowości arabskiej. Uzyskiwane z tego korzyści majątkowe dzieliła po połowie. Dziewczyna za jeden stosunek płciowy otrzymywała kwotę 5.000 zł, bądź 5 dolarów USA. Jak się przyznała przez okres zamieszkiwania u tej obywatelki zarobiła kwotę około 25 000 zł i pewną kwotę dolarów. Pieniądze straciła na zakup garderoby. Podała, że w trakcie przebywania u niej widziała, że w uprawianiu nierządu brało udział jeszcze kilka dziewczyn (prawdopodobnie nieletnich), które były przez nią do tego namawiane".